Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 50 (1446) ROK XXVIII 14 GRUDNIA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- Polak w okupowanej Łodzi
- Czy miał pan zawodowe szczęście?
- Dzieci kapitana Klossa
- Wielki las
- Horror

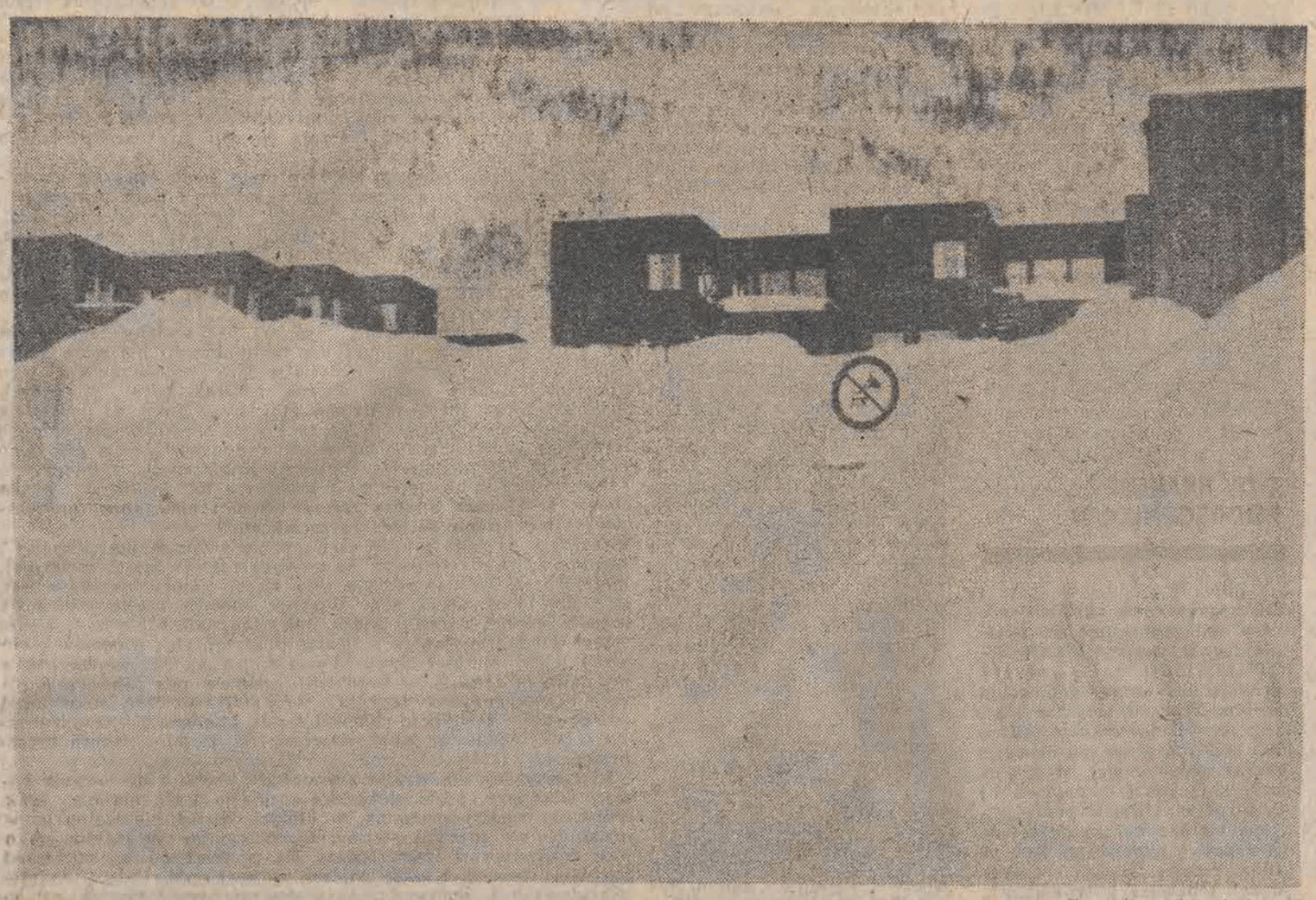

Fot.: Stanisław Łukaszek

Za kręgiem polarnym

Rozmowa o życiu codziennym i medycynie w północnej Norwegii z dr. STANISŁAWEM ŁUKASZKIEM

— Wróciłeś z Norwegii... Konkretnie skąd?

— Z Tromsoe. To strasznie daleko, za kręgiem polarnym. 300 kilometrów na północ od Narviku. Dalej na północ jest jeszcze kilka małych miasteczek. Tromsoe, ostatnie miasto na podbiegunowym szlaku, jest stolicą okręgu Troms, miastem, które liczy (wraz z przyległymi osiedlami) ponad 50 tysięcy mieszkańców. Miasto leży na dwóch wyspach i kawałku stałego lądu w okolicy górzystej co stwarza specyficzny mikroklimat.

— Uniwersytet w Tromsoe jest zapewne najbardziej na północ usytuowaną uczelnią w Europie?

— Na świecie. Zresztą powołano go przed laty do życia po to, żeby ożywić naukowo i kulturalnie ten region. Jest w znacznej mierze nastawiony na sprawy gospodarki rybnej, która jest z kolei podstawą ekonomiczną bytu mieszkańców tej ziemi...

— Byt miasta opiera się o port rybacki?

— Tak, ale słowa „port" nie należy rozumieć tak, jak u nas. Stromy brzeg pozwala na to, że bez żadnych specjalnych urządzeń przycumować może do niego transoceaniczny statek. Jest więc coś w rodzaju małego portu centralnego i cała masa prywatnych nadbrzeży — każde przedsiębiorstwo ma własny kawałek nadbrzeża. Nie można także powiedzieć, że port jest rybacki, bowiem w Norwegii ogromną rolę odgrywa transport morski — jest najtańszy. Toteż obserwuje się tam stały ruch małych stateczków, zanurzonych niemal po burty i dowożących do miasta wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Pasażerów — rzecz jasna — też.

— Czy nie ma tam linii kolejowej?

— Nie, kolej kończy się w Bude, tj. 600 kilometrów na południe. W Narviku jest linia kolejowa do Szwecji, na północy już nie ma kolei.

— Powiedz jak tam dojechałeś. Jechałeś aż dwa razy w tę i z powrotem...

— Pierwszy raz leciałem samolotem z przesiadką w Kopenhadze i Oslo. Niestety, nie ma bezpośredniej linii do Norwegii, choć LOT od lat zapowiada jej uruchomienie. Tak, że do samego Tromsoe doleciałem.

— Atrakcyjniejsza była ta druga podróż?

— Bo ja wiem... Pierwsza była atrakcyjniejsza. Otóż samolot do Tromsoe po drodze lądował, w związku z czym leciał na niskim pułapie i można było obejrzeć ten egzotyczny kraj nocą polarną... Każda wysepka jest opunktowana latarniami, widać ośnieżone góry.

Drugi raz jechałem samochodem. Praktycznie od koła podbiegunowego cały czas po ciemku. I chwała Bogu, bo jak tę drogę zobaczyłem parę miesięcy później, to skóra na mnie ścierpła i nie wiem, czy gdybym ja wówczas widział, odważyłbym się pojechać. Jechałem na oponach z kolcami, tam się dróg ani nie czyści, ani nie soli. Typowa górska droga z wszystkimi meandrami itp. Tyle że cała oblodzona... Przyjechałem i okazało się, że tam jeszcze nie ma śniegu, co w listopadzie jest zupełnym ewenementem.

— Jak się człowiek czuje w tym klimacie, jak się znosi noc polarną?

— Traci się poczucie czasu, zarówno w trakcie nocy polarnej, jak i latem, kiedy jest wieczny dzień. Dotyczy to nie tylko przybyszów, ale również ludzi, którzy tam mieszkają od urodzenia. Spać się chce o najbardziej absurdalnych porach, a nocą znów cierpi się na bezsenność. Widywałem Norwegów podrzemujących w laboratoriach. Mnie się to też zdarzało, nachodziła mnie taka senność, że nie sposób się opanować. W dzień polarny — dokładnie to samo...

— Czy twoje obserwacje pozwalają na sformułowanie jakiegoś uogólnienia dotyczącego wpływu tych nienormalnych warunków na charakter narodowy, na typową sylwetkę psychiczną Norwegów, czy też w ogóle Skandynawów zamieszkujących tę najdalej na północ wysuniętą część półwyspu?

— W regionach północnych jest więcej samobójstw. Jest to statystycznie uchwytna różnica, a więc nieprzypadkowa. Znaczy to chyba, że wpływ dnia i nocy polarnej na psychikę jest większy niż tylko taki, który powoduje perturbacje ze snem.

— Jak ustosunkowałbyś się do tego obiektywnego stereotypu „zimny Skandynaw"?

— Są zamknięci w sobie. Są życzliwi, otwarci, ale do pewnych granic. Spotykałem bardzo wielu ludzi małomównych. Zdarzają się spotkania towarzyskie, na których prawie nikt nic nie mówi... Oczywiście są wyjątki. Są i gaduły, zwłaszcza jak wypiją parę kieliszków!

— Czy ten temperament narodowy, czy raczej regionalny, przejawia się jeszcze w czymś innym, na przykład jest mniej kłótni, bójek itp.?

— Przez półtora roku pobytu widziałem może dwie kłótnie, a przecież nie brak tam i marginesu społecznego, przecież to miasto portowe, są i pijani marynarze i panienki portowego autoramentu. Norwegowie są znacznie mniej agresywni. Są i bójki, i zabójstwa, i morderstwa — ale jest tego proporcjonalnie mniej niż pod naszą szerokością geograficzną... Natomiast bawić potrafią się świetnie, tylko muszą co nieco wypić, choć niedużo...

— W Polsce Skandynawowie mają opinię pijaków — wiadomo, Szwedzi u nas na wybrzeżu trąbią, że niejednemu rodakowi potrafią zaimponować. A u siebie?

— Sporo piją, mimo kolosalnych cen na alkohol. Nie porównuję Norwegów z Polakami, my jesteśmy jednak bezkonkurencyjni... Piją dużo w porównaniu z mieszkańcami Europy Zachodniej, widuje się pijanych na ulicach.

— Styl picia przypomina raczej słowiański niż anglosaski, to znaczy w samotności, w domu?

Pierwsza Japonia

WITOLD KASPERKIEWICZ

Bardzo często spotykamy się z określeniami *„japoński cud gospodarczy"*, *„japoński styl zarządzania"*, czy *„Japończycy — naród przy pracy"*. Od wielu lat ekonomiści różnych orientacji politycznych zastanawiają się nad przyczynami japońskiego sukcesu i proponują rozmaite, często pasjonujące wyjaśnienia dotyczące problemów polityki inwestycyjnej, struktury przemysłu, siły roboczej, płac, polityki importu licencji etc. W owych interpretacjach częstokroć nie bierze się pod uwagę jednego czynnika, który w rzeczywistości stanowi kluczowe wyjaśnienie. Czynnikiem tym są ludzie, ich postawy i system wartości. Robert Guillan, autor znakomitej książki *„Japonia trzecie mocarstwo"*, na pytanie dlaczego Japonia odniosła sukces, odpowiada — dzięki Japończykom.

Powszechnie wiadomo, że Japończycy są ogromnie pracowitym narodem, pasjonującym się wszystkim co nowe, zdolnym do odważnego i zdyscyplinowanego wysiłku dla osiągnięcia sukcesu, narodem o rzadko spotykanej ofiarności w pracy. Płatny długi urlop, miesiąc nad morzem, weekendy, polski poniedziałek — oto przyjemności zupełnie prawie nieznane pracownikom japońskim. W lipcu i sierpniu produkcja nie obniża się ani sklepy nie są zamknięte z powodu urlopów. Życie gospodarcze zwalnia tempo nieznacznie tylko około Nowego Roku.

PORÓWNANIA

Dzięki wyjątkowej pracowitości, znakomitej organizacji pracy i dużej skłonności do innowacji technicznych i organizacyjnych jedna generacja Japończyków (lata 1953—1983) prześcignęła w rozwoju gospodarczym Włochy, Francję, RFN i Wielką Brytanię. Japonia jest dziś po USA drugim gospodarczym mocarstwem w świecie kapitalistycznym. W roku 1983 Japonia dostarczyła 14 proc. światowych produktów przemysłowych, podczas gdy przed 30 laty udział ten wynosił ok. 3 proc. W ciągu ostatnich 30 lat udział Japonii w eksporcie przemysłowych krajów zachodnich wzrósł z 2 proc. do 12 proc. Japończycy z powodzeniem wdarli się ze swymi produktami na trudne rynki w USA, RFN, Wielkiej Brytanii i Francji. Są potentatami w dziedzinie eksportu wyrobów mikroelektronicznych powszechnego użytku, aparatury naukowej, samochodów, motocykli itp.

Efektywny rzeczywisty czas pracy Japończyka wynosi 2061 godzin, jest to o 426 godzin więcej od rzeczywiście przepracowanego czasu pracy Niemca z RFN, 200 godzin więcej niż w USA, 224 godziny więcej niż w Szwajcarii. W Polsce tzw. robotnikogodziny przepracowane (według nomenklatury GUS) wynosiły w 1983 r. 1849 godzin. Koszty robocizny łącznie z narzutami są w Japonii o 44 proc. niższe niż w RFN. Przeciętna stawka godzinowa w Japonii wynosi 19.05 DM, a w RFN — 27.42 DM.

Warto także zaznaczyć, że Japonia zajmuje pierwsze miejsce wśród uprzemysłowionych krajów kapitalistycznych pod względem dynamiki gospodarczej i produktywności kapitału. Jeśli dynamikę gospodarczą Japonii przyjąć za 100, to w Szwajcarii wskaźnik ten wynosi 99,7, w USA — 91,7, w RFN — 89,1.

SZEŚĆ ZASAD SUKCESU

Źródła sukcesu gospodarki japońskiej tkwią przede wszystkim w specyficznych zasadach społecznych, które swymi korzeniami sięgają odległych czasów. Na styl życia i zachowanie społeczne Japończyków ogromny wpływ wywarła wspólna uprawa pól ryżowych. Japończycy uprawiają pola ryżowe od ponad 4000 lat. Jeszcze sto lat temu uprawą ryżu zajmowało się ok. 80 proc. ludności. W ciągu tysiącleci wykrystalizowały się oryginalne wzorce postępowania, którym po pewnych modyfikacjach hołdują nadal współcześni Japończycy. Japoński sposób zarządzania gospodarką i wynikające z niego osiągnięcia ekonomiczne opierają się, jak twierdzą znawcy problemu, na sześciu pryncypiach społecznych utrwalonych tradycją uprawy pól ryżowych.

Pierwszą zasadą jest dożywotnie zatrudnienie stosowane w wielu firmach japońskich. Uprawa pól ryżowych wymaga wykonywania rozmaitych prac, łączy rodziny i prowadzi do ścisłego zintegrowania wiejskich społeczności. Przynależność do wsi trwa aż do śmierci, co gwarantuje każdemu członkowi gminy dożywotnie zatrudnienie.

Druga zasada polega na kulcie ludzi starych. Przy uprawie pól ryżowych doświadczenie seniorów odgrywa ważną rolę, dlatego też są oni szczególnie szanowani. Filozofia Konfucjusza nakazuje wręcz szanować starość. Jednym z państwowych świąt Japonii (15 września) je *„Dzień czci starych ludzi"*.

Trzecią zasadę stanowi rodzinny charakter życia w zakładzie. Uprawa pól ryżowych narzuca model pracy oparty na ścisłym powiązaniu poszczególnych grup. Takie ścisłe związki w pracy zawodowej prowadzą do powstawania niemal rodzinnych stosunków w przedsiębiorstwie. W wielu firmach japońskich dzień pracy rozpoczyna się od hymnu na cześć firmy, a właściciel firmy traktowany jest częstokroć jak pater familias.

Na czwartą i piątą zasadę składają się lojalność i harmonia. Zasady te, ściśle powiązane ze sobą, wywodzą się z konfucjonizmu, którego twórca usiłował uregulować stosunki państwowe w drodze ścisłego przestrzegania starych norm i zwyczajów. Konfucjusz sformułował normy życiowe, z których najważniejsza jest odpowiedzialność wobec ludzi. Dzięki tej zasadzie miała powstać *„harmonia w kosmosie"*. Japończycy przyswoili sobie tę harmonię jako harmonię we własnym państwie i uczynili ją filozofią życiową, której podstawą jest wierność przepisom i uczciwość. Tak pojmowana harmonia była i jest podstawowym warunkiem skutecznej uprawy pól ryżowych.

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3661. P-2.

Przegląd prasy

Czterdzieści lat temu, od 6 do 13 grudnia 1945 roku odbył się w Warszawie I Zjazd Polskiej Partii Robotniczej. W Zjeździe uczestniczyło 1 524 delegatów, wśród nich 437 delegatów miało głos doradczy. Około 60 proc. delegatów należało przed wojną do KPP, a 10 proc. do PPS. To ważne wydarzenie sprzed 40 lat w polskim ruchu robotniczym budzi zrozumiałe zainteresowanie, gdyż wówczas I Zjazd PPR sformułował politykę partii na najbliższe i dalsze lata, politykę przeobrażeń społecznych zmierzających do zbudowania społeczeństwa socjalistycznego.

W TAMTYCH TRUDNYCH CZASACH

gdy władzę wzięli robotnicy i chłopi, gdy zaczęto tworzyć nowe państwo, państwo ludu pracującego, gdy reakcja siłą chciała przywrócić stary porządek, *„uwaga PPR* — jak pisał Zenobiusz Kozik w „ŻYCIU WARSZAWY" z 5 grudnia 1985 roku — *skupiła się na wytyczeniu głównych kierunków swego działania: obrony władzy i ustroju przy równoczesnym kontynuowaniu procesu rewolucji społecznej i odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych. Tak jak i przedtem, dążono do osiągnięcia tych celów głównie metodami politycznymi, a nie walką zbrojną".* A przecież był to czas, gdy sama przynależność do PPR groziła niekiedy śmiercią. W obronie władzy robotników i chłopów ginęli wówczas członkowie PPR, członkowie ZWM, członkowie PPS, żołnierze Wojska Polskiego. Do odbudowy zniszczeń wojennych stanął cały naród.

PPR nie mogła jednak skupić uwagi tylko na sprawach bieżącej polityki, sposobów rozwiązywania spraw, które niosły z sobą dni 1945 roku i lat następnych. PPR musiała jednocześnie odpowiedzieć na szereg pytań dotyczących przyszłości. Jak dziś odczytujemy te pytania, napisał w tym samym numerze „Życia Warszawy" Henryk Słabek. Zastanawia się on, czy udzielone wówczas odpowiedzi były tylko wynikiem taktyki działania politycznego w określonych warunkach ostrej walki klasowej, czy też wynikiem rzetelnej analizy społecznego rozwoju Polski w danym okresie jej historycznego procesu.

„Kluczowe pytanie — pisze on — *zresztą w jakimś sensie do dziś aktualne, brzmiało: czy PPR nie forsowała przed 1948 rokiem dalej idących rozwiązań dlatego, że nie było to możliwe, czy też ze względu na ich niecelowość? Czy partia szła, na przykład, na parcelację wielkiej własności ziemskiej z uwagi na koalicję z ludowcami, czy również (lub przede wszystkim) dlatego, że socjalizacja jako akt przedwczesny mogłaby być równoczesna z regresem obracającym się przeciw robotnikom (wygładzanie miast)? Czy część kierownictwa była przeciwna masowej likwidacji prywatnego sektora w miastach ze względów politycznych, czy i społeczno-gospodarczych (pogorszenie zaopatrzenia i usług)?*

I Zjazd musiał również ustosunkować się do przeszłości. *„Jesteśmy partią młodą* — mówił wówczas Władysław Gomułka. — *Lecz nasza młoda partia wyciągnęła naukę z błędów przeszłości (...), gdyż odrzuciliśmy od siebie, od naszej partii to wszystko, co w przeszłości szkodziło interesom klasy robotniczej i mas pracujących (...), odrzuciliśmy to wszystko, co nie pozwalało innym starym partiom prowadzić te masy po drodze ich wyzwolenia społecznego, budownictwa demokracji ludowej".* Określenie stosunku partii do przeszłości było pytaniem nie tylko o tradycje, o rodowód PPR, ale i o rozwiązania na przyszłość. Co z polityki wielkich poprzedniczek PPR należało wziąć jako trwały dorobek, jakie formy i metody działania kontynuować i rozwijać, jakie elementy programu społecznego i gospodarczego w nowych warunkach historycznych uznać za podstawę do dalszego działania?

„Proces historyczny — napisał w „SZTANDARZE MŁODYCH" z 6—8 grudnia 1985 roku Paweł Dybicz — *był jednym z głównych przedmiotów merytorycznej analizy na I Zjeździe. Toczący się po Zjazd „bój o tradycję" w swej istocie był sporem o teraźniejszość, jej kształt i kierunek ewolucji. Trzeba przyznać, że nie było dla PPR sprawą ani łatwą, ani prostą znalezienie właściwej drogi między bezkrytycznym, apologetycznym stosunkiem do przeszłości a stosunkiem superkrytycznym, graniczącym niekiedy z sekciarstwem i nihilizmem. Problem tradycji nie był dla PPR problemem akademickim, był bowiem przede wszystkim problemem politycznym i ideowym".*

I Zjazd PPR określił — co miało wielkie znaczenie — PPR *„jako partię klasy robotniczej i narodu".* Uznał, że *„PPR jako partia proletarjacka i narodowa zarazem, zrozumiała, że ciąży na niej odpowiedzialność reprezentowania nie tylko interesów klasowych, ale i narodowych, że interesy te nie są i nie mogą być sprzeczne ze sobą".*

Znajomość przeszłości — co już niejednokrotnie podkreślałem — ma ogromne znaczenie dla rozumienia teraźniejszości i przyszłości. To rozumienie powinna zapewnić szkoła. Ale jak to zrobić

GDY BRAKUJE PODRĘCZNIKÓW

Dlaczego tak się dzieje? Co jest tego przyczyną? Na pytania te na łamach „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 49 z 8 grudnia 1985 roku) odpowiada Stefan Ciepły w artykule pt. *„Są podręczniki szkolne, czy ich nie ma?".* Kto nie ma dzieci w szkole podstawowej, słyszy na ogół narzekania nauczycieli i rodziców na brak podręczników, ale nie bardzo zdaje sobie sprawę z przyczyn takiego stanu rzeczy. Stefan Ciepły dokonał penetracji w szkołach, inspektoratach dzielnicowych, kuratorium, w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, w Wydawnictwach Szkolnych i Pedagogicznych, w księgarniach „Domu Książki", jak i w dyrekcji tego przedsiębiorstwa handlowego, a także w NIK. Ten ogromny materiał pozwolił mu nie tylko na szerokie i dogłębne przedstawienie problemu, ale i na wskazanie przyczyn wadliwego funkcjonowania tego systemu.

Wprowadzony system reglamentacji podręczników w szkołach podstawowych w założeniu swoim z grubsza polegał na tym, że młodzież otrzymywała książki bezpłatnie, ale nie były one własnością uczniów tylko szkoły. W szkole podstawowej obowiązuje 85 tytułów, w tym zeszyty do ćwiczeń. Uczeń po wykorzystaniu podręcznika w danej klasie jest zobowiązany zwrócić go szkole, aby w następnym roku mógł korzystać z niego inny uczeń. Tylko podręczniki dla klas „zero" i pierwszej uczniowie otrzymywali bezpłatnie i „na zawsze". W systemie tym nastąpiły niewielkie korekty. Żywot podręcznika określono na trzy lata. A więc trzy postępujące po sobie roczniki uczniów powinny korzystać z każdego egzemplarza podręcznika. Każdy tytuł drukowany jest w 130 proc. rzeczywistych potrzeb. Dokonuje się dodruków. Podręcznik może być zmieniony tylko wówczas, gdy rozpoczyna się — powinien być na ten moment już przygotowany — druk nowej partii książek szkolnych, a więc po trzech latach od wydania dotychczas obowiązującego. Taki system reglamentacji podręczników stosowany jest już — z powodzeniem — w RFN, CSRS, NRD, Francji i w innych krajach. Dlaczego u nas szwankuje, bo nie ulega wątpliwości, że szwankuje. Książki w zasadzie są — pisze Stefan Ciepły — *„tylko nie tam, gdzie powinny być".*

„Zawaliły jednak sprawę — stwierdza S. Ciepły — *wszystkie bez wyjątku ogniwa administracji oświatowej, nie wyłączając kierownictw szkół i samych nauczycieli; bałaganu przysporzył też Instytut Programów Szkolnych, a w ślad za nim, w ścisłym od niego uzależnieniu Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne — zaś skutki owej niesprawności ponoszą przede wszystkim uczniowie, w dalszej kolejności Składnica Księgarska, wreszcie nauczyciele...".*

Stefan Ciepły kategorycznie protestuje przeciw teorii głoszącej, że dlatego uczniowie nie szanują podręczników, bo dostają je darmo. Uważa on, że jest to dowolne przeniesienie poglądów ludzi starszych na młodzież, że właśnie bezpłatne korzystanie z podręczników jest świetną okazją do uczenia młodych szacunku do własności społecznej. Okazji tej nie wykorzystuje się jednak. Przede wszystkim dlatego, że panujący w oświacie bałagan uniemożliwia planowanie, kontrolę i rozprowadzanie książek zgodnie z rzeczywistymi potrzebami. Na przykład niektóre szkoły przygotowując zamówienie podręczników podają zawyżone dane, aby skreślenia dokonane na wyższych szczeblach administracji oświatowej nie naruszyły rzeczywistych potrzeb.

Trzeba pamiętać, że w Polsce mamy 4,8 miliona uczniów szkół podstawowych, którym trzeba dostarczyć 85 tytułów. Czyli uczniowie powinni mieć w tornistrach 548 milionów książek. Przy tak wielkiej liczbie każdy minimalny błąd przybiera duże rozmiary. Szkoła nie przewidzi, że będzie miała więcej oddziałów, że trzeba będzie więcej książek i już kilkunastu uczniów uczy się bez podręczników. Wraz z rozwojem budownictwa mieszkaniowego dzieci przenoszą się do innych szkół, ale podręczniki zostają w starych. Przychodzą więc do szkoły bez podręczników i bez nadziei, że je tam dostaną. Ale jednocześnie NIK wykrył w Starachowicach, tylko w pięciu szkołach, nadwyżkę 3.295 książek, które nie dotarły do uczniów. Podobny wynik wykazała kontrola NIK w Rzeszowskiem. Więc gdyby tak dokładnie poszukać, to może okazałoby się, że owszem książki szkolne są, ale na skutek bałaganu nie docierają do uczniów.

Bałagan występuje też w programowaniu. *„Reforma programowania nie zdążyła jeszcze dotrzeć do VIII klasy szkoły podstawowej* — pisze Stefan Ciepły — *kiedy Instytut zaczął zmieniać podręczniki. Te wydrukowane w 130 procentach nakładu. Niektóre zatem nie zdążyły opuścić magazynów Składnicy Księgarskiej, a już poszły na przemiał. Dla przykładu podręcznik do matematyki dla klasy IV zmienił się już trzykrotnie. W ujęciu globalnym NIK-u 10 podręczników na 81 straciło aktualność przed upływem normatywnego okresu użytkowania i 500 tys. egz. książek kompletnie bezwartościowych zalega składnice księgarskie. Naturalnie, taka praktyka obciąża też koniecznością dodatkowego druku bazę poligraficzną".*

Jeśli u innych taki system reglamentacji podręczników szkolnych sprawdza się, dlaczego u nas ma się nie sprawdzać? Czy trzeba system zmienić, czy też usprawniać jego funkcjonowanie? *„Fakt, iż w tym roku szkolnym podręczniki dla klas 0 i I oraz zeszyty ćwiczeń dla wszystkich klas, wreszcie podręczniki do nauki języków obcych stały się odpłatne, dowodzi, że we wdrażaniu systemu nastąpił regres. Znów brakło cierpliwości. Szkoda by było jednak pogrzebać słuszną ideę".*

A zatem mniej bałaganu, więcej cierpliwości, więcej wyobraźni i skrupulatności oraz konsekwencji. Skoro potrafią tak dzielić podręczniki inni, dlaczego my mamy nie potrafić?

Od kilku tygodni

„KULTURA" ZAPOWIADAŁA

publikację artykułu Zygmunta Kałużyńskiego pt. *„Wielka nieszczerość Polaków".* Artykuły tego autora cieszą się dużą popularnością, choć nie wszyscy zgadzają się z jego poglądami. Tymczasem od dwóch numerów „KULTURY" (nr nr 26 z 27 listopada i 27 z 4 grudnia 1985 roku) ani zapowiedzi, ani artykułu. Może w najbliższym spełni się zapowiedź? Czekamy!

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Oblicza odnowy

Najszczytniejsze hasła tracą wiele ze swej świeżości i siły oddziaływania, kiedy się ich używa przy byle okazji, nie kojarząc z nimi nowych i konkretnych treści. Tak też bywa nieraz z hasłem „socjalistycznej odnowy".

Nie potrafiłbym dokładnie określić, kiedy użyto tych słów po raz pierwszy, ale wszyscy chyba pamiętamy, że sformułowała je partia w krytycznym okresie lat 80/81, jako hasło przyświecające programowi gruntownej przebudowy naszego życia społeczno-politycznego, w powiązaniu z reformą gospodarki i reorientacją polityki kulturalnej państwa. W tym całościowym ujęciu nie mogło też zabraknąć wezwania do odnowy moralnej, choć wśród tych, co krzyczeli najgłośniej niejeden powinien zacząć od siebie. Oczekiwano wtedy, więcej nawet — domagano się uzdrowicielskich działań powszechnie, co przybierało zresztą różne formy, a nieraz maskowało rozmaite ukryte intencje.

Kierownictwo polityczne kraju nie czyniło i nie czyni z tego tajemnicy, że pod szyldem odnowy mogą występować dwie przeciwstawne szkodliwe tendencje — czy to do przemycania treści antysocjalistycznych, kamuflowanych frazeologią „wolnościową", czy też — z drugiej strony — do pewnych tylko „ustępstw" taktycznych — mających na celu przywrócenie tylnymi drzwiami metod odrzuconych przez IX Nadzwyczajny Zjazd partii. I nie bez powodu przypomina się społeczeństwu co pewien czas, iż nie może być powrotu ani do antydemokratycznych i niepraworządnych praktyk sprzed Sierpnia 80, ani do anarchistycznych sprzed Grudnia 81.

Ale żeby hasło odnowy nie zwietrzało i nie stało się dla nikogo wygodnym parawanem trzeba, jestem o tym przekonany, nasycać je, jak napisałem, nowymi i konkretnymi treściami. Pewna paradoksalność naszej sytuacji ideowej polega jednak, jak mi się wydaje, na tym, że to „nowe" oznacza dla wielu dawne, fundamentalne zasady socjalizmu, ale w okresie przedsierpniowym odłożone do lamusa w nadziei, że wskutek tego przestanie się o nich w ogóle pamiętać.

Odnowa życia publicznego, jeśli ma być socjalistyczna (i nie ma stanowić zasłony dymnej dla destabilizacji) nie może zadowolić się tylko bezmyślnym i natrętnym powtarzaniem tego przymiotnika, lecz opierać się na podstawowych założeniach socjalistycznego markistowskiego programu. Toteż z pewnością wielu ludzi opowiadających się za Polską socjalistyczną przyjęło z wielkim zadośćuczynieniem słowa wypowiedziane na niedawno odbytej II Ogólnopolskiej Partyjnej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej w wystąpieniu I sekretarza KC PZPR, iż **„jedyna droga, to klasowa analiza rzeczywistości i nieustanne, uporczywe jej przybliżanie do ideałów socjalizmu".**

Oczywiście, *samo z kolei* powtarzanie przymiotnika „klasowy", bez konkretnych *odniesień do polskiej rzeczywistości* społecznej, mogłoby też spełniać funkcję usypiającą, dlatego *niezbędne* jest, w moim przekonaniu, żeby wszyscy, którym bliska jest *wizja socjalistycznego rozwoju kraju*, uprzytamniali sobie za każdym razem w analizie zjawisk społeczno-politycznych i *procesów* ideowych takie założenia marksistowskie, jak m. in. uspołecznienie podstawowych środków produkcji, wiodąca rola klasy robotniczej i awangardowa funkcja jej marksistowsko-leninowskiej partii, sojusz robotniczo-chłopski i rola inteligencji, wszechstronny rozwój jednostki jako ostateczny cel socjalistycznych przeobrażeń...

Nikt rozsądny nie strzela z armat do wróbli i nie wzywa pomocy klasyków, gdzie chłopskim rozumem trafi, ale nie brak spraw tej wagi i znaczenia, w których ocenie nie wolno ignorować teoretycznych kryteriów i zachowywać się, jakby się o nich nigdy nie słyszało. Należy się przecież do tej czy innej partii politycznej lub ją popiera ze względów m. in. światopoglądowych i, doprawdy, świadectwem ograniczoności jest uznawanie ideologicznych motywacji za przejaw dogmatycznej czy też konserwatywnej ciasnoty.

W każdym razie nie powinni się wstydzić ci, co otwarcie bronią zasad ideowej wspólnoty, do której zgłosili dobrowolny akces.

JERZY KWIECIŃSKI

JUŻ ZA TYDZIEŃ ŚWIĄTECZNY NUMER „ODGŁOSÓW"

A w nim NIESPODZIANKA: czterostronicowy, kolorowy dodatek świąteczny! Po raz pierwszy w historii „Odgłosów".

Kolorowy dodatek przynosi: reportaże Dariusza Dorożyńskiego „Siedmiu z Heraklesa", Jakuba Romanowskiego „UFO szaleje na Lubelszczyźnie", Władysława Malki „Nie ma kto wierzyć chorążemu", fotoreportaże Grzegorza Gałasińskiego „Zima" i „Konie" oraz rozmowę Bohdana Gadomskiego z aktorką Marią Probosz.

Poza tym w podwójnym, świątecznym numerze:

— specjalny wysłannik „Odgłosów" na Kubę i do Nikaragui Andrzej Makowiecki pisze o huraganie nad Kubą,
— Bogda Madej rozmawia z Włodzimierzem Smolarkiem nie tylko o piłce nożnej,
— Edmund Lewandowski prezentuje oblicza szczęścia,
— Jolanta Wrońska pisze o przygodzie z LOT-em,
— Grzegorz Gazda omawia najlepsze książki 1985 r.
— fragmenty prozy Ryszarda Binkowskiego i Jacka Sawaszkiewicza,
— Lucjusz Włodkowski pisze o walkach Brygady Bombowej we wrześniu 1939 roku,
— Paweł Tomaszewski o pracy GOPR,
— Eugeniusz Iwanicki o historii ślubnej sukni
— oraz wiele innych ciekawych publikacji, w tym „Horoskop komputerowy" i felietony.

Już 18 grudnia 1985 roku w kioskach „RUCH"!

Młodość przed wyborem

W okresach szczególnego nasilenia przemian, istotnych przełomów, niekoniecznie międzyformacyjnych skoków rozwojowych, młodość staje się w ogromnym stopniu siłą materializującą te przemiany. Dlatego wówczas między innymi, a może przede wszystkim dlatego widzi się problemy ludzi młodych w takich wymiarach, nadając im właśnie rangę wyzwania danego czasu. Młodość jest bowiem, chyba nie w pełni dostrzeganym i docenianym przez badaczy dziejów ludzkości, zwłaszcza cywilizowanych form życia zbiorowego, niezwykle istotnym czynnikiem sprawczym i wykonawczym w historycznym ciągu faktów, zjawisk i procesów rozwojowych poszczególnych wspólnot ludzkich. Jest ona siłą obiektywizującą prawa dialektyki rozwoju społecznego, będąc czynnikiem negacji i kontynuacji zarazem na historycznej linii zdarzeń, których treść decyduje o charakterze i kierunku przemian. Dla pojedynczego człowieka młodość jest jakby jednopojawieniowa, raz tylko jesteśmy młodzi. Ale w skali reprodukującego się gatunku homo sapiens trwa ona zawsze, w każdym momencie pełniąc swoją rolę n o w e g o, napierającego na s t a r e, dając przyszłości, która w pewnym trudno uchwytnym momencie staje się t e r a z, ów niezbędny element kontynuacji, bazę wyjściową. Zagadka postępu, tej najbardziej pożądanej odmiany rozwoju, polega na tym, by to, co nowe, przyszłość, budować na pozytywnym dorobku przeszłości.

Te i inne powody sprawiają, że tak często dziś mówi się i pisze tyle o młodym pokoleniu, o młodzieży. A więc dzieje się tak nie bez racji, choć czasem zbyt sztampowo, powierzchownie czy bezrefleksyjnie kwestie te są ujmowane. Ulubionym wprost zajęciem niektórych publicystów, badaczy czy nawet polityków jest roztrząsanie o kondycji polskiej młodzieży, jej społecznym statusie i perspektywach, zagrożeniach itp. itd. Także sama młodzież nie pomija tych fundamentalnych motywów autorefleksji. Zwłaszcza w organizacjach młodzieżowych są to tematy stale aktualne i o najwyższej doniosłości.

W centrum swych zainteresowań stawiają problematykę młodzieży organy państwa, PZPR oraz stronnictwa sojusznicze i inne organizacje. Młodzież jest także pierwszoplanowym obiektem ataku i penetracji ideologiczno-propagandowej rozmaitych ugrupowań i sił antysocjalistycznych. Jej wiele uwagi poświęcają prawie wszystkie organizacje i instytucje wyznaniowe.

Trudno byłoby obecnie znaleźć rodaka, który nie znałby się na „sprawie młodzieży" i nie miałby w zanadrzu kilku recept na tę dolegliwość. Tak, właśnie dolegliwość! Bo jak się tak dobrze wsłuchać czy wczytać w dyskusję, lamenty, czasem prawie złorzeczenia padające w debatach młodym poświęconych, to trudno się oprzeć wrażeniu, jakoby młodzież i jej problemy powodowały ciągłą infekcję organizmu społecznego albo, że — jeśli już trzymać się medycznych metafor — młodzi są jakby czyrakiem nie pozwalającym spokojnie pozostałym siedzieć i medytować nad tym, kiedy kryzys minie.

Kiedy ów kryzys minie, a raczej, kogo ominie!? Na pewno nie ominie przeważającej części właśnie ludzi młodych! Czyli kogo nie ominie, co już przyniósł, co przynieść może, jak ustrzec się czy choćby zminimalizować jego skutki? A może inaczej, nie mówmy ciągle o kryzysie, a postawmy pytanie: kim chce i może być dziś młody Polak, który żyje w warunkach i czasach takich, w jakich żyje, a który ledwie się obejrzy to już sam ster fabryki, gospodarstwa, dzielnicy, województwa czy jeszcze wyżej w jakiś tam sposób dzierżyć będzie? Gdzie będzie mieszkał, jaką będzie miał rodzinę, jak będzie wykształcony — czy wszechstronnie — dziś 25-letni młody człowiek, a za 15 lat odpowiedzialny pracownik administracji gospodarczej czy terenowej, wysoko wykwalifikowany robotnik, 40-letni pracownik naukowy ciągle świetnie się zapowiadający?, a może minister? Jaki będzie? Jak będzie żył?

Pytania i hipotezy, wątpliwości i prognozy, ciekawość przyszłego i czarna ściana czasu, a przed nią my — chcący wiedzieć, jak będzie? Są oczywiście tacy, którzy szydzą z samego stawiania pytań o przyszłość, głosząc filozofię odmawiającą sensu i wartości pytaniom i hipotezom dotyczącym przyszłości. Każą problem młodzieży również widzieć tylko w kontekście: ja — teraz. Reszta — ich zdaniem — to metafizyka. Z drugiej strony, słychać u nas także bezbronnych proroków organizujących entuzjazm młodych dla samej wyłącznie przyszłości, bardziej lub mniej odległej perspektywy. Są i tacy, dla których problemu młodzieży nie ma. Problem ten, według nich, nie istnieje, jest wymysłem starych, podniecającym młodych.

Kruche intelektualnie i wątpliwe moralnie są obie skrajności i nijakość miotająca się między nimi. W fałszywym świetle widząc kwestie chcą młodych ustawiać do życia, jak pionki: bierzcie, co się da, młodość ma swe prawa, wy — syndrom potencjału rewolucji (to ostatnie pochodzi od H. Marcusego). Albo: całe dziś oddajemy dla jutra, nie ma teraz, jest tylko to, co będzie!

Społeczny dialog o sprawach młodzieży, a trwa on u nas od pierwszych powojennych lat, nie może być podstawowym, ani tym bardziej jedynym sposobem ich rozwiązywania. Rozmowa najbardziej szczera i serdeczna nie zastąpi odpowiednich działań, praktycznych kroków. Słowa i programy ujawniają bowiem jedynie zamysł, chęci, wolę i stanowiska. Rzeczywistość społeczna, a więc ucieleśnione idee, to efekt praktyki, konkretnych działań i decyzji kształtujących mechanizm społecznego podziału pracy, rozdziału dóbr, ustalających zasady międzyjednostkowej lub międzygrupowej kooperacji. Oblicze tej rzeczywistości to wypadkowa zbieżnych i sprzecznych dążeń i zachowań zawsze pod wieloma względami zróżnicowanego społeczeństwa, poszczególnych jego odłamów, grup, środowisk.

Sprawny, efektywny, a więc i funkcjonalny mechanizm sterowniczy — jeśli ma być systemem organizowania życia zbiorowego i kierowania nim — musi być zaprogramowany na wszelkie czynniki i okoliczności społecznych realiów. W tym musi on mieć wpisany kod rzeczywistych podziałów i zróżnicowań wewnętrznych społeczeństwa. Stąd bowiem biorą się rozbieżności i nieraz wykluczające się cele wielkich grup społecznych oraz innych kategorii dających się wyróżnić w społeczeństwie. I tu właśnie zawsze pojawia się problem młodzieży, problem niełatwy choćby do samego zdefiniowania i odniesienia do innych wielkich kwestii społecznych. Dzieje się tak między innymi dlatego, że ta część społeczeństwa, którą określamy mianem młodego pokolenia, jest zupełnie inną kategorią społeczną niż pozostałe najczęściej wyodrębnione, np. robotnicy, chłopi, inteligencja, ludność wiejska, miejska itp.

Młodzież jest kategorią trwałą w wymiarze ogólnospołecznym — a stanowiący ją ludzie istnieją jakby w jednym wymiarze, wymiarze czasowym — właśnie t e r a z. Ale dla młodości pojedyńczego człowieka nie ma przeszłości — tam było dzieciństwo, ani przyszłości — wtedy będzie dojrzałość i jesień życia. To dlatego między innymi tak łatwo jest ulec złudzeniom i pokusie „jaterazowej" filozofii.

Odmienność młodzieży w porównaniu z innymi kategoriami społecznymi ma wiele jeszcze innych wymiarów. Sam wiek jest tylko wyróżnikiem wyjściowym, biologicznym głównie. Najbardziej ją wyróżniają specyficzne widzenie świata i siebie samej. Specyficzne są młodzieży potrzeby, niekonwencjonalne nieraz postawy i zachowania oraz charakterystyczny zespół wartości, norm i ocen otoczenia, noszonych w sobie, na swój własny, środowiskowy użytek i manifestowanych nieraz zadziornie wobec innych pokoleń. Wszystko to niekiedy określamy mianem kultury młodzieżowej lub subkultur poszczególnych jej grup.

Cechuje młodych niezwykła dynamika, granicząca czasem z chaosem postępków, co przydaje im swoistego kolorytu, niepowtarzalnych barw życia jednostki, grup, grupek, kręgów. Barwy, te i treści postępków okazują się raz dobre, raz złe, nie najlepsze. Dla kogo? Dla młodych, starszych, przyszłości młodych, ich obiektywnych interesów? Rozmaite tu miary i punkty odniesienia można wskazywać, lecz zawsze starzy i młodzi zarzucać będą sobie subiektywizm lub wręcz egoizm.

Owa nadzwyczajna aktywność młodych determinuje sposoby i środki, jakimi chcą oni zaspokajać swoje potrzeby i realizować aspiracje. To razem wzięte przesądza o charakterze i formach kooperacji, które nawiązują się z innymi grupami społecznymi, środowiskami, instytucjami, czy nawet rodzicami — zawsze ze światem dorosłych, starych. Nieprzypadkowo więc bywa, że kooperacja ta ma charakter negatywny, będąc po prostu walką mniej lub bardziej zdeterminowaną świadomością celów albo zapalczywością, przekorą.

Nie przesadzając, nie ma się co temu dziwić, bo logika walki na tym polega, że nowe i młode jest w wysokim stopniu negacją starego dotychczasowego. Oczywiście byleby to nie była tylko sama negacja. Taka jest bowiem kolej rzeczy, że to co nowe stanie się samo starym. Zachowanie tożsamości, zabezpieczanie postępu, opiera się do pewnego stopnia na kontynuowaniu określonych pierwiastków przeszłości. Tylko co wybrać z przeszłości, co zachować i rozwijać z własnej młodości? Im wcześniej i więcej zbudujemy, im nasza w młodości stworzona konstrukcja będzie solidniejsza, tym więcej opierać się na niej można później. Mniej trzeba wówczas dobudowywać, uzupełniać, a więcej można tworzyć nowego, pełniej realizować się. Naturalnie, przypadek i los, własne błędy i przychylność lub jej brak ze strony innych osób w przemożnym stopniu pomagają nam układać lub demontują naszą konstrukcję na życie. Wiem jednak, że lepiej to widać w retrospektywie niż w perspektywie.

Co i jak więc czynić, by lepiej widzieć teraz i przyszłość wówczas, gdy jest się młodym? Czym żyć teraz, co sobie projektować i co wybrać z przeszłości, z dorobku własnego i innych? Zaczynać wszystko od nowa czy przystosować się?

Przede wszystkim trzeba sobie uświadomić i odpowiedzieć na naturalną wątpliwość: co w naszej sprawie zależy od losu i jak mu się opierać, bądź go wspierać. Jego potęga najsilniej ujawnia się tam i wtedy, gdzie i kiedy mu się poddawać chcemy, gdy nie ma zorganizowanej siły oporu. I tu rację chyba miał Niccolo Machiavelli mówiąc:

„Mam to silne przekonanie, że lepiej jest być gwałtownym niż oględnym, gdyż szczęście jest jak kobieta, którą trzeba koniecznie bić i dręczyć, aby ją posiąść; i tacy, którzy to czynią, zwyciężają łatwiej niż ci, którzy postępują oględnie. Dlatego zawsze szczęście, tak jak kobieta, jest przyjacielem młodych, bo ci są mniej oględni, bardziej zapalczywi i z większą zuchwałością rozkazują".

Czytając te słowa cynicznego florentczyka doznajemy dziwnych, mieszanych uczuć. Warto jednak wczytać się w nie dobrze i uświadomić sobie, że miał on odwagę pisać o tym, jak ludzie postępują, a nie jak chcieliby postępować lub jak powinni żyć, by żyć godnie. Oczywiście wybierając sobie wzór, paradygmat na życie, warto pewnie *„oględnie dręczyć kobiety"*, tak jak warto zadumać się i nad drugą radą przewrotnego Machiavellego, który kiedy indziej twierdził:

„Wielokrotnie przychodziło mi zastanawiać się nad tym, że powodzenie lub niepowodzenie ludzkich poczynań związane jest ze zdolnością dostosowania się do okoliczności. Jedni postępują porywczo, drudzy — oględnie i z rozmysłem; ale zarówno jedni, jak i drudzy nie zachowują w tym umiaru, oddalają się od prawdziwej drogi, a zatem błądzą. Najmniej błądzi i największe odnosi sukcesy ten, kto dostosowuje swe postępowanie do okoliczności, nakazując posłuszeństwo własnemu usposobieniu".

Twarde i bezwzględne są to rady, ale warto się nad nimi zatrzymać wyjaśniając fenomen współczesnej, nie tylko polskiej młodzieży, formułując z nią wspólnie propozycje na życie teraz i w przyszłości, w czasach, które nadchodzą i jej będą.

ALFRED LUTRZYKOWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pierwsza Japonia

ze str. 1

Szóstą zasadę stanowi pilność. Aby zrozumieć doniosłość tej zasady należy uprzytomnić sobie fakt, że uprawa pól ryżowych jest w Japonii silnie uzależniona od wpływów klimatycznych: 30 proc. pól niszczonych jest rocznie przez tajfuny. Japońska pilność w okresie sadzenia i zbiorów ryżu jest więc podstawową przesłanką sukcesu. Znamienne jest, że leniwi obywatele wykluczani są ze społeczności, nie mają prawa uczestniczyć w wyborach, nie otrzymują dowodów osobistych, zalicza się ich do najniższej warstwy społecznej. Jest to najdotkliwsza kara dla Japończyka, gdyż oznacza ona w praktyce *„śmierć cywilną"* jednostki.

REFORMA CESARZA MEIDZI

Przedstawione zasady życia społecznego, utrwalane przez ponad 4 tysiące lat, zostały zmodyfikowane w wyniku reformy cesarza Meidzi w 1868 roku. Reforma ta zapoczątkowała modernizację stosunków społecznych i życia gospodarczego. W ciągu życia jednej generacji średniowieczne państwo feudalne, jakim była przez wieki Japonia, przyjęło osiągnięcia europejskiej i amerykańskiej nauki i techniki. Powstał gigantyczny i nowoczesny na owe czasy przemysł ciężki (głównie stocznie i kopalnie). Jednym z osiągnięć reformy Meidzi było stworzenie silnej armii lądowej wzorowanej na modelu pruskim oraz silnej marynarki opartej na wzorach brytyjskich. Silna armia umożliwiła Japonii utworzenie własnego państwa kolonialnego, głównie na obszarze północnego Pacyfiku. Dzięki tej reformie Japonia w 1910 roku była już potężnym mocarstwem mającym ambicje dalszego rozwoju swej siły militarnej i gospodarczej.

Po reformie Meidzi w części firm japońskich zaczęto stosować nowoczesne metody zarządzania, korzystając głównie z doświadczeń niemieckich i amerykańskich. Przyjęto i dostosowano do japońskich warunków amerykańskie metody zbytu towarów. Ważnym momentem w kształtowaniu nowych technik zarządzania było powstanie w 1942 roku Japońskiego Towarzystwa Zarządzania, które początkowo miało na celu opracowanie systemu podniesienia wydajności pracy w sektorze produkcji zbrojeniowej, a później odegrało istotną rolę w unowocześnianiu zarządzania firmami japońskimi.

Przeszczepienie na grunt japońskiej gospodarki rozwiązań europejskich i amerykańskich nie spowodowało jednak programowej rezygnacji z tradycyjnych, zakorzenionych od wieków zasad życia społecznego. Można natomiast zaobserwować proces stopniowej modyfikacji niektórych zasad polegający na dostosowywaniu ich do warunków współczesnej gospodarki.

ADAPTACJA TRADYCJI

Przykładem takich zmian jest podejście do zasady dożywotniego zatrudnienia. Zasada ta budzi zastrzeżenia zarówno związków zawodowych, jak i Japońskiego Związku Pracodawców, którzy twierdzą, że dożywotnie zatrudnienie jest reliktem przeszłości, który hamuje dalszy postęp ekonomiczny. Opracowuje się więc nowe warianty wynagrodzeń rozluźniające dotychczasowy system senioratu (uzależnienie płacy od stażu), a także nowy system emerytalny. Kwestii tych nie rozwiązuje się jednak stosując radykalne *„cięcia skalpelem"*, lecz dostosowując tradycyjne zasady do współczesnych warunków. Warto w tym momencie podkreślić, że zasada dożywotniego zatrudnienia jest pojęciem względnym. W firmach japońskich, które hołdują owej zasadzie zatrudnienie pracowników kończy się niekiedy po osiągnięciu przez nich 55 lat, kiedy to muszą *„przejść na emeryturę"* i poszukać sobie nowego zajęcia.

Podejmowane przez niektóre firmy japońskie próby zerwania z tradycyjnymi metodami zarządzania nie mogą jednak przesłonić faktu, że unikalny system panujący w Japonii jest nadal skuteczny. Przewaga Japonii nad konkurentami zachodnimi polega na osobliwych, nie znanych w Europie Zachodniej czy USA, zachowaniach i postawach pracowników. W okresach kryzysów gospodarczych, np. w latach 1973—1974 pracownicy japońscy przyjmowali konieczność zmiany kwalifikacji i rodzaju wykonywanej pracy. Sukcesy japońskiego stylu zarządzania są wynikiem ścisłej dyscypliny, jaka obowiązuje pracowników, stałego wywierania wpływu na jakość i wydajność produkcji, dużej elastyczności pracowników w dostosowywaniu się do zadań firmy, wykonywania — jeżeli to konieczne dla interesu firmy — pracy w czasie dodatkowym itp. Wszyscy pracownicy firmy japońskiej zobowiązani są do realizacji *„filozofii działania"* formułowanej przez kierownictwo najwyższego szczebla firmy. Przykładem może być filozofia *„4×lepiej"*, której sens przejawia się w dążeniu do lepszego zdrowia psychicznego i fizycznego pracowników lepszej jakości produkcji, lepszego kalkulowania kosztów i lepszego myślenia.

FIRMA TO JA

Znane i podziwiane w świecie utożsamianie się Japończyków z losem swojej firmy wynika z istnienia znakomitych metod komunikacji między kierownictwem a pracownikami, uprzejmego traktowania pracowników, wzajemnego zaufania i dużej odpowiedzialności szeregowych pracowników za wyniki ekonomiczne firmy. W firmach japońskich funkcjonują słynne koła jakości, w których robotnicy pracują aktywnie nad ulepszaniem produktu, ujawniają słabe punkty produkcji i zabezpieczenia materiałowego, nadmierne zużycie energii itp. Silne powiązanie wynagrodzeń robotników z jakością produktów, o wiele silniejsze niż z ilością, sprzyja angażowaniu się robotników w działalność owych kół. Dzięki temu japońskie wyroby przewyższają pod względem walorów użytkowych wyroby konkurentów zachodnioeuropejskich czy amerykańskich.

TEGO SIĘ NIE DA PRZENIEŚĆ

Analiza rozwiązań stosowanych w Japonii skłania zawsze do postawienia sobie pytania — czy doświadczenia japońskie można przenieść na grunt europejski? Odpowiedź jest negatywna — możliwość skopiowania japońskiego systemu zarządzania gospodarką w warunkach europejskich jest iluzją. Fenomen japoński można podziwiać, ale nie sposób naśladować unikalnych zasad obowiązujących w życiu społeczno-gospodarczym Japonii. Można co najwyżej wykorzystywać pewne cząstkowe rozwiązania dotyczące wymuszania jakości produkcji, usprawniania procesów przepływu informacji, technik organizatorskich, systemu podnoszenia kwalifikacji pracowników itp. Między Japonią a Europą istnieje olbrzymia luka w mentalności społecznej i systemie wartości. Jest to naturalna bariera uniemożliwiająca dokonanie transplantacji japońskich rozwiązań do organizmu gospodarki europejskiej. Wprowadzenie w Europie na szeroką skalę japońskich doświadczeń wymagałoby radykalnej zmiany mentalności „pacjenta" europejskiego. Nie trzeba udowadniać, że jest to niewykonalne. Japońska filozofia społeczna i gospodarcza jest systemem na tyle hermetycznym i osobliwym, że trudno go przeniknąć posługując się europejskimi kryteriami myślenia. Brzmi to nieco paradoksalnie, gdyż u źródeł japońskich sukcesów w gospodarce leży handlowa otwartość na świat. Tej otwartości towarzyszy jednak konsekwentna realizacja tradycyjnej zasady lojalności i harmonii; handel zagraniczny służy umacnianiu prestiżu państwa japońskiego, towary *„made in Japan"* stanowią jedno z narzędzi budowy jego potęgi.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Co dalej? (3)

TOMASZ SAS

1.

Na nowy Sejm obywatele spoglądają z różnymi uczuciami — od nadziei niemal magicznej ku niecierpliwemu krytycyzmowi. Prawie wszystkim jednak towarzyszy oczekiwanie czegoś niezwykłego — nie wiadomo dokładnie czego, ale czegoś, co ma się zdarzyć po wyborach za sprawą nowego Sejmu.

Wyborcy widzieli, jak od ich bolączek, problemów i postulatów pęczniały notesy przyszłych posłów. Teraz oczekują, że to wszystko zamieni się w byt materialny. Oczywiście ludzie są realistami — na ogół wiedzą, że nie wszystko naraz, że nie starczy środków... Ale wiedza ta, zresztą dość intensywnie rozpowszechniana przez propagandę, ma to do siebie, że skutkuje jako argument dopóty, dopóki używana jest globalnie. W kwestiach szczegółowych zawodzi.

Bo gdy chodzi o naszą drogę, nasze osiedle, naszą oczyszczalnię ścieków, nasz punkt skupu czy sklep, to nie ma mowy o rachunku potrzeb i środków. Nasz poseł ma to natychmiast załatwić. Jest rzeczą oczywistą, że nasz interes ma priorytet w naszych umysłach. Tak oto dokonuje się rozdwojenie jaźni między sumieniem obywatela a duszą mieszkańca...

Sądzę, że mimo natychmiastowej akcji, podjętej przez administrację — akcji wdrażania programów załatwiania postulatów o wyraźnie lokalnym charakterze — nacisk wyborców na posłów w tych kwestiach będzie bardzo silny. W skali całego państwa może przemienić się w szczególny rodzaj mandatu; Sejm stanie się dłużnikiem i sui generis „więźniem" elektoratu, i to na płaszczyźnie, gdzie realne możliwości działania Sejmu jako całości i pojedynczych posłów będą stosunkowo niewielkie.

2.

Drugi z kierunków obywatelskich oczekiwań wiązanych z nowym Sejmem dotyczy powszechnie demonstrowanej potrzeby stabilizacji stosunków społecznych i gospodarczych w państwie. Właściwie chodzi tu Polakom o dwie kwestie: równowagę rynkową na poziomie względnej obfitości, dostępności i taniości dóbr oraz o sprawiedliwość społeczną, rozumianą jako potrzebę silnej egalitaryzacji szans i możliwości. Jednak potrzeba ta popada w zasadniczą sprzeczność z równie silnie artykułowanymi żądaniami przywilejów dla rozmaitych grup zawodowych czy wręcz pokoleniowych i jednoczesnym domaganiem się „handicapowania" innych grup, zdaniem opinii publicznej nadmiernie, ergo: niesprawiedliwie uczestniczących w podziale dochodu, często przy pomocy nielegalnych zabiegów.

Nacisk społeczny ku tak rozumianej stabilizacji jest dość znaczny i dotyka nie tylko Sejmu. Głównym adresatem jest cały system władzy politycznej, a przede wszystkim administracja centralna. Sporą część tego społecznego ciśnienia biorą na siebie instancje i organizacje PZPR, a przede wszystkim Komitet Centralny. Zapewne równie silnie indagowany jest też aparat zarządu gospodarczego państwa, a zwłaszcza resorty „społeczne".

Sejm był dotąd, mimo iż jest de iure najwyższym organem władzy w państwie, jakby w drugiej linii tego nacisku społecznego. Dopiero wybory stały się czymś w rodzaju katalizatora, kierującego uwagę opinii publicznej na — bardziej domniemane czy wyobrażane niż rzeczywiste — możliwości Sejmu w tej mierze. Wiąże się to z oczywistym niedostatkiem społecznej wiedzy o tym, co Sejm naprawdę może — ale nie tylko... Niezależnie bowiem od konstytucyjnych uprawnień poszczególnych elementów struktury władzy funkcjonują silne opcje i oczekiwania społeczne. Wola obywateli, wola wyborców jest faktem politycznym i obiektywnie istniejącym, przeto pod pozorem „niekonstytucyjności" w wyborze adresata powołanego przez opinię powszechną ignorować tej woli nie można. Oznacza to, że Sejm — najwyższy organ władzy przedstawicielskiej — jeśli chce to przedstawicielstwo pełnić bez narażania się na utratę zaufania, nie może oczekiwań na siebie składanych nie uwzględniać.

Kwestią uznania i politycznych możliwości jest oczywiście forma tego uwzględnienia. Wydaje się jednak, że opinia publiczna nie naciska już z taką mocą na stanowienie nowych praw. Tak przynajmniej można wnioskować, oceniając przebieg kampanii wyborczej a zwłaszcza zebrań z udziałem kandydatów i najaktywniejszych przedstawicieli elektoratu. Od Sejmu oczekuje się raczej porządkowania już istniejącego systemu prawa i wnikliwej kontroli stosowania wszystkich ustaw, że o bieżącej kontroli administracji nie wspomnę...

3.

Czy nowy Sejm jest w stanie oczekiwania te spełnić? Nie można w to wątpić — nie tylko dlatego, że to jego obowiązek, ale po prostu w tej kwestii nie ma wyboru. Powiem więcej — Sejm z przyczyn czysto wewnętrznych, to znaczy z powodu ukształtowanej przez wybory własnej struktury, nie będzie mógł się skutecznie zająć niczym innym...

To moje przekonanie wynika z uważnej lektury tekstu Zygmunta Szeligi pt. *„Arytmetyka polityczna"* („Polityka" nr 43 — 85.10.26) — no i z pewnych własnych spostrzeżeń, opublikowanych w „Odgłosach" wiosną tego roku, przy okazji dyskusji nad projektem ordynacji wyborczej.

Z. Szeliga, za co powinniśmy mu być wdzięczni, dokonuje szczegółowego statystycznego „rozliczenia" Sejmu IX kadencji, a jego wyliczeniom można wierzyć, gdyż jest człowiekiem dobrze poinformowanym.

Z całego zestawu wskaźników obliczonych przez Z. Szeligę dla podparcia mojej tezy posłużę się tylko dwoma...

„Jest to naprawdę zupełnie nowy Sejm — pisze Szeliga — *spośród 460 posłów wybranych 13 października zaledwie 87, czyli mniej niż 20 proc., „wróci" na Wiejską po poprzedniej kadencji. Aż 373 posłów to ludzie na Wiejskiej zupełnie nowi, debiutanci w parlamentarnej karierze. Nie jestem tego całkowicie pewien, ale zdaje się, że jest to fakt nie notowany w czterdziestoleciu i chyba w ogóle dość rzadki również w światowym parlamentaryzmie. W poprzednich wyborach, w marcu 1980 r., więcej niż połowa wybranych posłów (dokładnie 237) pracowała w Sejmie poprzedniej kadencji, a 223 było „nowych"* (...)".

W rzeczywistości jest jeszcze gorzej — co najmniej kilkunastu z ponownie wybranych to działacze polityczni i administracyjni najwyższego szczebla (członkowie rządu, Biura Politycznego, kierownictw stronnictw politycznych, sekretarze KC), którzy z natury rzeczy mniej czasu i uwagi poświęcać będą pracy parlamentarnej, zwłaszcza tej wyjątkowo uciążliwej — w komisjach, obradujących niemal permanentnie. Są też posłowie wybrani ponownie, ale po jedno- czy nawet parukadencyjnej przerwie. Trudno zatem mówić, że jedni i drudzy mogą w pełni reprezentować niezbędną ciągłość parlamentarną — a jeśli jeszcze uwzględnimy fakt, że co najmniej kilku wybranych ponownie ma za sobą doświadczenia tylko połowy kadencji, gdyż weszli do Sejmu w wyniku uzupełnień w ciągu 1981 i 82 roku... A poza tym, ale to już uwaga na marginesie, mnie osobiście w tej grupie kontynuatorów zabrakło kilku nazwisk autentycznych liderów parlamentarnych, działaczy politycznych, na których Sejm w dużej mierze opierał swą działalność (m.in. przewodniczących komisji) — Zdzisława Czeszejki-Sochackiego, Władysława Kupca, Zdzisława Pileckiego, Jana Szczepańskiego, Henryka Rafalskiego i paru innych, wiem, że wycofali się oni z działalności poselskiej z pobudek całkowicie uzasadnionych i zindywidualizowanych, ale jednak mi żal.

Z tym wszystkim liczyć można, że zaledwie około 50 posłów ma za sobą jakieś wymierne doświadczenia parlamentarne i to na nich spoczywać będzie obowiązek efektywnego kontynuowania. Sądzę, że to za mało, zdecydowanie za mało.

Jeżeli rację ma jeden z bardziej doświadczonych posłów Stanisław Gucwa, że połowa pierwszej kadencji upływa parlamentarnemu nowicjuszowi na nauce posłowania, a myślę, że ma rację, to będziemy mieli na Wiejskiej — przynajmniej na razie — nie sprawnie funkcjonujący organ najwyższej władzy w państwie, ale Szkołę Poselską im. Odnowy...

4.

Nie byłoby to problemem, gdyby wszyscy nowo wybrani posłowie mieli najwyższe kwalifikacje polityczne — nie tylko dużą wiedzę o mechanizmach politycznych naszego życia zbiorowego, ale i dostateczną praktykę w działaniu na możliwie wysokich szczeblach systemu sprawowania władzy. Na ogół jednak mają oni tylko pewne predyspozycje polityczne — odwagę i krytycyzm, zdolność do myślenia uogólniającego, syntetycznego, odpowiednie wykształcenie lub też chęć uczenia się — ale brak stosownego doświadczenia nie pozwala im być politykami w pełnym tego słowa znaczeniu. A zapewniam, że same kwalifikacje moralne do skutecznego posłowania nie wystarczą.

Zdzisław Czeszejko-Sochacki tak pisze o tej kwestii w artykule „Bez amatorstwa" („Prawo i Życie" nr 42-85, 10, 19 — szkoda, że dopiero po wyborach...), *„Polityka nie uznaje amatorstwa, gdyby nawet nie przyznać jej statusu profesji, to z pewnością wymaga ona wiedzy i predyspozycji. (...) Cóż więc ma być podstawowym kryterium wyboru? Otóż wydaje się, że takim kryterium musi być przydatność w działalności tego organu, rozumiana (...) w sposób merytoryczny. Trzeba sobie dlatego powiedzieć jasno: działalność w Sejmie jest działalnością polityczną, jej uprawianie wymaga określonych kwalifikacji. Kwalifikacji takich nie nabywa się przez fakt wyboru do Sejmu, nie są one prostą wypadkową wykształcenia, nie są one także równorzędne z intencjami".*

Oczywiście posłowie za swój tymczasowy niedostatek kwalifikacji politycznych potrzebnych do skutecznego posłowania nie ponoszą odpowiedzialności. Spoczywa ona w całości na siłach politycznych, które proponowały kandydatów do wyborów. Wydaje się jednak, że organizacje polityczne i społeczne, biorące udział w tej procedurze, uległy dwom mitom: mitowi odnowicielstwa i mitowi reprezentatywności.

5.

Pierwszy z mitów polega na tym, że zawsze w sytuacjach kryzysowych jesteśmy skłonni do całkowitego odnawiania instytucji, biorących udział w kryzysie, do wymiany ludzi zaangażowanych w przedkryzysowej działalności publicznej.

Ma to na ogół charakter oczyszczającego zabiegu magicznego, a nie racjonalnej działalności organizatorsko-politycznej. Wymiana bowiem jest potrzebna, a nawet niezbędna — ale wymiana celowa i zindywidualizowana, a nie mechaniczny zabieg wymiatania, na ogół przy aplauzie opinii publicznej, wszystkich „zamieszanych" — bez zróżnicowanego podejścia do każdego przypadku i rzetelnej oceny.

Odnalazłem niedawno kuriozalny komentarz jednego z publicystów, wyrażającego zadowolenie z faktu, że wreszcie odnowił się Sejm, ostatni organ „przedsierpniowy". Było w tym jakieś poczucie ulgi, że oto możemy zamknąć ostatecznie jakiś rozdział historii, rozpocząć „nowe" (Witold Pawłowski w „Polityce" nr 42 85.10.19, komentarz pt. *„Następny krok"*).

Przecież to bzdura... Historii nie porzuca się jak pary znoszonych butów — chyba że chodzi o rewolucję totalną; proszę PT. Entuzjastów o wybaczenie, ale Sierpień 80 żadną miarą taką rewolucją nie był, więc po co ten ton mistyczny, te trąby jerychońskie, te profetyczne uniesienia...

W blasku „odnowy" — w przypadku Sejmu — zagubiono fakt o kapitalnym znaczeniu: przecież tych czterystu ludzi zdobyło ogromne doświadczenie polityczne, udowadniając, że dobrze się zasłużyli ojczyźnie. Tymczasem nazbyt rozrzutnie postąpiliśmy z tym kapitałem — zapłaciliśmy nim cenę nowości, o której wiemy tylko tyle, że może nie będzie gorsza od tego, co było — ale bez pewności i gwarancji.

6.

Drugi z mitów to mit reprezentatywności. Jego nosicielom parlament jawi się jako lustrzane, tylko w pomniejszonej skali, odbicie rzeczywistej struktury społecznej — płciowej, klasowej, wiekowej, zawodowej, środowiskowej i jakiej jeszcze się da. Naturalnie precyzyjne uzyskanie wiernego odbicia skomplikowanej struktury narodu w zaledwie czterystusześćdziesięcioosobowym Sejmie nie jest możliwe. I o tym wszyscy z grubsza wiedzą. Mało kto jednak decyduje się całkowicie porzucić ten z pozoru demokratyczny ideał ciała przedstawicielskiego; przeto główną troską sił politycznych jest uzyskanie wizerunku maksymalnie zbliżonego pod względem różnych wskaźników i kryteriów, zwłaszcza tych, które są uznane za politycznie ważne. Przy czym nie są to kryteria stałe — raczej koniunkturalne; raz to może być płeć, raz wiek, może się np. pojawić przynależność wyznaniowa, albo preferencja dla jakichś określonych zawodów. Taka koncepcja struktury Sejmu wywodzi się wprost z wczesnoburżuazyjnych koncepcji liberalnego parlamentaryzmu.

Tymczasem jedynym kryterium porządkującym strukturę socjalistycznego parlamentu może i powinna być wyłącznie klasowa struktura społeczeństwa, ale wyrażająca się praktycznie poprzez podział mandatów między siły polityczne realnie sprawujące władzę w imieniu ludu, pracującego miast i wsi, który jest suwerenem (jak stanowi Konstytucja).

Jedynym kluczem, jaki wolno tym siłom politycznym (czyli partiom i organizacjom) stosować, winien być poziom politycznych kompetencji i predyspozycji do rządzenia. Jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, że moglibyśmy uzyskać w ten sposób Sejm składający się na przykład w całości z ponurych czterdziestopięciolatków z wyższym wykształceniem politologicznym i praktyką w aparacie partyjnym. Talenty polityczne są bowiem rozsiane równomiernie wśród całej populacji, zgodnie z regułami statystyki. Toteż Sejm wybrany wedle kryteriów politycznej przydatności, co postuluje Czeszejko-Sochacki, byłby zapewne tak samo różnorodny jak Sejm, przy wyborze którego specjalnie zadbano o tę różnorodność (poniechawszy inne kryteria).

Gorsze jednak konsekwencje mitu reprezentatywności objawiają się już po wyborach, czego dowodem mogą być publiczne wypowiedzi niektórych posłów. Oto np. pewien harcerz powiada, że on tu w Sejmie reprezentuje wszystkich harcerzy polskich — ich problemy, niepokoje i interesy. Inny poseł — skądinąd sportowiec — mówi, że będzie reprezentował interesy polskiego sportu, działacz związkowy chce reprezentować związkowców, aktor opowiada się za aktorami, rzemieślnik chce zostać latarnikiem (od zielonego światła). I tak dalej...

To są właśnie objawy niedostatecznego doświadczenia politycznego i niepełnej przydatności. Ale gdzie ci posłowie mieli się nauczyć, jak uprawiać politykę? Oderwano ich wprost od indywidualnych „warsztatów" pracy, by spełnili postulat „reprezentatywności". Ale ludzie ci tkwią w swych horyzontach środowiskowych, zawodowych, pokoleniowych i nie wiedzą, że poseł reprezentuje wyborców a nie jakieś grupy ściśle określone. Wyborców, czyli tych, co go wybierali, a nie tych, których popierać chciałby ze względu na jakieś solidarnościowe zobowiązania.

Nasz Sejm nie jest izbą wpływów korporacji czy grup społecznych, ale parlamentem wszystkich Polaków, gdzie każdy poseł reprezentuje wyłącznie swych wyborców z okręgów, z całą ich skomplikowaną strukturą społeczną. Nie może sobie wybrać jakiejś grupy specjalnie godnej popierania kosztem innych — a przecież suma jego zdolności posłowania jest stała, przeto uprzywilejowani odbieraliby poselski czas, zobowiązania i ochotę innym, równie uprawnionym.

7.

Jest tedy rzeczą zupełnie zrozumiałą, że intensywność pracy Sejmu spadnie. I to z powodów czysto naturalnych: Sejm tak „odmłodzony" nie będzie mógł podołać takiemu tempu, jakie narzuciła VIII kadencja. Przynajmniej na początku.

Na pewno to spowolnienie będzie dotyczyło ustawodawstwa (poza tym w Sejmie jest strasznie mało prawników — wedle wyliczeń Z. Szeligi podobno tylko 21). Chyba że posłowie dadzą się zdominować przez rządowych ekspertów i popędzą z mnożeniem nowych praw bez dostatecznej kontroli ich treści.

Nie sądzę, aby rząd zmniejszył rozmiary i pośpiech swej inicjatywy ustawodawczej; ujawnia się też wiele nacisków społecznych, środowiskowych na konkretne ustawowe rozstrzygnięcia. Sejm nie może jednak ulec tej presji. Nie tylko dlatego, że nie podoła — także dlatego, że nadszedł wreszcie czas, by na spokojnie zastanowić się w ogóle nad systemem tworzenia prawa w Polsce. I to nie teoretycznie, a w ściśle praktycznym kontekście możliwości i skutków jego stosowania.

Dlatego właśnie otwiera się przed Sejmem druga, niezwykle ważna dziedzina aktywności — cały kompleks, który w skrócie, ale obrazowym, można nazwać kontrolą. W tym znaczeniu, jakie ma osobiste przeżywanie stosowania prawa. To nie znaczy, że namawiam obywateli posłów do przebieranek wzorem Harun al-Raszida, wstępowania w szary tłum, wsłuchiwania się w nastroje opinii publicznej, do doświadczania na sobie roli petentów administracji czy wymiaru sprawiedliwości. Obywatele posłowie dostatecznie dobrze sami to znają z własnych doświadczeń.

Namawiam natomiast do pewnego eksperymentu uogólniającego — mianowicie do wprowadzenia instytucji która nazwałbym — może nieprecyzyjnie — śledztwem sejmowym. Powinno to wyglądać tak: oto Sejm ogłasza, że specjalna komisja poselska (powoływana ad hoc, do skontrolowania konkretnej sprawy) zajmie się przebadaniem takiego to a takiego problemu, szczególnie bolącego obywateli. Wyobraźmy sobie na przykład, że będzie to kwestia praktycznego stosowania przepisów o ubezpieczeniach społecznych. Komisja miałaby zadanie kompleksowego przebadania wszystkich materiałów urzędowych i ciał kontrolnych (a jest ich niemało), które kiedykolwiek zajmowały się sprawą, zamówiłaby w kompetentnym instytucie stosowne badania opinii publicznej, powinna była przesłuchać odpowiednich urzędników ekspertów, naukowców czy publicystów, zbadałaby — oczywiście wyrywkowo — orzecznictwo administracyjne i sądowe, a nadto wezwałaby wszystkich obywateli, którzy chcieliby w sprawie coś istotnego ich zdaniem powiedzieć, byleby to nie była konkretna skarga, do złożenia zeznań czy opinii przed komisją.

Taki kompleksowy system kontrolny udałoby się może wdrożyć dwa, może trzy razy w roku, ze względu na pracochłonność oraz możliwości „przerobowe" posłów, ale w naprawdę ważnych sprawach to by się chyba opłacało. W każdym razie zebrany materiał dostarczyłby więcej danych co do niezbędności i kierunków rewizji praw niż najobiektywniejsze nawet ekspertyzy czy urzędnicze raporty. Warto bowiem pamiętać, że naprawdę niezależnych ekspertów nie ma, a na własnej wiedzy — wyjątkowej i często intuicyjnej — posłom opierać się nie godzi.

8.

Nie chciałbym być źle zrozumiany — ja nie oceniam ani Sejmu, ani posłów pod względem ich przydatności do praktycznego rządzenia. Nie chcę i nie mam prawa wystawiać cenzurek o kwalifikacjach politycznych. Po prostu staram się obiektywnie — sine ira et studio — przedstawić *zależności między takim a nie* innym wynikiem wyborów a przewidywanymi możliwościami Sejmu.

Być może się mylę, ale — jak sądzę — nikogo nie krzywdzę personalnymi podejrzeniami. Cieszyłbym się, gdyby ten niezbędny okres uczenia się posłowania przez tak odnowiony Sejm trwał jak najkrócej. Chodzi o to wszakże, by z konieczności uczynić cnotę...

Mam tu na myśli wykorzystanie okresu nauki na spełnianie funkcji, do których już w tej chwili Sejm jako całość i posłowie pojedynczo są przygotowani. Dlatego właśnie proponuję zwolnić tempo prawodawstwa, a wzmóc kontrolę nad stosowaniem prawa. Dlatego właśnie proponuję — jeżeli w ogóle wolno to robić — poselski nacisk na funkcjonowanie rad narodowych.

I jeszcze jedno: muszę zmienić zdanie w kwestii, do której najbardziej byłem przywiązany. Byłem oto zwolennikiem teorii komfortu rządzenia. Uważałem się za obywatela odpowiedzialnego, ale leniwego. Chciałbym tylko raz na cztery lata dołożyć należytej staranności w wyborze swoich reprezentantów, aby potem mieć spokój i gwarancję sukcesu władzy — sukcesu w moim imieniu, w moim interesie i na mój rachunek. Dogadzałoby mi, gdybym nie musiał się o władzę bać, ani nie odczuwał potrzeby kontrolowania władzy.

Nadal jestem przekonany o teoretycznej słuszności tej koncepcji, ale życie zmusza mnie do zweryfikowania jej i przynajmniej czasowego odstąpienia od szczytnych zasad leniwego obywatela. Dlaczego — o tym już napisałem.

Chłopak z Gór

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Władysława Obarzanka znają dobrze całe Góry. Kogo by nie zapytać, wskaże drogę do jego domu, a właściwie — rozlatującej się już chałupy, w której mieszka razem ze starszym bratem. To właśnie tu, na samym skraju wsi przyszedł na świat 34 lata temu, tu bawił się jako dziecko i tu powrócił później z miast, do których wybrał się na nauki. Jakże więc miano by go nie znać. Swój jest przecież, miejscowy.

Jego rodzice mieli 2,5-hektarowe gospodarstwo rolne. Małe, ale w Górach Mokrych i większości okolicznych wsi była to kiedyś norma — dwa, trzy hektary. Mieli też dwie krowy, jakąś świnkę, parę owiec, kaczki, kury... Normalnie. A konia? Nie, konia już nie mieli. Nie utrzymaliby go na takim kawałku — i to w dodatku kiepskiej raczej — ziemi. Żyto i ziemniaki. Było więc naprawdę biednie. Nie to, co dzisiaj. A do wykarmienia — troje dzieci. Na wsi rzecz nierzadka.

BYŁA BIEDA

Władysław Obarzanek dobrze pamięta jeszcze czasy swego dzieciństwa, tej biedy. Jak chodził do pobliskiej szkoły, a po lekcjach — za krowami po łąkach i lasach. I to był wówczas właściwie cały jego świat. Prostego chłopaka z Gór Mokrych koło Przedborza. Świat bez atrakcji i perspektyw. Kielecka wieś (bo to już właściwie Kielecczyzna) nie była w stanie utrzymać wszystkich swych mieszkańców. Komu marzyło się lepsze, musiał szukać roboty gdzieś w Polsce, daleko od domu. Wiosną i jesienią często całe rodziny jeździły na zarobek do dolnośląskich pegeerów robić przy burakach. Bo tam ziemie lepsze, a ludzi — za mało. Ileż to

jego koleżanek znalazło tam swoich mężów i pozostało już na zawsze. Ilu kolegów szło do górnośląskich kopalni i — też nie chciało wcale wracać. Młodzież uciekała ze wsi, jak się tylko dało. Nadal zresztą jeszcze ucieka — przed nudą, małymi pieniędzmi z małych gospodarstw i właśnie brakiem perspektyw. Nie, nie boi się ciężkiej pracy, ale — wiadomo — w mieście zawsze łatwiej. Tak dawniej patrzono tu na życie i tak patrzy się często dzisiaj, choć na przykład w Górach wiele się ostatnio zmieniło. Zwłaszcza od czasu, jak wrócił Władysław Obarzanek. Bo przecież jednak wrócił, choć nic tego nie zapowiadało. Tak samo zresztą jak przedtem — że wyjedzie.

Po ukończeniu podstawówki siedział w domu, aż do dziewiętnastego roku życia. Co robił? W zasadzie to, co i przedtem — pasł krowy, pomagał w gospodarstwie i wyśpiewywał po lesie ile tchu w płucach, jako że głos miał dobry, a i przyjemność z tego dużą. Bo jeśli coś go w młodości naprawdę interesowało, to były to przede wszystkim piosenki. Miał nawet taki specjalny zeszyt, do którego — głównie z gazet — przepisywał sobie ich słowa. Czytać nut jeszcze wtedy nie potrafił, melodię musiał więc najpierw usłyszeć od kogoś lub przez radio, ale wystarczyło raz, dwa, aby mógł powiększyć swój repertuar.

NAJBARDZIEJ LUBIŁ ŚPIEWAĆ

Z czasem to zainteresowanie przerodziło się w pasję, a samo nauczenie się nowej piosenki i podśpiewywanie jej sobie nie zaspokajało już młodzieńczej ambicji, która coraz natarczywiej zaczęła domagać się uznania. W tej sytuacji należało przestać śpiewać w lesie, a stanąć przed publicznością, wciągać w to innych i startować we wszystkich powiatowych eliminacjach konkursów wokalnych dla amatorów. I Władysław Obarzanek robił to z głębokim przekonaniem, coraz bardziej uświadamiając sobie jednocześnie, jak mało jeszcze umie i jak bardzo chciałby umieć więcej. Sam talent — jak się okazało — to nie wszystko. Trzeba się jeszcze wiele uczyć. A on — co? Zakończył swą edukację na podstawówce. Zmarnował kilka najlepszych lat.

Jako członek i już wówczas aktywny działacz Związku Młodzieży Wiejskiej brał w tym czasie udział w szkoleniu kulturalno-oświatowym Zarządu Powiatowego ZMW w Końskich, gdzie również śpiewał. Zauważyła go tam pani Zofia Kaczór-Jędrzycka z Warszawy i namówiła na roczny kurs na Uniwersytecie Ludowym w Klenicy. Pojechał. Został członkiem zespołu pieśni i tańca „Kleniczanie", z którym był nawet za granicą. Ale co najważniejsze: zrozumiał, że zaległości można jeszcze odrobić, że na naukę nigdy nie jest za późno. I postanowił ponownie zasiąść w szkolnej ławie, choć był już człowiekiem pełnoletnim.

Wybrał średnią szkołę muzyczną w Kielcach, wydział wokalny. Ale jeszcze zanim został pełnoprawnym jej uczniem, przez cały rok musiał najpierw przygotowywać się w tak zwanej klasie zerowej. Po dwóch latach nauki przeniósł się na wydział piosenkarski do Warszawy, do szkoły im. Fryderyka Chopina, którą ukończył w 1976 roku. Jakiego wymagało to wszystko wysiłku, jakiej wytrwałości i hartu ducha, trudno nieraz uwierzyć — zwłaszcza, że popołudniami zaliczał jeszcze ogólniak. Nie mógł przecież nie mieć i matury. Stracony czas kosztował teraz podwójnie — co tu dużo mówić — nie był to jednak wysiłek daremny. Prostemu chłopakowi z Gór dawał przepustkę do nowego, innego życia. Pozwalał też kształcić się dalej, na studiach. I Władysław Obarzanek nie zamierzał zmarnować tej szansy. Został studentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku. Niestety, tylko na dwa lata.

I ZNÓW NA WSI

W 1978 roku musi przerwać studia i z powrotem przenosi się do Warszawy, aby być bliżej ciężko chorej matki. Podejmując pracę w chórze Teatru Wielkiego, może ją bowiem co tydzień odwiedzać. W pełni zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest jej potrzebny. Ale stan zdrowia matki ciągle się pogarsza i w 1980 roku rezygnuje z pracy w Warszawie, wraca na wieś. Po jej śmierci zostaje w Górach Mokrych na stałe, choć wciąż myśli o dokończeniu studiów, o uprawianiu wyuczonego zawodu, o stolicy. Ciągle coś go jednak zatrzymuje. Ciągle ma tu jeszcze coś do zrobienia.

Władysława Obarzanka znają dobrze Góry Mokre. Zna go Przedbórz, gmina cała. Od lat jest jej niespokojnym duchem. Kipi energią, pomysłami. Potrafi porwać za sobą ludzi, w urzędzie, jak trzeba, porozmawiać. I zawsze coś się wokół niego dzieje. Taka to już natura.

Zaczęło się od tego, że w 1978 roku w swojej rodzinnej wsi założył oddział Towarzystwa im. M. Konopnickiej i zaraz też zorganizował przegląd piosenki i przyśpiewki ludowej. Inicjatywa trafiła na dobry, widać, grunt, bo wcale się na tym nie skończyło, jak to czasem z różnymi inicjatywami bywa, i sześćdziesięcioosobowy oddział aktywnie działa dalej. Staje się nawet gospodarzem ogólnopolskiej imprezy — młodzieżowych spotkań z poezją Marii Konopnickiej. Ileż polskich wsi mogłoby pochwalić się taką działalnością kulturalną? A przecież to ledwie jej część, bowiem w Górach Mokrych istnieje również oddział Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa, rok w rok organizujący ogólnokrajowe konkursy pod hasłem: „Moje rodzinne strony wczoraj i dziś". Już na pierwszy wpłynęło ponad sto pamiętników, na następne — jeszcze więcej. Krótko mówiąc, i ten pomysł Władysława Obarzanka okazał się trafny. Zyskał akceptację tak społeczeństwa, jak i lokalnych władz. Jeszcze raz zaprzeczył tezie, że na wsi nic nie można. Bo — jak widać — można, chociaż...

Władysław Obarzanek nie jest idealistą. Wie, jak na wsi z kulturą trudno. Ktoś to przecież musi robić, rzucić hasło, przekonać ludzi, by uwierzyli, że warto. Ale kto? Przeciętny rolnik w pocie czoła uprawiający ziemię? Mało prawdopodobne. Bardzo rzadko spotykane. Zazwyczaj brak mu odpowiedniego przygotowania, wiedzy, wyrobienia i — co równie znaczące — czasu. Od wiosny do jesieni nie schodzi prawie z pola, a zimą kładzie się, włącza telewizor... Tak najłatwiej. Być może wielu oczekiwałoby w swojej wsi czegoś więcej, ale — właśnie! — tylko oczekiwało. Sami niczego nie zainicjują.

Dawniej środowisko wiejskie pobudzali przede wszystkim nauczyciele. Szerzyli oświatę i kulturę, wyzwalali inicjatywy. Teraz — już bardzo rzadko. Dlaczego? Bo to głównie kobiety, które także nie mają czasu. Po lekcjach śpieszą do garnków i dzieci. A poza tym najchętniej mieszkają w mieście i na wieś, do pracy tylko dojeżdżają. Jeśli może nie wszędzie, to w Górach Mokrych i okolicy, na pewno tak. Więc chociaż rzeczywiście wiele można, i to nie tylko w kulturze... czasem trudno się dziwić, że na wsiach nic się nie dzieje, że nie mą nic.

Ale ludzie z miasta, zwłaszcza dużego miasta, na ogół zupełnie nie zdają sobie z tego sprawy, gdyż wszystko mają gotowe, zrobione, załatwione. Mają kino, teatr, kawiarnię i dom kultury, przychodnię lekarską, szpital... Wszystko z budżetu państwa. Nawet palcem nie kiwną. Inaczej na wsi. Tu władze mówią: chcecie świetlicę, remizę strażacką, ośrodek zdrowia? Proszę bardzo my pomożemy, damy, ale musicie to zrobić w czynie społecznym. No, i buduje się w czynach: drogi, szkoły, domy kultury. Choć ludzie tu też bardzo ciężko pracują i też przecież płacą podatki. O wszystko muszą zatroszczyć się sami. Nie ma innej rady, a przykład dworca autobusowego w Górach Mokrych może być tego najlepszym przykładem.

JAK ZBUDOWAĆ DWORZEC?

Myśl narodziła się w czerwcu 1983 roku w Towarzystwie im. M. Konopnickiej. Rzucił ją Władysław Obarzanek. Jego też wybrano zgodnie przewodniczącym społecznego komitetu budowy i czym prędzej wysłano do Łodzi, do Okręgowej Dyrekcji PKS, żeby zorientował się, porozmawiał, załatwił. Z misji tej wywiązał się bez zarzutu, bo niedługo potem zjechali do Gór dyrektorzy, obejrzeli, co trzeba i w porozumieniu z władzami gminnymi w Przedborzu powiedzieli, żeby budować, że pomogą, że popierają. A jak tak, to do roboty. Nie było na co czekać. I jeszcze przed zimą fundamenty były gotowe.

Pierwsze pieniądze na budowę dworca autobusowego w Górach Mokrych — 150 tys. zł — zebrali sami mieszkańcy wsi z organizacji zabaw. Dalsze fundusze dała gmina. I nie ma w tym nic niezwykłego, gdyż czyn społeczny, to przede wszystkim praca, ludzki wysiłek. A tego nie skąpiono. Mówi się, że wart był około miliona złotych. Mniej więcej jedna ósma tego, co cały dworzec. Ale, czy tylko tak można go wyrazić, opisać? Nie, na pewno: nie.

Władysław Obarzanek nie kryje swego zadowolenia, bo takiego dworca nie ma ani Przedbórz, ani Opoczno i Bełchatów, ani nawet Radomsko. Okazały, z białych pustaków, piętrowy. Na dole: poczekalnia, świetlica (głównie z myślą o dojeżdżającej młodzieży), kasa biletowa, szalety, miejsce na kiosk. Na górze: pokoje noclegowe dla kierowców. Dotychczas spali na prywatnych kwaterach, już niedługo będą w hotelu. No, i PKS obiecał jeszcze zwiększyć liczbę kursów do Gór i przez Góry, choć już teraz jest ich czterdzieści. Bezpośrednie połączenia z Piotrkowem, Warszawą, Kielcami, Katowicami. I to gdzie? W niewielkiej przecież wiosce, liczącej niespełna tysiąc mieszkańców, która niespodziewanie nabiera charakteru ważnego w okolicy węzła komunikacji autobusowej.

Żeby tak jeszcze PKS szybciej zabrał się za adaptację wnętrz, bo budynek już prawie od pół roku stoi w stanie surowym i czeka. Czekają też ludzie, którzy go budowali — szybko, bez zbędnych dyskusji, z przekonaniem. Nie powinno więc nadużywać się ich cierpliwości. Choćby przez szacunek dla tej pracy za milion i — że myślą już o nowej budowie. Dom Kultury im. M. Konopnickiej, z izbą pamięci patronki, biblioteką, salą koncertową na 50 osób. To dopiero będzie. Niezadługo. Część materiałów już jest. Właśnie powstaje projekt.

Władysław Obarzanek — chłopak z Gór; tenor liryczny; wielki miłośnik śpiewu i swej rodzinnej wsi; współzałożyciel aż czterech towarzystw (oprócz wymienionych: oddziału Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i Towarzystwa Przyjaciół Gór Mokrych); działacz ZMW, ubiegłoroczny laureat indywidualnej Nagrody I stopnia im. S. Wyspiańskiego za upowszechnianie kultury; inicjator wielu czynów społecznych; przewodniczący społecznego komitetu budowy dworca autobusowego. Kogo by nie zapytać, wskaże drogę do jego domu na skraju wsi, a właściwie — rozlatującej się chałupy. Jak do tego szewca, który bez butów chodzi.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pan Henryk

ROBERT GLUTH

Motto: „Gdy umiera człowiek mądry płaczą ludzie lecz bogowie witają go śpiewem"

To był dziwny rok, ten 1956. Po paru latach działania w różnych instancjach Zrzeszenia Studentów Polskich, znalazłem się w Olsztynie, gdzie ściągnęło mnie pierwsze małżeństwo i ogromna chęć zmiany zajęcia na koniecznie dziennikarskie. Miałem już jakieś publikacje w warszawskim „Poprostu" i grono przyjaciół, z których część właśnie wybrała sobie przepiękną stolicę Warmii. Był tu arbiter elegancji Jan Aleksander Król, który w swoim czasie założył w Łodzi „Wieś", a tu zaczął redagować z całą swoją wielką ambicją dwutygodnik „Warmia i Mazury". Była również Krysia Garwolińska, już wtedy zakochany w Żeromskim Bronisław Gołębiowski, filozof i socjolog „Miszka" Grzelak... Henryka Panasa poznałem któregoś z pamiętnych jesiennych dni i przyznam się, że pierwszym wrażeniem moim był ogromny respekt dla niego połączony z niejakim lękiem: Panas był postawny, smagły, o surowym spojrzeniu, a miał w sobie tak coś nieprzeparcie kozackiego, że w duchu określiłem go atamanem.

Wiedziałem o nim już sporo z opowiadań przyjaciół: o jego zamiłowaniach pedagogicznych, o wyjątkowo bogatym szlaku bojowym w czasie wojny, o uporze i szlachetnej naturze. Lecz Panem Henrykiem został dla mnie w sposób nieoczekiwany. Wiadomo, że był to czas burzliwy — w kraju huczało od wieców, zmian i nieoczekiwanych wydarzeń. Za Karpatami lała się krew. Olsztyn nazywaliśmy wówczas między sobą Czarodziejską Górą. Chyba Elżbieta Krzyżanowska owa nazwę puściła w obieg. W takiej sytuacji i w takim mieście stanowiącym niejako małą filię Warszawy, roiło się od pomysłów w rozpalonych głowach, powstawały projekty pism, scen, klubów dyskusyjnych. Zmiany nie ominęły i naszego dwutygodnika, na czele którego na krótko stanęła Krystyna Garwolińska-Święcicki już chodził po ulicach z rodzącym się pomysłem ilustrowanego tygodnika, który miał później przybrać formę „Panoramy Północy", a co drugi młody człowiek spotkany na ulicy okazywał się „bywać postą".

Był to dobry czas dla wszelkiej twórczości. Wiele prozy i poezji drukowała „Warmia i Mazury", radio olsztyńskie poświęcało audycje, nawet w codziennej gazecie ukazywał się raz w tygodniu literacki dodatek „Archipelag" liczący sobie nawet po cztery kolumny.

Wierszowałem sobie wtedy mniej i bardziej udanie, niejako na marginesie reportażu — aż tu któregoś dnia poprosił mnie do swojego pokoju w redakcji Henryk Panas, powiedział, że jego zdaniem moje wiersze pobudzają wyobraźnię i wskazują na kulturę autorską. A potem kompletnie zaskoczył mnie, no zbił z tropu tak, że słowa nie mogłem wydobyć. Wręczając mi duży plik maszynopisów powiedział: „Mam do pana masę zaufania. Jest pan ode mnie nieco młodszy, ale lektur ma pan za sobą sporo. Dlatego chciałem, żeby pan to przeczytał i powiedział mi szczerze, co o tym sądzi. To, widzi pan, są moje pierwsze utwory literackie. Ściśle mówiąc opowiadania. Ja jestem z powołania i życia dziennikarzem. Nie jestem siebie pewien na gruncie literatury".

To był cały Panas: skromny bez minoderii, rzeczowy i mocny.

Gdy wróciłem do siebie, a mieszkałem w pewnej odległości od samego Olsztyna — zabrałem się do czytania. To było takie uczucie, jakie mnie wcześniej ogarnęło, gdy poznawałem pierwsze utwory Passosa i Hemingwaya. Czytałem cały wieczór, noc i ranek. Tam nie było ani jednego zbędnego słowa, przytłaczająca siła obrazów. Panas prezentował prozę wojenną całkiem różną od Żukrowskiego, ale od czasu gdy przeczytałem „Z kraju milczenia", żadne opowiadania militarne nie zrobiły na mnie takiego wrażenia. A przecież prozy wojennej mieliśmy wówczas masę na wyciągnięcie ręki: własnej, amerykańskiej, radzieckiej, francuskiej. Wszak to był okres „odwilży" i czytało się wszystko łapczywie, w wielu wypadkach uzupełniając podstawowe braki i zapóźnienia. Pamiętam, że ze wspaniałego zbioru Henryka Panasa najbardziej utkwiła mi w świadomości historia pt. „Kanonen Futter" — jak wszystkie krótka, a dogłębnie przejmująca historia zbudowana prawie z samych dialogów. Rzecz była o młodym Ślązaku z armii niemieckiej, wziętym do niewoli przez naszych żołnierzy w Afryce. Tłumaczono mu, że jest Polakiem, że ma szansę wstąpić do polskiego korpusu, a on milczał, chrapliwie zaprzeczał wszystkiemu do końca, zapiekły w swoim strasznym braku godności narodowej, jakiejkolwiek, co wpojono mu w stalowych trybach Wehrmachtu. Uwielbiam literaturę, która nie prawie nie komentując, oskarża najsilniej, a czyni to przy nieprawdopodobnej oszczędności środków.

Nie mogłem, nie umiałem nic sensownego powiedzieć Panu Henrykowi. Usiadłem do maszyny i napisałem rzecz bez precedensu: recenzję ze zbioru opowiadań, które się jeszcze nigdzie nie ukazały. Ten spory felieton oddałem do druku w „Archipelagu", gdzie się ukazał, wywołując zrozumiałe zainteresowanie wydawców. Wydawnictwo Pojezierze zwróciło się po teksty do Pana Henryka. Gdy zobaczyłem pierwszy tom prozy Panasa w witrynach księgarń, ucieszyłem się: byłem przecież jednym z najwcześniejszych czytelników. Doprawdy niewielu lat trzeba było, abym pojął jak ogromne spotkało mnie wyróżnienie. Po raz pierwszy, a chyba i ostatni w życiu byłem tak bliskie narodzin prawdziwej wielkości.

Jakże serdecznie wspominam Olsztyn. Henryk Panas był już kolejnym naczelnym „Warmii i Mazur", które stały się tygodnikiem. Gdy rodzinne losy spowodowały mój wyjazd do Łodzi, długo jeszcze utrzymywałem kontakty z tak miłym pismem.

Potem pozostał rosnący, wielki podziw, niestety na odległość, bo inne trasy wytyczały mi dziennikarskie delegacje, a i inne losy również. Ale podziw rósł — w miarę jak ten wspaniały „ataman" tworzył kolejne dzieła już wzbudzając zainteresowanie całej Polski i krajów sąsiednich, gdy realizował swój wielki życiowy zamiar analizy fenomenu Judasza.

Już w latach osiemdziesiątych kupiłem jedną z ostatnich książek Henryka Panasa „Porytowe wzgórze". Nie potrafię oddać w chłodnych zdaniach tego, co mnie porywa i urzeka. Ta książka Pana Henryka to coś więcej niż pozycja, do której powracam myślą i lekturą. To wręcz podręcznikowy przykład do jakiej perfekcji warsztatowej doszedł ów twórca — w gruncie rzeczy samotnik, działający z dala od głównych nurtów koterii i grupek literackich. Nie wiem ilu krytyków to zauważyło, ale fakt jest bezsporny: Henryk Panas jest jednym z najważniejszych pisarzy polskich pod względem formalnym i merytorycznym. Świadomie piszę j e s t — ponieważ dzieło nigdy nie umiera.

Gdy w sierpniu 1983 wyjazd dziennikarski rzucił mnie do Olsztyna — podniosłem słuchawkę i nakręciłem znany numer. Pan Henryk nie mógł mnie już przyjąć: był bardzo chory. Obie nogi miał bezwładne. O swoim zdrowiu mówił bardzo lapidarnie. Interesował się tym, co dotyczyło mnie i moich bliskich. Jeszcze raz przeprosił, że nie czuje się na siłach przyjąć mnie w domu. To była ostatnia rozmowa.

Jakie to straszne, że człowiek nie jest w stanie przewidzieć nigdy najgorszego. Choroba nie cofnęła się na długo, a teraz telewizja, radio i gazety całego kraju przyniosły tę ostatnią wiadomość. A to jest tylko pozorna prawda. Pan Henryk żyje w swoim wielkim dziele dla wszystkich pokoleń — dla wszystkich, którzy w literaturze szukają mądrości, siły i trudnej odwagi.

Co znaczyło być Polakiem w okupowanej Łodzi

PAWEŁ DZIECIŃSKI

Jednym z filarów ideologii nazistowskiej była zasada wyższości rasy nordyckiej nad wszystkimi innymi rasami. Typowym przedstawicielem tej rasy miał być wysoki blondyn o niebieskich oczach, odpowiednich wymiarach czaszki i określonych proporcjach ciała. Adolf Hitler i jego eksperci do spraw rasowych uważali, że tacy ludzie powinni zostać w przyszłości panami świata. To, że naród niemiecki nie stanowił bynajmniej monolitu rasowego i składał się w znacznej części z ludzi, których trudno byłoby nazwać nordykami, nie przeszkadzało bynajmniej hitlerowskiej propagandzie połączyć te różne przecież pojęcia i przedstawiać każdego Niemca jako przynależnego do „wyższej" rasy.

Wychodząc z założenia o wyższości rasowej Niemców w stosunku do ludności słowiańskiej Hitler uważał, że prowadzona w przeszłości przez Prusy polityka germanizowania Polaków była błędna. Twierdził, iż zgermanizowani Słowianie obniżaliby wartość niemieckiego narodu i na Wschodzie należy germanizować nie ludzi, ale ziemię. Wschodnia część Europy miała być więc skolonizowana w podobny sposób jak w XVIII i XIX wieku Ameryka Płn. Dotychczasowi mieszkańcy mieli zostać z tych terenów usunięci, a na ich miejsce mieli przybyć germańscy osadnicy. Pozostać na tych terenach miała czasowo tylko ta część miejscowej ludności, której władze przeznaczyłyby rolę niewolniczej siły roboczej usługującej rasie panów. Aby nie dopuścić do spoufalania i mieszania się obu tych grup ludności postanowiono wznieść między nimi mur segregacji rasowej.

PO ZAKOŃCZENIU KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Hitler dokonał podziału okupowanych ziem polskich wcielając ich zachodnią część do Rzeszy, a z pozostałych ziem tworząc Generalną Gubernię. W niej też początkowo miała znajdować się Łódź, ale na interwencję łódzkich Niemców 9 listopada 1939 roku, miasto wraz z okolicami uroczyście przyłączono do Rzeszy. Obszar ten stanowił odtąd aż do końca okupacji część Kraju Warty (Reichsgau Wartheland) ze stolicą w Poznaniu. Hitler zadecydował, że ziemie wcielone do Rzeszy mają zostać w ciągu 10 lat całkowicie zasiedlone niemieckimi osadnikami. Polacy mieli zostać z tych terenów usunięci. Zanim to miało nastąpić mieli spełniać służebną rolę wobec „narodu panów" i w związku z tym obie te grupy ludności miały być od siebie odseparowane. Od momentu wcielenia miasta władze hitlerowskie podjęły szereg kroków mających na celu wprowadzenie pełnej segregacji narodowościowej między Polakami a Niemcami oraz licznie zamieszkującą w Łodzi ludnością żydowską.

Przemawiając do łódzkich hitlerowców w parku im. J. Poniatowskiego w dniu przyłączenia Łodzi do Rzeszy namiestnik Kraju Warty Arthur Greiser obiecał łódzkim Niemcom świetlaną przyszłość pod rządami hitlerowskimi i wskazał na Polaków i Żydów, jako na bezwzględnych wrogów niemieckości, wobec których Niemcy powinni zająć nieubłaganą postawę. Podobnie antypolską i antyżydowską mowę wygłosił dwa dni później prezes rejencji kaliskiej, do której należała wówczas Łódź, Friedrich Übelhör. Hitlerowska propaganda z miejsca rozpoczęła wielką kampanię mającą zdeprecjonować w oczach Niemców te narodowości i wzbudzić wobec nich pogardę i nienawiść. Miało to uzasadnić terror rozpętany przez okupanta wobec Polaków i Żydów, dominującą pozycję Niemców oraz rozdział narodowościowy.

Głoszono, że Łódź jest miastem niemieckim i prawowitymi mieszkańcami Łodzi i okolic są Niemcy. Hitlerowscy archeologowie ukuli tezę, jakoby ziemia łódzka była pierwotną siedzibą germańskiego plemienia Wandalów, którzy później wywędrowali na teren Cesarstwa Rzymskiego. Fałszywie też przedstawiano historię Łodzi przemysłowej, twierdząc, że twórcami miasta i jego rozwoju byli niemieccy osadnicy. Niemieckiego kapitalistę Karola Scheiblera nazywano nawet „ojcem miasta".

Polaków stale atakowano jako naród nietwórczy i pasożytniczy. Ciągle pisano o bałaganie i szkodach, które mieli powodować Polacy. Przedstawiano Polaków jako prymitywnych złoczyńców zdolnych do każdej zbrodni. Szerzono kłamstwa o rzekomych zbrodniach dokonywanych przez Polaków na mieszkających w Polsce Niemcach. Podobne oskarżenia kierowano pod adresem Żydów, których dodatkowo pomawiano o szerzenie chorób zakaźnych, co miało uzasadnić ich całkowitą izolację.

JUDEN RAUS!

Dla hitlerowców kierujących się kryteriami rasowymi jeszcze pilniejszą sprawą niż segregacja między Niemcami a Polakami było wprowadzenie segregacji na linii Aryjczycy — Żydzi. Początkowo planowano szybkie wysiedlenie z ziem wcielonych wszystkich Żydów. W sytuacji, gdy okazało się to niewykonalne postanowiono izolować ludność żydowską w specjalnie do tego celu tworzonych gettach.

Pierwsze zarządzenia segregujące Żydów od Aryjczyków wprowadzono jeszcze przed wcieleniem miasta do Rzeszy zakazując Żydom uczęszczania do lokali publicznych, parków oraz innych obiektów rekreacyjnych i rozrywkowych. Zaczęto również usuwać Żydów z lepszych mieszkań położonych w centrum miasta. Zakazano im nawet chodzenia po ul. Piotrkowskiej.

Po 9 listopada 1939 roku proces oddzielania Żydów od pozostałej ludności miasta nabrał gwałtownego przyśpieszenia. Już 11 listopada 1939 roku wydano zarządzenie nakazujące oznaczanie na witrynach sklepów narodowości właściciela. Ułatwiało to hitlerowcom grabież mienia polskiego i żydowskiego. Lekarzom żydowskim nakazano leczyć tylko Żydów. 13 stycznia 1940 roku zakazano Żydom korzystania z pierwszych wagonów tramwajowych, a w lutym 1940 roku zabroniono im w ogóle jeździć tramwajami. W grudniu 1939 roku wprowadzono na ziemiach wcielonych do Rzeszy ustawy norymberskie.

Zgodnie z wolą władz hitlerowskich Żydzi musieli się również odróżniać od reszty mieszkańców wyglądem zewnętrznym. Najpierw nakazano im nosić żółte opaski na rękawach. Później wprowadzono nowe zarządzenie zmuszające Żydów do naszywania po prawej stronie na piersiach i plecach dziesięciocentymetrowych żółtych gwiazd Dawida. Gwiazdy takie musieli oni umieszczać również na drzwiach swoich mieszkań na wysokości 1,6 metra.

Równocześnie odbywały się przygotowania do utworzenia getta. Decyzję o jego utworzeniu zakomunikował okupacyjnym urzędom prezes rejencji Friedrich Übelhör w okólniku z 10 grudnia 1939 roku. Dokładnie w miesiąc później podano do publicznej wiadomości, że w północnej części miasta utworzy się dzielnicę żydowską. Natomiast 8 lutego 1940 roku ukazało się już oficjalne zarządzenie prezydenta policji Schäfera ustanawiające odrębną dzielnicę mieszkalną dla Żydów. Na jej teren mieli zostać przesiedleni wszyscy łódzcy Żydzi. Poza jej granicami mogli Żydzi pozostać jedynie w wypadku zatrudnienia ich przy jakichś pracach, ale wtedy musieli zostać skoszarowani i pilnowani.

Natomiast Polacy i Niemcy zamieszkujący teren przeznaczony na getto musieli go opuścić i przenieść się do pozostałych części miasta. Ponieważ przez teren getta przebiegały ważne arterie komunikacyjne w postaci ulic Zgierskiej, Nowomiejskiej i Limanowskiego, postanowiono wyłączyć je z getta, z tym, że były one dostępne jedynie dla ruchu kołowego. Przesiedlenia związane z tworzeniem getta trwały przez kilka tygodni i 3 kwietnia 1940 roku hitlerowcy ogłosili zakaz przebywania Żydów w południowych i centralnych dzielnicach miasta, zaś 1 maja 1940 roku getto zostało już całkowicie zamknięte. Piętnastokilometrowy płot wzmocniony zasiekami z drutu kolczastego i pilnowany przez policję odgrodził szczelnie Żydów od miasta.

FÜR POLEN VERBOTEN

Odtąd główna uwaga hitlerowskich rasistów skupiła się na równie skutecznym przeprowadzeniu rozdziału narodowościowego między Niemcami a Polakami. Hitlerowcy przystąpili do dzieła z właściwą sobie skrupulatnością i bezwzględną konsekwencją. Dla zewnętrznego rozróżnienia między obu narodowościami wszystkim Niemcom, którzy nie nosili mundurów, nakazano nosić odznaki wskazujące na ich przynależność narodową — przewodnim motywem tych odznak była swastyka. Równocześnie zakazano Polakom noszenia jakichkolwiek odznak. Polskie mundury wojskowe i wszelkie odznaki wojskowe i cywilne musiały być przekazane władzom. Za ich potajemne przechowywanie groziły surowe kary.

Hitlerowcy bezwzględnie zabronili zawierania małżeństw między Niemcami a Polakami. Okupanci nie zezwalali na takie małżeństwa nawet w przypadku, gdy dane osoby żyły ze sobą jeszcze przed wojną, ale z różnych względów nie zalegalizowały swego związku. Małżeństwa polsko-niemieckie zawarte już w okresie okupacji uznano za nieważne. Honorowano tylko związki zawarte przed wybuchem wojny. Posiadanie dzieci z pozamałżeńskiego związku nie pomagało w uzyskaniu zgody władz na małżeństwo polsko-niemieckie.

Niechętnie zezwalano też na małżeństwa między Niemcami a przynależnymi do niepolskich grup narodowościowych (Białorusini, Ukraińcy). Jeśli już wydawano takie zezwolenie, wówczas było ono obwarowane żądaniem opuszczenia przez to małżeństwo Kraju Warty i wyjazdu do Niemiec.

Jedynie w wyjątkowych wypadkach udzielano zezwolenia na małżeństwo polsko-niemieckie. Działo się to wtedy, gdy władze rejencji po dokładnym zbadaniu sprawy przez Gestapo i Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS dochodziły do wniosku, że dana osoba narodowości polskiej nadaje się do zniemczenia. Wtedy również małżonkowie musieli opuścić Kraj Warty i wyjechać do Niemiec, gdzie polski współmałżonek miał być zgermanizowany.

Niektórzy próbowali obejść hitlerowskie zakazy. Stosowano głównie dwa sposoby. Pierwszy polegał na podawaniu się przez osobę narodowości niemieckiej za Polaka. W latach 1940—1941 wykryto w Łodzi około stu takich przypadków. Drugi sposób polegał na tym, że narzeczeni wyjeżdżali pod jakimś pozorem na teren Generalnej Gubernii, gdzie zawierali małżeństwo i już jako małżonkowie wracali do Łodzi. Po pewnym czasie władze hitlerowskie zorientowały się w tych praktykach i z całą bezwzględnością przystąpiły do ich tępienia. Małżeństwa tak zawarte uważano za nieważne, a małżonkowie podlegali policyjnym represjom. W tych sprawach zresztą urzędy okupacyjne podlegały ścisłej kontroli władz zwierzchnich i można powiedzieć, że jeśli chodzi o zawieranie małżeństw to segregacja narodowościowa była tu pełna i konsekwentnie przestrzegana.

Oprócz zawierania małżeństw okupanci zakazali również wszelkich pozamałżeńskich stosunków intymnych między Polakami a Niemcami. W wypadku, gdy wykryto naruszenie tego zakazu strona niemiecka podlegała karze więzienia lub innej mniejszej. Natomiast Polka była wysyłana do domu publicznego. Polak zaś podlegał wysokim karom więzienia, a nawet karze śmierci.

Zakazano także jakichkolwiek innych kontaktów polsko-niemieckich poza służbowymi lub wynikającymi z konieczności gospodarczej. Niemcom nie wolno było odnosić się przyjaźnie do Polaków ani utrzymywać z nimi prywatnych kontaktów towarzyskich. Zakaz utrzymywania kontaktów polsko-niemieckich odnosił się również do młodzieży poniżej lat 16. Każdy Niemiec przy przyjmowaniu do pracy musiał złożyć pisemne oświadczenie, że będzie unikał pod groźbą zwolnienia z pracy jakichkolwiek kontaktów z Polakami poza koniecznością służbową. Niemieckim urzędnikom nie wolno było popierać podań składanych przez Polaków.

Zupełne rozdzielenie Niemców od Polaków było niemożliwe z uwagi na konieczność pracy w tych samych zakładach i częste zamieszkiwanie w tych samych domach, a nawet mieszkaniach. Naziści robili jednak wszystko, aby segregację narodowościową uczynić najpełniejszą.

Wprowadzono zakaz wspólnego dla obu narodowości spożywania posiłków w stołówkach fabrycznych. Niemcy, o ile pozwalały na to warunki, jedli w odrębnych pomieszczeniach, albo jeśli zakład był mały i stołówka zajmowała tylko jedno pomieszczenie, mieli wydzielone w nim osobne stoły. Polakom zakazano wstępu do wszystkich lokali, sklepów i miejsc użyteczności publicznej określonych jako przeznaczone tylko dla Niemców. Zabronione zostało wspólne uczestniczenie przez Polaków i Niemców w nabożeństwach.

Również podróżować tramwajem lub pociągiem musieli Polacy i Niemcy w osobnych wagonach. W pociągach, za wyjątkiem pośpiesznych, którym Polakom nie wolno było wcale jeździć, był wydzielony wagon trzeciej klasy przeznaczony tylko dla Polaków i jedynie z tego wagonu mogli oni korzystać. W komunikacji tramwajowej wprowadzono zasadę, że pierwszy wagon przeznaczony był tylko dla Niemców, a z drugiego mogli korzystać Polacy. Jeśli zaś jeździł tylko jeden wagon, to dzielono go na dwie części — jedną dla Niemców, a drugą dla Polaków.

Segregacja między obu narodowościami miała istnieć nie tylko za życia, ale i po śmierci. W 1941 roku zabroniono Polakom grzebać zmarłych na tych cmentarzach, gdzie grzebano Niemców, a w początkach 1942 roku wyznaczono Polakom osobny cmentarz na Kurczakach.

Oczywiście w urzędach także wprowadzono segregację narodowościową polegającą na osobnym załatwianiu petentów polskich i niemieckich. Jeśli zaś musieli oni ze względów technicznych korzystać z jednego okienka, to wyznaczano osobne terminy przyjęć dla Niemców i Polaków. Oprócz tego funkcjonowała generalna zasada obowiązująca nie tylko w urzędach, ale dosłownie wszędzie, że Niemiec miał zawsze pierwszeństwo w obsłudze przed Polakiem.

Aby ostatecznie wprowadzić rozróżnienie między Niemcami a Polakami namiestnik Arthur Greiser nakazał swoim okólnikiem z 14 października 1940 roku, aby polskim dzieciom nadawać tylko typowo polskie imiona. Gdyby rodzice jednak chcieli nadać imię brzmiące jednakowo w obu językach, trzeba było dodać do niego jeszcze imię czysto polskie. Jako takie zalecano Władysław i Władysława. Natomiast okólnikiem z 1 listopada 1941 roku nakazano nadawać tylko imiona umieszczone w specjalnym spisie imion słowiańskich, a każdemu dziecku niezależnie od tego trzeba było dodawać imię Kazimierz lub Kazimiera. Z tych samych względów zabroniono urzędnikom zniemczania pisowni nazwisk Polaków.

Segregacja narodowościowa rozciągnęła się na wszystkie dziedziny życia dotykając każdego mieszkańca okupowanej Łodzi. Ta realizowana z taką skrupulatnością polityka miała według zamysłów hitlerowców umożliwić w przyszłości wychowanie i scementowanie „narodu panów", co umożliwiałoby hitlerowcom sprawne panowanie nad podbitą Europą. Na szczęście klęska hitlerowskiej Rzeszy położyła kres tym obłędnym rojeniom.

Jarocin'85

TOMASZ BARASIŃSKI

Dzieci kapitana Klossa

ROMAN KUBIAK

W szystkiemu winna muzyka.

...jest dobra i ta muzyka. Dobra muzyka to spokojna muzyka. Ale nie ze spokojna. Taka do tańca i do różańca. Żeby można przy niej naśpiewać kolendę i po ludzku zatańczyć. Zła muzyka przyplątała się całkiem niedawno. Kiedyś nie było złej muzyki i dlatego ludzie byli inni.

— *Lepsi?*

...kiedyś muzyka nie mieszała w głowach, nie zasiewała głupich myśli. Bo to była spokojna muzyka. Jak szło się na zabawę, to człowiek zakładał najlepsze ubranie, żeby się ludziom podobać. Potańczył, pogadał i grzecznie wracał do domu.

— *Zawsze?*

...teraz muzyka psuje ludzi. Młodych psuje najbardziej. Wszystko zło bierze się z dyskotek. Te farbowane włosy, te postrzępione łachy, narkotyki, złodziejstwo...

— *A wódka?*

...wódka jest dla ludzi. Porządnego człowieka wódka nie seświni. Albo ktoś będzie pijakiem albo nie — tak jemu pisane. Inne rzeczy można wybić z głowy. Od tego jest kij. Najpierw dyskoteki.

— *I co?*

...jest szkoła, jest kościół, jest sport. No i telewizja. Ale mądrze. Najlepsze są filmy o wojnie. Niech gówniarze wiedzą jak było naprawdę...

Więc tak: zawiniła muzyka. Kapela grała na chorych nerwach taty. Grała zakazane piosenki. Za bramą szkoły przeciągle wyła nuda, włazła w każdy kąt, przylepiała nos do zimnej szyby. A w żyłach pulsowała krew, uderzała do nóg. Do rąk też uderzała. Ojcowskie komendy wyłączały stare radio, goniły przed konfesjonał. W kinie leciał drętwy kawałek o ludziach z kamiennych pomników. Jak zaczęli tupać i gwizdać, to wyzwali ich od gówniarzy. A w żyłach pulsowała gorąca krew. Domowy telewizor ryczał na cały głos. Na ekranie dzielny oficer rozprawiał się z armią wrogów. Prał tamtych po tłustych pyskach: z lewej, z prawej, jeszcze raz z lewej. Był nieuchwytny i bezwzględny. Potem gasili telewizor. A w żyłach pulsowała krew, uderzała do rąk. Dlatego jeden gówniarz powiedział do drugiego:

— *Zrobimy Wehrmacht.*

— *Fajno* — odpowiedział drugi.

Busko Zdrój. Kilku gówniarzy chce być faszystami. Zakładają organizację *„Nienawiść — Tajna Anarchia"*.

Najstarszy zwie się Hans. Wcale nie ma na imię Hans. Nie jest ważne jak ma na imię. Chce być Hansem.

Wysokie, barczyste chłopisko. Niedawno skończył ósmą klasę. Już w podstawówce nazywali go faszystą. Został przewodniczącym sekcji porządkowej samorządu szkolnego. Kiedy jest akademia albo spotkanie z kombatantem, wtedy ktoś musi pilnować, żeby wszystko grało, żeby był spokój na sali. Faszysta dobrze to robił. Za dobrze. Posiniaczeni kumple skarżyli się.

Po lekcjach zakładał harcerski mundur. Lubił wakacyjne obozy. Mundur zawsze dodawał mu odwagi, prostował plecy. Bo tak naprawdę Hans jest bardzo nieśmiały, zalękniony nawet. A w mundurze czuł się silnym człowiekiem. Druh drużynowy mianował go przybocznym. Przyboczny to jest ktoś, bo wydaje rozkazy.

Hans strzela jak sam diabeł. Z prawdziwego karabinu, ostrymi nabojami. Pruje do tarczy, a dorośli klepią go po ramieniu:

— *Dobry jesteś. Najlepszy.*

Sami dali mu karabin. Hans miał wtedy chyba dwanaście, może trzynaście lat. Kazali mu iść na strzelnicę. Pokazywali co zrobić, żeby jednym strzałem rozpieprzyć wróbla. Nie, do ptaków strzelać nie kazali. Tylko do tarczy. Ale Hans wie, że do tarczy strzela się dla zabawy. Karabin służy do czego innego.

Potem, kiedy Hans nie pudłował, kiedy trafiał do ruchomego celu, wtedy przestali mu rozkazywać. Prosili. Klepali po ramieniu:

— *Najlepszy jesteś.*

Ma nawet dyplomy za to strzelanie. Wiesza je nad łóżkiem i marzy, żeby wisiał tam karabin. Bo człowiek z karabinem jest ważniejszy niż zwykły człowiek. Człowiek z karabinem mówi, a zwykły człowiek musi go słuchać. W telewizji często coś takiego pokazują: odkrytymi samochodami jadą chłopcy z karabinami. Bardzo młodzi, niewiele starsi od Hansa. Mają gładkie twarze bez zarostu i jasne bardzo groźne oczy. Jadą wolno i wsłuchują się w ciszę. Kolby oparte na biodrach. Są wspaniali. I wiedzą o tym.

Ci chłopcy noszą piękne mundury niedbale rozpięte na piersiach. To są panterki albo moro. Znak rozpoznawczy.

Więc liczy się karabin i mundur. Mundur Hansowi kupiła matka. Co miała nie kupić. Łaził za nią i powtarzał, że wszystkie chłopaki mają takie specjalne bluzy co nazywają się moro. Odczekała do wypłaty i na targu kupiła mu to moro. Pomacała towar: mocny, nieprędko chłopak zedrze. Takie moro jest lepsze niż skórzana kurtka nabijana ćwiekami. I tańsze. Jakby Hans chciał skórzaną kurtkę, to by mu nie kupiła. Widziała raz bandę dzikusów w takich skórzanych kurtkach. Mieli farbowane włosy i łaty na tyłkach. A moro to porządna rzecz. Hans cieszył się jak dziecko.

Ale najpierw mundur trzeba było przefarbować. Wyglądał na kradziony. Po co ma się chłopaka milicja czepiać, przecież żaden z niego punk czy hippis. Ot, spokojny, pobożny dzieciak. Nawet ostatnio do kółka różańcowego się zapisał, widać słuszną drogę obrał.

Z tym kółkiem różańcowym to był dobry pomysł. Na dyskotekę starzy by nie puścili, ale do kościoła proszę bardzo. Zbierali się za kościelnym murem: Hans i jego kumple, którzy też chcieli być faszystami. Pełna konspiracja. Zorganizowali niemieckie hełmy ze swastykami, pasy i ładownice. Tabliczki z trupimi główkami zrywali z energetycznych słupów. Przytwierdzali je do mundurów, żeby było tak samo jak na filmie. Ładnie było.

Starannie wypisywali bardzo ważne dokumenty. Każdy faszysta powinien mieć jakiś dokument świadczący, że jest prawdziwym faszystą. Bo ludzie nie chcą wierzyć na słowo. Nawet w domu nie chcą wierzyć na słowo. Ludzie jak nie widzą karabinu, to się nie boją. Nawet mundurów z trupimi czaszkami się nie boją. Dlatego trzeba mieć legitymację Wehrmachtu. Na filmach pokazują, że kiedy faszysta wyciąga swoją legitymację, wtedy każdy staje przed nim na baczność.

Te zakościelne zbiórki stały się trochę nudnawe. Mundury nie łaskotały oczu tak jak dawniej. Więc zaczaili się w krzakach. Pustą ulicą szedł jakiś człowiek. Wyskoczyli. Tamten oniemiał i rzucił się do ucieczki. Wiał w popłochu. Faszyści uścisnęli sobie dłonie.

Był groźni. Teraz przyszła kolej na stare porachunki. Dobrze zapamiętali, kto nazwał ich gówniarzami. Jest taki sprawdzony numer, pokazywany w filmach: trzeba słuchawkę przykryć chusteczką, zatelefonować, a kiedy odezwie się znajomy głos, trzeba wolno powiedzieć: *„Ty k..., jak nie przestaniesz, to my..."*. Słowo *„My"* zawsze brzmiało groźniej niż słowo *„ja"*. Za słowami poszły czyny: wybite szyby, anonimy w drzwiach mieszkań...

Długo nie czekali. Z ust do ust płynęła wieść, że w miasteczku szaleje mundurowa bojówka. O nie, to na pewno nie są gówniarze, to są terroryści. Szukano ich. Kobiety pod sklepem opowiadały, co by zrobiły z takimi zbrodniarzami. Obcięcie rąk było najlżejszą proponowaną karą. A oni pilnie oglądali wojenne filmy. Łowili każdy nowy pomysł na bezkarność. Dzielny oficer z ekranu znowu wykiwał głupich policjantów. Jednemu dał w mordę, że hej!

Przestraszyli się nieco. Ludzka wyobraźnia wybałuszała wielkie oczy i dopisywała im nowych „zasług". Wtedy postanowili przyjąć nazwę *„Nienawiść — Tajna Anarchia"*. Anarchia to jest modne słowo. Nie bardzo wiedzieli co ono znaczy, ale było nowe i budziło respekt. Podobnie jak nienawiść. Kogo nienawidzili? Kto nie był z nimi, był przeciwko nim. Po prostu.

Nie mieli zielonego pojęcia o tym, że wszystko zło w miasteczku będzie im przypisane. Przegapili tę granicę, gdzie kończył się szpan, a zaczynało regularne przestępstwo. Byli ścigani za podpalenie stodoły, pobicia, wymalowanie swastyk na pomniku Kościuszki, spalenie narodowych flag...

Kiedy ich złapano, znowu usłyszeli, że są tylko gówniarzami...

Najbardziej grzeszyły oczy.

...za późno przemówiła rózga. No bo czego więcej może chcieć smarkacz? Ma dom, portki na tyłku, głodny i bosy nie chodzi. Nas dzieci było siedmioro, a ojciec chleb w kredensie zamykał. Ja swojemu żarcia nigdy nie skąpiłem. Do zawodówki go poślę, żeby prawdziwe życie poznał.

— *Inne?*

...źle się dzieje, że tacy ludzie do nas przyjeżdżają. Niby na kuracje, ale co z nich za chorzy. Wypielęgnowani, z białymi łapami, widać, że ciężkiej roboty nie znają. Smarkacze ich podpatrują i zły przykład biorą. Potem sami nie wiedzą czego chcą. Głupie pytania zadają.

— *Jakie?*

...Sybilla mówi, że jak ludzie do cna poszaleją i zapomną o swoim przeznaczeniu, a na butach zawieszą dzwoneczki, wtedy nastąpi koniec świata. Chyba niedługo to będzie, bo ludzie tak się stroją, że tylko im dzwoneczków brakuje...

Więc tak: oczy widziały zbyt wiele. Letni mózg budził się z poobiedniej drzemki i zaczął dostrzegać barwy. Oczy widziały dwa bardzo różne światy. Jeden świat przyjeżdżał z pękatymi walizami. W walizach było dużo kolorowych ciuchów: na poniedziałek, wtorek, na środę, czwartek... Jakby każdego dnia była niedziela. Ten świat nigdzie się nie śpieszył, spijał mineralne wody, wymawiał niezrozumiałe słowa. Uśmiechał się. Ten świat pachniał wiatrem i dobrymi perfumami.

Drugi świat, który widziały oczy, bladym świtem człapał do roboty. Wciągał szarą połówkę i rozdeptane kapcie. Pachniał potem. Wieczorami leżał przed warczącym telewizorem, albo spijał cienkie piwo. Klął przy tym, że Bóg mu przebacz. Bóg przebaczał w niedzielę. Wtedy drugi świat wyciągał z szafy wszystko co miał najlepsze. Ksiądz mówił, że najważniejsza jest nieśmiertelna dusza, ona zdobi człowieka. A drugi świat rozglądał się wokoło, czy jest podobny do pierwszego. Nie był podobny. Dlatego jeden smarkacz powiedział do drugiego:

— *Pryskamy.*

— *Koniecznie* — odpowiedział drugi.

Busko Zdrój. Kilku smarkaczy ucieka z domów. Chcą zobaczyć inny, zakazany świat.

Mają po kilkanaście lat, szkolną mapę, finkę i parę groszy na czarną godzinę.

Jechali przed siebie, byle dalej. Przyrzekli sobie, że nigdy już nie wrócą. No, może kiedyś przyjadą odwiedzić rodzinę. Będą wtedy zupełnie inni, przywiozą zapach wiatru. Staną na dworcu, a kumple z klasy wybałuszą oczy. Opowiedzą im jak wygląda świat. Na pewno jest piękny. W podręczniku do geografii czytali, że ani film, ani fotografia nie odda piękna dalekich krajów. Trzeba je zobaczyć na własne oczy. A w ogóle, geografia jest bardzo ciekawa, chce się jej uczyć i uczyć. Lecz tato zapowiedział, że do liceum iść nie pozwoli, bo więcej zarabia się po zawodówce. No to co, że smarkacz jest ciekaw świata. Od oglądania jest telewizor. Za darmo.

Wsiedli w pierwszy lepszy pociąg i jechali. Szary krajobraz przesuwał się za oknami. Mijali senne osady, jeszcze smutniejsze niż własny dom którego się wyrzekli. Ludzie w pociągu rozmawiali głównie o pieniądzach. I wtedy postanowili jechać za granicę. Najlepiej do Austrii. Ale nie wiedzieli, że z własnego kraju nie można uciec tak jak z własnego domu. Zatrzymano ich pod Nowym Sączem.

Poszli do zawodówki.

Za ścianą gra muzyka. Gówniarze i smarkacze siedzą w domach. Hans przykleja nos do zimnej szyby. A w żyłach pulsuje krew, i zaraz stygnie pod ojcowskim wzrokiem. Bo winni muszą ponieść surową karę: za rodzicielski wstyd, za niewdzięczność, za nieposłuszeństwo, za muzykę i grzeszne oczy. Karać będą wszyscy niewinni: szkoła, dom, harcerstwo, które już ich nie chce znać.

Sami sobie winni.

Na podwórzu bawią się dzieci z sąsiedztwa. Biegają z patykami i odgrywają wielką wojnę. Strzelają do siebie jak do dzikich kaczek. Pod choinką znajdą plastykowe karabiny. Dzisiaj przywieźli je do kiosku. Poszły jak woda na młyn.

Marian Baryła

Stern

Być może, że największą rzeczą poezji, jaka jest jeszcze możliwa — jest rejestrowanie podziemnego drgania historii w tym co osobiste, powiedzieć można, historii świata w jakąkolwiek zwykłą środę.

Klaus Jeziorkowski

Niemieccy poeci reklamują papierosy i samochody
Niemieccy poeci uczą F. J. Straussa robić zdjęcia
Niemieccy poeci uwielbiają Marlenę Dietrich i Bismarcka
Niemieccy poeci przywiązani są do pewnych idei
uznających jednostkę za wolny i twórczy czynnik
w społeczeństwie
Niemieccy poeci na czele manifestacji pokojowych dają
wyraz swym postępowym poglądom
Niemieccy poeci potrafią powiedzieć: jeszcze Polska nie zginęła
Niemieccy poeci żądają powrotu do granic państwowych z 1937 r.
Niemieccy poeci pokazują swym czytelnikom groby więźniów
Katynia
Niemieccy poeci solidaryzują się z polskimi studentami
(Antisozialistische Element sind Symbole einer Respektlasen
Jugend gegen die Despotie des Parteiapparate)
Niemieccy poeci są ok
Niemieccy poeci piszą nawet wiersze

Ameryka

Amerykanie poszukują pozytywnego zaangażowania. Są zmęczeni negatywizmem.

James Watt

Ile Ameryki jest w obrazach Edwarda Hoppera malarza
który zmarł w 1967 i zdążył utrwalić na płótnie kilka
historyjek Opowieść o starym Adamie gwałtownie wyrzuconym
z raju i zastygłym daleko w dole pod naszym oknem jeszcze
przed minięciem tłumu nagich kobiet zaskoczonych przez
radość A może to prawda z Archaniołem Gabrielem?
Ile Ameryki jest w oczach JoAnne Akalaitie czy Elizabeth
LeCompte Tyle ile wyczytać można w spóźnionym wydaniu
popołudniówki o płaszczyznach obrazowania w teatrze
W istocie ono jest wizualnie tak jak język; niepodobna
czytać nie tworząc sobie w umyśle obrazów W oczach tych
dwu kobiet ujrzysz głęboko w nocy Makbeta zabitego strzałą
Kurosawę albo Konrada ugrzecznionego który przypadkiem
wpadł w ciepłe kalesony i świeże koszule Inaczej jest
z miłością i nie tą za pięćdziesiąt dolarów Może być
sprzedawca kaktusów czy urzędnik bankowy z nazbyt
roztańczonym
sercem W tych popołudniowych impresjach kryje się obca
gramatyka Obca bo nie oswojona na gruncie współistnienia
czy wymiany kulturalnej na którą zerka ciekawskie oko poety
jak na te wszystkie zwierzęta z zatraconą świadomością
gnieżdżące się w ogrodach zoologicznych w Polsce Berlinie
Wschodnim Węgrzech i Rumunii A zwierzaki wyciągają łapki po
cukier do nieznajomego wystrojonego w czarne lakierki i
modernistyczne wiersze I dostają cukru do woli Nawet
organizacje
charytatywne troszczą się o mąkę (z uściskiem dłoni) masło
wołowinę by nie stracić swojej moralności tak obcej dla
zwierzaków z Europy Wschodniej

Paris Match

Później jednak — z tych lub innych powodów — wielu z nas zagubiło się we mgle i już nie widzimy, tylko błądzimy w mroku, urządzając na kredyt nasze małe bunkry.

Andreas Simonffy

Olivia Pascal nie pamięta tych historyjek
sprzed pół wieku o których teraz w szklanej
ramce mówi pewien zaśliniony onanista w
okularach jak dna od butelek Bordeaux Żabojady
unikają tego tematu i wstydzą się przed ojcem
Leonardo za bandę schizofreników ładujących cuchnącym
Arabom środki psychotropowe A Boff zaciska wargi: Chrystus
nie umarł ze starości Umarł na krzyżu A gdzie jest teraz?
Pewnie ukrył się przed natrętnymi fotoreporterami w
opakowaniach po kefirze i tanim piwie i puszcza do nas
oko żując solone oliwki i popularne sardynki za jedyne
cztery franki które tak ładnie reklamuje śmieszna
blondyneczka z ogromnym jak Łuk Tryumfalny biustem
A ten facet z wąsem i żoną to ośmieszony przez
brukowe tygodniki były napastnik jednej z
pierwszoligowych drużyn hokejowych Nie cytowane
tym razem jego wypowiedzi w kolorowych folderach
nie wydawano komiksów z przygodami A przecież to
piąte nazwisko drukowane złotymi literami w
książce telefonicznej tego wielkiego i dziwnego miasta

Brytania

Widzimy tu człowieka tworzącego symbol ze znanego mu lokalnego krajobrazu, który niewiele by powiedział ludziom tradycji romantycznej.

Ned Thomas

Bob Hill zginął w starciach z policją podczas
strajku górników w listopadzie 1984 roku
Bob Hill zostawił żonę i trójkę dzieci
Bob Hill nigdy nie jeździł z rodziną do hrabstwa
Norfolk i nie zwiedzał tamtejszych kościołów
Bob Hill nie odwiedzał Jorvik — miasta Wikingów
Bob Hill miał kłopoty ale nie korzystał z pomocy
Obywatelskich Biur Poradnictwa Bob Hill nie zabierał
dzieciaków ani do Regents Parku ani do insektarium
motyli Bob Hill nie pasjonował się poezją i mało go
obchodziły książki Jeremiego Hockera czy Roya Fishera
Bob Hill nie znosił Tracey Ullman i wystaw orchidei
Bob Hill nie posłał swoich dzieci do Atlantic College
Bob Hill nie oglądał w TV programów popularnonaukowych
o światłowodach i elektrowniach atomowych Syn Boba Hilla
nie nazywał się Marsh Durham i nie zdobył tytułu Młodego
Technika Wielkiej Brytanii Bob Hill nie był nigdy w
Europie ani N. Jorku Bob Hill nie miał pojęcia kto
napisał Opowieści kantaberyjskie a jego chłopak nie nosił
fryzury w stylu unisex Bob Hill miał w domu czarny aparat
telefoniczny i nigdy mu nie zależało by mieć zielony
Bob Hill zginął w starciach z policją podczas
strajku górników w listopadzie 1984 roku
Jego żonę można spotkać na targu przy Berwick Street
gdzie kupuje przeterminowane konserwy

III nagroda w ogólnopolskim konkursie „Czółenko Tkackie" klubu „Wiadukt".

Herzog w TV — czyli serial idei

Pomińmy tu dyskusję na temat różnic w odbiorze filmów na dużym i małym ekranie, na rzecz stwierdzenia dogodnej sytuacji, w jakiej znaleźli się miłośnicy kina dzięki telewizyjnej emisji sześciu filmów Wernera Herzoga. Ewentualne ubytki odbiorcze rekompensuje w tym wypadku kumulacja i kondensacja świata idei filmów Herzoga, osiągnięta w rytmie cotygodniowych projekcji. Sam reżyser, w jednym z wywiadów podkreślał, że jego filmy są ściśle ze sobą powiązane i że lubi, gdy się je pokazuje razem — jeden po drugim. Przyswojona przez telewidzów konwencja serialu staje się tutaj gwarantem zachowania ciągłości i spójności obrazów.

Nazywam jednakże cykl filmów Herzoga serialem z przyczyn dalece ważniejszych. Istnieje bowiem, jak się wydaje, osobliwy świat Herzoga — świat niezwykłych bohaterów-odmieńców, świat potężnej i uśpionej, lecz aktywnej natury, biegunowo skonstruowany świat jawy i snu, realności i metafizyki, ładu i chaosu, normy i szaleństwa. Ów niezwykły świat spowija misternie spleciony erudycyjny wieniec idei, których egzemplifikacją stają się kolejne obrazy tego wybitnego zachodnioniemieckiego reżysera (w telewizyjnym cyklu obejrzeliśmy sześć z nich: „Aguirre, gniew boży", 1972; „Zagadka Kaspara Hausera", 1974; „Szklane serce", 1976; „Stroszek", 1977; „Woyzeck", 1979; „Fitzcaraldo", 1982).

Widać w obrazach Herzoga nałożenie na siebie czy równoległość dwóch ciągów znaczeniowych: pierwszy to ciąg zdarzeń w świecie przedstawionym, drugi to ciąg refleksyjny.

Herzog nie opowiada pewnej historii, lecz rekonstruuje ją w oparciu o źródło, o fakty. Konstrukcja całości podporządkowana jest raczej refleksji niż fabule. Statyczność obrazów, patos i ciężar idei burzą charakterystyczny dla twórczości fabularnej linearny porządek akcji i jej zasady dramaturgiczne. Ekspozycję większości filmów stanowi obraz natury, który wspiera informacja lokalizująca przestrzennie i czasowo prezentowane zdarzenia. Gros filmów buduje Herzog w oparciu o zdarzenia autentyczne choć niezwykłe. W przypadku filmu „Aguirre, gniew boży" źródłem jest pamiętnik mnicha Gaspara de Calvajara, uczestnika wyprawy do Eldorado w 1560 roku. „Zagadka Kaspara Hausera" bardzo wiernie odpowiada temu, co zanotowali o zdarzeniach w Norymberdze naoczni świadkowie — opiekunowie Kaspara oraz on sam. Wyraźny wpływ na sposób prezentacji zdarzeń ma aura tajemniczości i fantastyczności, która je otacza — mit Eldorado, romantyczna legenda o „dziecku natury". Strukturę baśni odsłania „Szklane serce", chociaż postać bawarskiego pasterza — jasnowidza odnotowano w kronikach. „Stroszek" to niemal biografia prawdziwego Bruno S., a pomysł do „Woyzecka" zaczerpnął Herzog z nie ukończonego, opartego na autentycznym wydarzeniu, dramatu Georga Büchnera.

W kilku przypadkach zamyka film symboliczna struktura koła (wirująca tratwa z Aguirre; w „Szklanym sercu" wyruszają w podróż dookoła świata odkrywcy; w kółko kręci się ciężarówka Stroszka). Koło sugerować może ślepy zaułek logicznego myślenia, jest jak pytanie pozostawione bez odpowiedzi. Koło to także symbol wieczności i być może chodzi tu o pytania uniwersalne i odwieczne.

Herzog pyta przede wszystkim o człowieka, a kolejne filmy są wciąż powracającym pytaniem o możliwość poznania ludzkiej natury.

Postacie z filmów Herzoga są, mówiąc delikatnie, nietypowe. Kulawy, garbaty, o satanicznej twarzy Aguirre, żyjący samotnie w górach nawiedzony pasterz-jasnowidz, upośledzony kulturowo Kaspar Hauser, Stroszek z osobowością dziecka, paranoik Woyzeck, natchniony szaleństwem miłości do sztuki Fitzcaraldo.

Postacie Herzoga są nie tylko niezwyczajne ale i niezwykłe. Wyposażył je bowiem reżyser w władze zmysłowe i psychiczne ponadnaturalne. Są inni niż reszta ludzi, nie dorównują im i zarazem górują nad nimi.

Odmieńcy Herzoga są jakby artystami-poetami „stworzonymi, lecz nie tworzącymi", są nadwrażliwi i obdarzeni zdolnością synestezji, śnią na jawie, są „inni".

„Inny" różni się od reszty społeczeństwa wyglądem, sposobem myślenia, sposobem życia i najczęściej narusza obowiązujące normy moralno-obyczajowe. Źródła odmienności mogą być różne: ułomność fizyczna, którą rekompensuje niezwykły „dar"; patologia psychiczna; boskie nawiedzenie lub diabelskie opętanie. „Genialność indywidualna — pisał Gombrowicz — jest najściślej połączona z chorobą, upadkiem, poniżeniem".

„Odszczepieńcy" Herzoga (może poza Aguirre) nie uosabiają złych mocy, lecz są raczej zdziwieni światem, w którym norma poprawności, doskonałości nie fascynuje i nie pociąga — przeciwnie, widać w niej ukrytą patologię. A zatem — zdaje się mówić Herzog — zło jest czynnikiem naturalnym, odwiecznym i uprawomocnionym. Można jedynie próbować odpowiedzieć na pytanie: skąd pochodzi?

„Moje pojawienie się na tym świecie było bolesnym upadkiem" — mówi w filmie Herzoga Kaspar Hauser, człowiek, który pierwszych kilkanaście lat życia spędził samotnie w ciemnej piwnicy. Znajda z Norymbergi (Kaspar pojawił się tam 26 maja 1828 roku) wzbudził sensację podsycając romantyczną wyobraźnię, by przekształcić się w końcu w dojrzałą refleksję o „człowieku natury", choć temat to jeszcze oświeceniowy.

Bardzo silnie jest tu manifestowana niechęć do kultury, nałożonej na człowieka natury i społeczeństwa ograniczającego jego autonomię.

Stanowisko to zdaje się potwierdzać sam Kaspar Hauser, który po okresie edukacji dał wyraz swym poglądom. Nie do końca rozumie on mechanizmy rządzące ludzką cywilizacją i kulturą, alogiczny wydaje mu się system norm społecznych. Pomimo dobrej atmosfery, jaka wytworzyła się wokół jego postaci Kaspar nie czuje się szczęśliwy, tęskni nawet za swym więzieniem. Świeżość tematu Kaspara Hausera, jego uwspółcześnienie uzyskał Herzog dzięki powierzeniu głównej roli dzisiejszemu sobowtórowi Kaspara Hausera, berlińskiemu włóczędze i grajkowi — Bruno S. Ten sam Bruno S. odtwarza tytułową postać w filmie „Stroszek". W obu tych obrazach „człowiek natury" w zetknięciu z rzeczywistością społeczną nieświadomie obnaża patologię cywilizacji, odkrywa deformacje, które społeczeństwo skłonne jest przypisać Kasparowi Hauserowi — Stroszkowi — Brunonowi S.

Człowiek w konfrontacji z potężną Matką-Naturą jest słaby i bezradny. Pokazuje Herzog („Aguirre, gniew boży") jaki wiedziony instynktem władzy człowiek posuwa się w głąb natury. Aguirre niczym szatan spycha do otchłani piekła człowieka z całą jego śmieszną cywilizacją: w sercu tropikalnej puszczy wszelkie umowy społeczne wydają się żałosną farsą.

„W szklanym sercu" nawiedzony pasterz przepowiada apokalipsę — w obliczu prawdziwych żywiołów natury z pewnością ustają wszelkie ludzkie prawa.

Tkwi zatem w filmach Herzoga romantyczny sprzeciw antycywilizacyjny i antyracjonalistyczny: może człowiekowi się tylko wydaje, że jest panem świata, że wszystko wie i może ujarzmić?

Postawa egzystencjalna Herzoga uwidacznia się jakby w samym założeniu jego twórczości. Punktem wyjścia wszelkich rozważań filozoficznych uczynił izolowaną wewnętrznie, samotną jednostkę. Jej egzystencja nie poddaje się poznaniu z zewnątrz, odsłania się raczej wewnętrznemu odczuciu w bezpośrednim przeżywaniu. Tej zasady trzyma się Herzog nie zmuszając swoich aktorów do uzewnętrzniania uczuć. Kamera z dystansu, statycznie, przy pomocy długich ujęć rejestruje działanie postaci, we wnętrzu której rozgrywa się właściwy dramat egzystencji.

Większość poczynionych wyżej spostrzeżeń ogniskuje w sobie epoka romantyzmu. Związki Herzoga z tą tradycją są wyraźne: samotny bohater, motyw wędrówki, zainteresowanie „ciemnymi stronami" życia, egzotyka i fantastyka, fascynacja legendą, baśnią, mitem itd. Zresztą, Herzog sam wciela romantyczny ideał w życie — prawie wszystkie jego filmy powstały w rezultacie wędrówek po świecie, podczas których utrwalał na taśmie niezwykłe zjawiska natury i ludzkiej egzystencji.

Przy okazji dodajmy, że wizyjność i irracjonalizm romantyczny łączą twórczość Herzoga z ekspresjonizmem (odczucie natury jako symbolu ukrytych sił nadrealnych: demoniczność i wampiryzm).

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

Dla kogo nagroda „Odgłosów"?

Na pytanie komu przyznać doroczną nagrodę „Odgłosów" dziś odpowiada JERZY WAWRZAK, literat, redaktor naczelny Łódzkiego Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej.

— Co to jest, według ciebie, upowszechnianie kultury?

— Osobiście — zakładając pewną przesadę — postawiłbym znak równości między tworzeniem a upowszechnianiem z prostego względu, że dzieło nawet najwybitniejsze, jeśli nie zaistnieje w świadomości społecznej, w istocie rzeczy nie istnieje w ogóle. Między bajki można włożyć poglądy czy oświadczenia samych twórców, że tworzą dla siebie, dla potomności itd. Wiemy doskonale, że robi się to dla innych. Problem jednak polega głównie na tym, że mamy wybitne czy wręcz znakomite osiągnięcia twórcze, natomiast od lat nie potrafimy tych wartości właściwie upowszechnić zarówno w kraju, jak i w wymiarze międzynarodowym. Moim zdaniem dla tej sytuacji nie ma usprawiedliwienia ani kryzysem ani przeświadczeniem, że jesteśmy krajem biednym, ponieważ nigdy nie staniemy się krajem bogatym, jeśli nasze społeczeństwo — również dzięki kulturze — nie wzniesie się na odpowiedni poziom kulturowy.

Nie czas obecnie i w najbliższych latach na wielkie inwestycje w kulturze. Zresztą infrastruktura jest absolutnie wystarczająca. Chodzi natomiast o jej modernizację: np. poligrafia, bazy produkcji filmowej, rozwój przemysłu papierniczego, a także bardziej nowoczesne zaprogramowanie działalności kulturalnej, np. domów kultury, czy najzwyczajniejsze w świecie podniesienie poprzeczki wymagań w odniesieniu do teatrów.

Niezbędne też jest upowszechnienie nieznanych dotąd środków upowszechniania, jak np. kasety video.

Innego rodzaju, ale także ważne, jest działanie na forum międzynarodowym. Dam przykład: ponieważ język polski nie należy do głównych języków światowych, toteż naszą literaturę należałoby w Polsce przekładać dajmy na to na angielski, francuski czy hiszpański, tu drukować i gotowe książki dostarczać na rynki zagraniczne. Nie jest to żaden pomysł nowatorski, gdyż czynią to z powodzeniem od lat: Węgrzy, Rosjanie, Czesi.

— Wobec tego, kto jest — według ciebie — działaczem upowszechniającym kulturę?

— Dla mnie działaczem kultury czy działaczem w ogóle jest każdy człowiek, którego motywy działania mają charakter altruistyczny. Stąd więc wysoko ceniąc np. dyrektorów instytucji kulturalnych nie zaliczam ich do tego grona (wyjątek zrobiłbym dla Antoniego Szrama, ubiegłorocznego laureata „Odgłosów", który jest człowiekiem niekonwencjonalnym). Takich ludzi szukałbym w różnego rodzaju związkach twórczych, towarzystwach społeczno-kulturalnych, wśród pasjonatów niezrzeszonych, bo są i tacy, a w ogóle wśród ludzi dających przykład swoim uczestnictwem w życiu kulturalnym swojego środowiska czy nawet mikrospołeczności, wśród której żyją na co dzień.

— Czy masz może swojego kandydata?

— W konsekwencji tego, co powiedziałem, wyżej, zgłaszam kandydaturę, dr *HENRYKA PUSTKOWSKIEGO*, adiunkta Uniwersytetu Łódzkiego, krytyka literackiego. Oczywiście zgłaszam go nie dla jego osiągnięć krytycznych, czy naukowych, które w tym przypadku pomijam, lecz jako autentycznego działacza Związku Literatów Polskich (włączył się do pracy jako sekretarz, a później jako wiceprezes łódzkiego oddziału ZLP w bardzo trudnym okresie odbudowy związku). Moja opcja na rzecz tej kandydatury wynika głównie z uznania dla jego pracy z młodymi twórcami. Tutaj Henryk Pustkowski jest wręcz nie tylko pasjonatem, ale instytucją dla młodych piszących, zwłaszcza robotników, którzy na dobra sprawę nie mają czasem gdzie się udać z własnymi problemami.

Jeśli z troską myślimy o przyszłości kultury, to przecież nie ma większej rzeczy, niż właśnie troska twórcza na co dzień w odniesieniu do najmłodszych.

E. IW.

Z półki recenzenta

PARK MAZURSKI

Nader rzadko zachęcam naszych Czytelników do nabywania wydawnictw albumowych, a to ze względu na rzadkość pojawiania się ich w sprzedaży. Dziś gorąco polecam pięknie wydany tom pt. „Mazurski Park Krajobrazowy". Nie jest to przewodnik, ale opis i fotografią tego wszystkiego, co na Mazurach służy człowiekowi, co pobudza jego wrażliwość i co stanowi dla niego nieodzowną wartość poznawczą. Autorzy mieli zapewne na względzie także i to, że w sytuacji, kiedy dewastacja środowiska naturalnego następuje tak gwałtownie, taka oaza jaką jest Mazurski Park Krajobrazowy, wymaga szczególnej opieki.

Mazurski Park Krajobrazowy. LSW 1985. Str. 350. Cena 1.400 zł.

ZABAWA W WYOBRAŹNIĘ

Łódzki Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej obok książek z dziedziny literatury pięknej dla dorosłych wydaje bardzo dobrze ilustrowane, ze smakiem edytorskim pomyślane i znakomicie wykonane (jak na obecne możliwości poligraficzne) książeczki dla dzieci. Właśnie ukazał się zbiór wierszy Czesława Kuriaty z rysunkami Krystyny i Andrzeja Milińskich. Są to wiersze proste, nie silące się na moralizatorstwo a opowiadające o rzeczach z najbliższego otoczenia, o zwierzętach, o morzu, o śniegu, o wiatraku, którym coś się zdarzyło niezwykłego lub sami stali się sprawcami zdarzeń. Jestem przekonany, że maluchy będą z uwagą słuchać tych opowieści, oglądać rysunki, które nie nużą a uczą zabawiając.

Czesław Kuriata: Zabawa w wyobraźnię. KAW Oddz. w Łodzi 1985. Str. 32. Cena 50 zł.

ŁAZARZ

Książka o kraju, gdzie od kilku lat leje się krew w walce protestantów z katolikami. Rzecz oczywiście o Irlandii Północnej. Bohaterem jest właściciel sklepiku, niejaki Yarr, jedyny protestant wśród katolickiej społeczności wiejskiej. I ten fakt determinuje całą opowieść o dramatycznych przeżyciach człowieka zagubionego wśród obcej mu grupy ludzi, choć niczym od niego się nie różniącej. Yarr, kiedy go poznajemy, mimo całej swej siły witalnej, mimo posiadania sklepu i żony katoliczki, jest sam. Samotność jest jego przeznaczeniem i unicestwieniem.

Przekład Haliny Cieplińskiej.

Maurice Leitch: Łazarz. WL 1985. Str. 256. Cena 170 zł.

BRAMY LIPSKA

Wydawnictwo MON wznowiło znaną powieść Jana Dobraczyńskiego „Bramy Lipska". Jest to opowieść o losach księcia Józefa Poniatowskiego, które obrosły legendą, a jego śmierć w Bitwie Narodów i rzekomo wypowiedziane natchnione słowa o Bogu i honorze stały się przysłowiem w tym dobrym a zarazem ironicznym znaczeniu. Jan Dobraczyński „odmitologizowuje" postać tego znakomitego żołnierza, mądrego wodza i patrioty. Książka szczegółowo przedstawia ostatnie chwile księcia Pepi, generała armii polskiej i marszałka Francji, śmierć bohaterską, ale czy potrzebną? Ocenę pozostawiam czytającym.

Jan Dobraczyński: Bramy Lipska. MON 1985 Str. 254. Cena 120 zł.

TANIEC W SŁOŃCU

Dan Jacobson, anglojęzyczny pisarz afrykański, mieszkający w Republice Południowej Afryki należy do białej rasy, ale jego książka, którą dziś proponuję, opowiada o dyskryminacji. Nie jest to wyjątek, gdyż w RPA żyje i działa spora grupa takich autorów widząca w segregacji rasowej jedną z najbardziej haniebnych plag współczesnej cywilizacji. Bohaterami minipowieści są dwaj młodzi chłopcy wędrujący przez monotonny, spalony przez słońce krajobraz południowoafrykański i na swojej drodze napotykający na to wszystko, co wywołuje tyle protestów w cywilizowanym świecie. A jaki jest ich do tego stosunek? Odpowiedź znajduje się na kartach książki.

Przełożył Edward Maruszak.

Dan Jacobson: Taniec w słońcu. Wyd. Lit. 1985. Str. 216. Cena 120 zł.

E. I.

Niemen w operze

Opera łódzka była w swych dziejach świadkiem rozmaitych wydarzeń — nie tylko zresztą teatralnych czy w ogóle artystycznych. Swej sali użyczała m. in. na gościnne występy muzyków i zespołów reprezentujących różnorodne kierunki. Koncertowali w niej Artur Rubinstein i Paco de Lucia, reprezentanci japońskiej muzyki tradycyjnej i zespół Republika; także beethovenowska „Missa solemnis" prezentowana była niegdyś w budynku na placu Dąbrowskiego przez rodzimych filharmoników. Tym razem (25.XI.1985) szacowne mury przyjęły muzyka, którego na scenach dawno nie widziano i o którego obecnej działalności niewiele wiedziano. Czesław Wydrzycki prowadzący artystyczną działalność od ponad dwudziestu lat, kilkakrotnie podejmował już przecież — publicznie ogłaszaną — decyzję o wycofaniu się z życia estradowego i skupieniu swej uwagi na realizacji muzyki teatralnej i filmowej oraz pracy w studiach nagraniowych. Niewielu jednak twórcom składającym w przeszłości tego rodzaju deklaracje, udawało się dotrzymać słowa. Podobnie było także i w tym przypadku.

Memu zamiarowi pójścia na koncert Niemena do opery towarzyszył od początku sceptycyzm, wypływający z zachowanej w pamięci serii nieudanych występów tych muzyków (np. Joe Zawinula w Sali Kongresowej na Jazz Jamboree 85), którzy przeżywając w ostatnich latach fascynację potencjalnymi możliwościami dźwiękowymi elektroniczno-komputerowego instrumentarium, zagubili całkowicie swą własną osobowość oraz świadomość celów artystycznej twórczości. Tony sprzętu elektroakustycznego i kilometry rozmaitych przewodów uznawane za atrybut współczesnego muzyka rockowego, a w niektórych przypadkach także jazzowego, przygniotły swym ogromem i splątały wielu twórców, nie potrafiących skorzystać z dobrodziejstw cywilizacyjnych osiągnięć. Prawdą jest chyba zresztą też fakt, iż owych możliwości nie byli w stanie wykorzystać przede wszystkim ci, którzy — nie posiadając de facto „iskry Bożej" — dla poprawienia własnego samopoczucia uznali się za wszechstronnie utalentowanych artystów, wierząc, że funkcje kreacyjne może pełnić za nich mózg elektronowy. W przypadku jednak twórców z prawdziwego zdarzenia — a do takich z całą pewnością zalicza się Niemen — opisane wyżej niebezpieczeństwo chyba na szczęście nie istnieje. Muzyk ten, uchodzący niemal przez cały czas swej artystycznej kariery za „straż przednią" polskiego rocka, zwykle przecież jako pierwszy prezentował techniczne nowinki na polskich scenach. Prawie zawsze jednak wiedział jak posługiwać się nowoczesnym instrumentarium, by uwypuklając jego możliwości brzmieniowe i rozszerzając w ten sposób plany dźwiękowe poszczególnych kompozycji, pamiętać jednocześnie o zasadach muzycznego kształtowania dzieła, o budowie jego struktury wewnętrznej i konstruowaniu całościowo rozumianej formy. (Tak właśnie było, gdy pod koniec lat sześćdziesiątych przywiózł do Polski egzemplarz organów Hammonda, a także wtedy, gdy w latach siedemdziesiątych poszerzył swe instrumentarium o grupę syntezatorów).

Nowa kreacja twórcza artysty, na którą złożyły się — obok muzyki — także teksty i narracja, pozwoliły słuchaczom na uświadomienie sobie faktu istnienia przepaści, dzielącej innych reprezentantów tzw. polskiego rocka A. D. 1985, dysponujących sprzętem równie wysokiej klasy co Niemen, od tego właśnie muzyka — muzyka w pełni świadomego celów artystycznego działania. Najnowszy program kompozytora, stanowiący rezultat przemyśleń ostatnich dwóch lat — łączy refleksje światopoglądowe twórcy z jego wizjami dźwiękowymi, kreowanymi przy pomocy komputerów. Urządzenia te — zastępując cały dawny zespół instrumentalny Niemena poprzez realizację zakodowanego wcześniej programu obejmującego kilka planów dźwiękowych — na szczęście nie wypierają „żywego muzyka", grającego na kilku elektronicznych instrumentach klawiszowych i śpiewającego własne teksty. Z uwagi na ich poetykę, a także ze względu na wcześniejsze (znane powszechnie) literackie fascynacje twórcy, za patrona owych utworów uchodzić mógłby chyba Norwid — o czym świadczy zresztą wypowiedziane przez Niemena motto całego programu. („Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala. Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?"). Refleksje moralne zawarte w tekstach zdają się oddawać stan ducha ich twórcy („Pod pręgierzem tchórzliwych podejrzeń DTP", „Klaustrofobia", „Począwszy od Kaina", „Antropokosmico blues"), który świadomość istnienia powszechnych, zewnętrznych zagrożeń cywilizacyjnych oraz wewnętrznych — wynikających z coraz gorszej kondycji etycznej człowieka, wyraził w znakomicie zainstrumentowanej modlitwie „Terra deflorata" — tytułowym utworze całego programu i przygotowywanej obecnie płyty. W „operowym" wieczorze Niemena nie zabrakło także autoironii (w komentarzach do własnych utworów) oraz pastiszowych propozycji muzycznych, stanowiących wyraz „dyskusji" z młodą generacją polskiego rocka („Unisono na pomieszane języki"). Trwający ponad półtorej godziny koncert przedłużył się znacznie z uwagi na kilkakrotne bisy, jakich domagała się publiczność. W jednym z nich przypomniał Niemen (w nowej szacie dźwiękowej) swój — brzmiący wciąż świeżo — przebój sprzed lat osiemnastu „Dziwny jest ten świat", a „kodą" owych bisów okazała się pieśń wykonana przez muzyka a capella (prezentowane w taki sposób utwory znalazły się już wcześniej na płycie „Russiche Lieder", wydanej przez zachodnioniemiecką wytwórnię CBS w 1973 roku).

Akustyka sali Teatru Wielkiego sprzyjała prezentacji elektronicznej muzyki Czesława Niemena, którego dawne łódzkie koncerty odbywały się najczęściej w sportowych „hangarach". Publiczność odwiedzająca operę w listopadowy wieczór 1985 roku była — przynajmniej w części — ta sama co w roku 1970 w drewnianej hali RTS Widzew. Od tamtego występu minęło jednak już piętnaście lat. Dlatego też niektórzy widzowie — wciąż wierni muzyce idola czasów swej młodości, ubrani w odświetne garnitury, przyszli do opery ze swymi dziećmi.

MAREK BIELACKI

Chopin na maszynie do szycia

Przyjechał do Łodzi i wystąpił w Teatrze Wielkim artysta Wydrzycki Czesław, używający pseudonimu „Niemen". Jak się okazało, jest to chyba pseudonim konspiracyjny... Artysta Niemen, skądinąd pieszczoch władzy przez dwadzieścia lat (nagrody w Opolu dostawał już to od Włodzimierza Sokorskiego, już od Macieja Szczepańskiego), laureat nagrody państwowej również, autor wstrząsającego songu, którego Józef Cyrankiewicz mógłby używać jako hejnału Komitetu Obrońców Pokoju, okazał się mianowicie kontestatorem, obrońcą swobód obywatelskich, środowiska naturalnego i świętej wiary przodków naszych!

Koncertu Niemena, przyznaję to, bez obawy o jakiekolwiek szykany ze strony aparatu ucisku, wysłuchałem z zaciekawieniem i przyjemnością. Dotyczyło to — zaciekawienie i przyjemność — warstwy muzycznej tego występu. Niemen zupełnie nie korzysta z pomocy żywych muzyków — gra na komputerach, syntezatorach i Bóg jeden wie na czym. Na scenie stoi ładne parę kilo żelastwa, migocące światełkami, i w ogóle wygląda tajemniczo i intrygująco. Zestaw tego sprzętu w przybliżeniu przypomina: pralkę automatyczną, zamrażarkę, maszynę do szycia i starego typu linotyp. A razem jak to gra! Jak cała orkiestra...

Żeby zademonstrować widzom swój kunszt, artysta Niemen, krzątając się wśród tego wszystkiego jak nie przymierzając po kuchni, odegrał nawet Chopina!

Choćby po to warto było iść do Wielkiego: żeby na własne oczy posłuchać, jak Chopina grają na maszynie do szycia.

Tyle o warstwie muzycznej. Była jeszcze, niestety, tekstowa, pióra samego Mistrza.

Artysta Wydrzycki Czesław okazał się poetą dosyć tradycyjnym formalnie — wszystko jest do rymu, po porządku, przy czym najchętniej stosowaną przez niego formą są czterowierszowe zwrotki, co druga linijka rymowana. Ot, jak w ludowych piosenkach albo w „Przygodach Koziołka Matołka". Ale jakież ważkie treści zawarł śpiewający poeta w tej niewyszukanej formie! Zaprotestował przeciw gwałceniu wolności jednostki przez bezduszny aparat ucisku (Departament Tchórzliwych Podejrzeń), zaapelował przeciw zanieczyszczaniu powietrza i wód (w sztandarowym songu pt. „Terra deflorata" (!), potępił stosunki pozamałżeńskie, technokratyzm i darwinizm. Opowiedział się zdecydowanie za Prawdą, Wolnością i Cnotą, a także Miłością, głównie Miłością do Stwórcy i bliźniego swego (jak siebie samego — jak wiadomo).

Ja otóż przeciw tym treściom nic nie mam, artysta ma prawo do swoich poglądów i może je formułować. Tylko po polsku! Tylko z sensem! A artysta Niemen wydał bełkot artystyczny.

Swoją drogą, okazuje się, że w Polsce nie można już spokojnie śpiewać o kwiatkach i dajmy na to, papużkach. Nawet gitarzysta basowy, nawet tancerka z operetki może być znana i uznana tylko wówczas, kiedy zaprotestuje, potępi, opowie się przeciw.

Ze zniecierpliwieniem czekam na recital Mieczysława Fogga. Jak wyjdzie na estradę i wykona protest-song pt. „Przeklęte komuchy", to będę wiedział co jest co: Artysta Fogg, podobnie jak Niemen, liczy się jeszcze na naszym rynku estradowym!

Bilety na koncert były w cenie 500 zł. Dlaczego? Za słuchanie takich pieśni z akompaniamentem muzyki organowej przywykliśmy dawać na tacę „co łaska".

ANDRZEJ KAROL

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko - obyczajowa

ZŁOTOUSTY ORATOR

Publicysta i kaznodzieja Konstanty Wolski (1762—1810), który wystąpiwszy w 1800 r. z zakonu pijarów wszedł w związki małżeńskie z Anną Bürger. Dawne środowisko nie darowało odstępstwa swojemu koledze, tym bardziej, że przed laty był nauczycielem w Collegium Nobilium w Warszawie. Atakowany zewsząd młody małżonek chwycił za pióro i wysmażył aż dwie broszury polemiczne „Ksiądz małżonek. Nic dziwnego, nic nowego" (B. m. 1800) i „Obrona księdza małżonka, czyli List odpowiedni na krytykę wyszłą przeciwko niemu" (Warszawa 1800). Swada kaznodziejska byłego pijara sięgnęła tam, gdzie przed laty próbował ostrzem swej satyry dotknąć ks. biskup Ignacy Krasicki — do klasztorów. W „Obronie księdza małżonka" czytamy:

Do waszego ja tu odwołuję się przekonania, mnichy klasztorne! Nie otwierajcie ust, które po większej części przyzwyczaiły się mówić obłudnie, ale otwórzcie serca i myśli wasze. Niech tam lud omamiony czyta historię waszej cnoty anielskiej. Tam on ujrzy potwory lubieżnych wyobrażeń, tam pozna wysilenia chuci, która im dłużej wstrzymaną była, tym gwałtowniej rwie tamy. Tam obaczy zbrodnię Onana, gwałty wyrządzane naturze, rozumowi, ludzkości. Tam się nauczy, jak bez względu nawet na płeć... Gdzie jestem? Różni czytać mnie będą, a ja chcę malować wszystkie wszeteczeństwa rodzaje, które się w lochach pustelniczych wylęgły.

I tak dalej, i tak dalej w tym stylu.

Z KSIĘGI NATCHNIEŃ GRAMATYCZNYCH

Jeśli kto spyta się was, panowie,
O wyraz w naszej najdłuższy mowie,
To bez wahania każdy odpowie:
Konstantynopolitańczykowie.
A gdy kto zechce mieć taki drugi
Wiedza odmówi swojej usługi.

Lecz się nie dajcie zbić z pantałyku,
Jest bowiem więcej w naszym języku
Słów rozmaitych takiego szyku,
Choćby ich darmo szukać w słowniku,
Gdy nie wierzycie, to ja wam wskażę,
Niechaj zawstydzą się słownikarze.

Gdy utworami karmne czułemi
Panny oderwą serce od ziemi,
Jakże je nazwać?... no cóż?... jakimi?...
Rozsentymentalizowanymi.
Bo je rój wieszczów, co pieśń im śpiewał,
Porozsentymentalizowywał.

Ozdobne dzieła lubim czytywać,
Wkrótce ich w handlu nie będzie zbywać,
Trzeba je będzie... po cóż to skrywać?...
Poprzechromolitografowywać.
Tak, tak!... jedyny środek zostanie:
Przechromolitografowywanie.

Gdym wiersz ten kreślił w takim sposobie,
Chciałem uwiecznić pamięć o sobie.
Niech więc napiszą na moim grobie:
Dziesięciozgłoskowyrazarobie,
Pokój ci wieczny, bo nie są głupcy
Dziesięciozgłoskowyrazoróbcy.

Pracowity ten wiersz popełnił niejaki Aureli Kurcz, a właściwie Władysław Sabowski (1837—1888), poeta, publicysta i dziennikarz, współpracownik pism warszawskich i krakowskich.

INTELEKTUALISTA

Cesarz austriacki, Ferdynand, nie odznaczał się zamiłowaniem do czytania i rzadko brał książkę do ręki, chociaż biblioteka pałacowa była zaopatrzona w dzieła wartościowe oraz najświeższe nowości.

Pewnego razu niemałe było zdziwienie nadwornego kamerdynera, gdy, stojąc w przedpokoju, przez szklane drzwi ujrzał monarchę, trzymającego w rękach dużą księgę i pilnie w nią wpatrzonego. Do przedpokoju weszli w tym czasie szambelan i spowiednik cesarza, a zaskoczeni faktem niezwykłego zainteresowania monarchy, postanowili nie przeszkadzać niecodziennemu zajęciu. W tej samej chwili jednak Ferdynand zamknął gwałtownie księgę, a gdy dworacy weszli, rzekł do nich, otwierając wielkie dzieło i pokazując zgniecioną między kartkami muchę:

— Długo czatowałem na nią. Nareszcie udało mi się ją pochwycić.

Lamus humoru (Warszawa 1933)

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Wspomnienie sprzed lat

Życie łódzkiego pisarza

Człowiek uważa się za łódzkiego pisarza. No i dobrze. Niech się uważa.

Idzie do „Honoratki". Spotyka znajomych. — Hallo, Jureczku, kiedy jedziesz do Olsztyna? No, jak byś pojechał do Nowickiego, to ja nie wiem. Nowicki, Wielki Pan, na Jeziorach rezyduje, a ty co? Byłbyś takim, co to mu dowcipy opowiada. Opowiadałbyś mu dowcipy, co?

Faktycznie, Nowicki-Nienacki, znana niegdyś postać łódzka, przemieścił się, jak to się mówi dzisiaj, na jeziora. A Łódź? Łódź jest dobra. A to jest tak, jak się na nią patrzy. Patrzysz. Pan Rymkiewicz. Władysław, z żoną. Jego żona mówi: — Władeczku, to Pan Waleńczyk.

Patrzy. — Ana — mówi. Idziemy dalej. Mijamy kierunki. Przed sklepem z instrumentami muzycznymi odchodzą. Przechodnie mnie ciągną dalej, Piotrkowską.

Życie łódzkiego pisarza polega cokolwiek na przypadkowości. Penetruje, bo penetruje swoje rodzinne miasto, ale chce się oprzeć na kimś. A na kim się oprzeć? Na herbacie? Dobrze. Idzie do Klubu Międzynarodowego na herbatę. Na czekoladkę. Przychodził tu niegdyś Gorzelski. Zniknął gdzieś. Dobry fraszkopisarz. Ba, a i podobno niezłe ma piosenki dla lekkiej muzy. Nie wiem, tak dalece. Ale nagród zbiera bardzo dużo. Tłumaczy także rosyjskich autorów.

Z czego żyją łódzcy pisarze. To jest zagadnienie. Od lat. Niezmienne zagadnienie. Przecież nie z pióra. A młodzi? Męczą się. Mikołajewski, młody, zdolny pisarz, męczy się. A zapowiada się nieźle. Jak na łódzkie warunki dla młodego prozaika. Poety.

Idę Piotrkowską. Spotykam Jana Czarnego. Odszedł. Gdzie? No, odszedł na Bałuty. Takie ładne, barwne, kolorowe bloki. A jakby cmentarzysko. Ale to chyba optyczne aberacje. Bloki są bloki, a ja mówię cmentarzysko.

Łódzcy pisarze żyją wyobraźnią. Wyobrażają sobie wiele. Że są ważni, że mają znaczenie, że się ich ceni, że dorównują wielkim, a to niedobrze. Zapominają, że jesteśmy tu wyrobnikami, że produkujemy coś niecoś prowincjonalnie, że Łódź reprezentują niektórzy, vide wiersze o tematyce łódzkiej, np. Pan Henryk Hartenberg z Placu Komuny Paryskiej, bardzo dobry Poeta, znany także z wierszy drukowanych na łamach „Folksztyme".

Łódź to jest Łódź.

Ostatnio coraz rzadziej widzi się na ulicach Jarmołowskiego, a szkoda. Dobry poeta. Co oficjalnie widziany, to oficjalnie. A nie gdzieś na zebraniu, konferencji, urzędowo, okazyjnie. Pracował — przy kinach łódzkich, przy Franciszkańskiej, a teraz, gdzie? Nie wiem. Dobrze. Ktoś powie. Nieważne.

A co ważne? Flora i Fauna łódzkich pisarzy jest ważna. Cieszymy się, kiedy Rysiek Doroba ze swoim „Łechtaniem Hioba" przychodzi do Międzynarodowego. Żyj tu, człowieku, ale jak? No, z twórczości. Pisarzy absorbują małe formy. „Semafor" to baza małych form.

Co to jest literat?

Co to jest życie literata na Prowincji? Przede wszystkim żyje sukcesami Wielkich. To ważne. Powodzenie Wielkich Pisarzy uzasadnia małe niepowodzenia Prowincjonalnego Literata. Znaczy się życie towarzyskie. Ale pisarze boją się siebie wzajemnie. Raczej się boją. Że nie są dobrzy, że źle żyją, że jest gorzej, jak piszą, że ich optymizm jest optymizmem państwowotwórczym. Gdzieś się melinują. Ale gdzie? Na uczelni. Na uniwersytecie.

Człowiek idzie na Uniwersytet Łódzki, wącha co nieco piekielnej aury, bo taka tu panuje. I dobrze. Tu Krytyka szanowna. Tu pamięć po zmarłych profesorach. Spojrzysz, a tu najważniejszy po Panu Bogu, Pustkowski. No, mutatis mutandis, tak bym powiedział.

Idziesz na Osiedle Lumumby, poczytać gazetkę zagraniczną, Arabowie, wozy zagraniczne, śmiech zagraniczny. A boisko studenckie też międzynarodowe, a nad nim niebo polskie. Przestrzeń niebieska polska, te działki, psiakość, polskie, ta bida, polska.

Ale nas stać na gest. Studia gratis.

Polska jest Polska. Łódź jest Łódź. Prowincjonalny pisarz węszy. Chce spotkać pisarza. Tego twórcę, który wierzy, że z literatury można wyżyć. Dobre sobie. Cóż, krytyka łódzka skupia się na Uniwersytecie Łódzkim. To można powiedzieć o Kaszyńskim, o profesorach, którzy niegdyś mieli bardzo aktywne podejście do młodej literatury.

Co to jest pisarstwo? Stara bida. Żyjesz sukcesem, którego nigdy nie było, albo żyjesz sukcesem, którego nie będzie, albo żyjesz sukcesem, którego nie ma. Dlaczego? Głupie pytania. Bo, jak mówi znany matematyk wśród literatów, Biskupski, najładniejsze jest to, czego nie ma. A co jest? Bida jest. Dlatego obserwuje się masowy exodus literatów na renty. A to chory, a to głupi, a to kuśtyka, a to się przestraszył, jak był dzieckiem, a to przestraszył się lunaparku na Wodnym Rynku, jak się huśtał na łódkach zbyt wysoko, a to alkohol, jak mówi znawca tych spraw, dr Mazur, obecnie ceniony, znany, także pisarz, z Zakładu Medycyny Społecznej. Znaczy się — taryfa ulgowa. A wymagania profesjonalne, to co? Niby coś się dzieje. Rafał Orlewski debiutował po dwudziestu latach pracy nauczycielskiej.

Pisał kiedyś Jażdżyński „Nauczyciela na wsi". Dobrze. Ba, a Gąsiorowski, kto? Wojewoda! Nie. Sołtys był. A pisał „Panią Walewską". Radził sobie z Napoleonem. Pewnie, jak by człowiek pojechał do Chin, jak Sieroszewski ongiś, to by napisał coś o chińskich zwyczajach. A tak, to ucz się do Ezry Pounda, albo od Auduna, profesora amerykańskiego. Co to jest np. Hong Kong. Egzotyka jest zawsze bardziej optymistyczna.

II.

Ja nie jestem bohaterem. Ja nie chcę być bohaterem. Tu nie ma szans na bohaterstwo pisarskie. Tu jest szansa na realizm. Taki realizm, którego się wstydzimy. Taki realizm który zdumiewa się na widok jakiejś lepszej butelczyny koniaku. Ale lepiej uważać. Jest gówno. Wszędzie jest gówno. Egzystencjalne, zlekceważone. Jest zło. Sprawy, które nigdy nie były sprawami. Jest Nicość. Dużo Nicości.

Jak to? A tak. Idą Nowe Generacje. Odczuwa się lekceważenie. Lekceważy się gości starszego pokolenia. Mojego pokolenia. Tak jest. Cóż.

Anomalia manifestują się wyraźnie. Aberacje. Cóż. Pisarz nie jest lekarzem społecznym. Nie te czasy. Zlekceważono SŁOWO. Tak, zlekceważono SŁOWO. A co chcecie teraz, jak zlekceważyliście SŁOWO? Preferowanie abstrakcji. Tak. Abstrakcję odczuwa się bardziej od tak zwanych realiów. Abstrakcja hierarchizuje się. Jest konkretna. Domaga się wniosków artystycznych. Logiki.

Ja nie jestem bohaterem. Jak wyrzucają łódzkie koszule na śmiecie, a „Wólczanka" wyrzucała, to czytelnicy gazet traktują to jako naturalne. Jak wyrzucają szynkę konserwową na śmiecie, jak gazety podają, to jasne. Jak wyrzucają papierosy „Carmeny" na śmiecie, to jasne. To co ma napisać pisarz, dziennikarz Rejtanowskie: Nie Pozwalam... Ba.

Czego tkniesz, to sól. Niedobrze. To mi przypomina dawne lata sześćdziesiąte. Pewnie to sól attycka. To znaczy jednak, że coś przesoliliśmy. Coś przesolił ktoś. Sól to jednak krańcówka. Przecież to nie studencka zabawa. A społeczeństwo bawi się jak studenci. Studenci odchodzą po zabawie na swoje placówki pracy, a ci którzy umożliwiają takie zabawy, pomagają, co mają powiedzieć? Chcieć wdzięczności od studentów? Ja nie chcę za bardzo krakać, ale sól to studencka zabawa. A od studenta co chcesz?

Pisarz jest kto? On ma gloryfikować życie? Czy ustosunkowywać się do życia? Jak? Napisz dobrą relację o ciekawym zdarzeniu, zbeletryzuj, a będziesz pisarzem. Pewnie. Ktoś by powiedział, to jest recepta. Na co?

Proszę Państwa. Jak pisarz ma się dzisiaj poczuć? Czy on jest romantyk, czy on jest ten niezadowolony, czy on jest co? Nie, proszę Państwa, on jest cichy, skromny pisarz, on chciałby być pisarzem gminnym, bo na wsi to jest spokój.

Łódzki pisarz to właściwie prowadzi życie po śmierci. On tak jakby umarł. Ale czy on umarł? Niech on żyje. Czym on żyje? On żyje złudzeniami nadziejami. Na co? Na to, że go będą drukować. On jest głupi, nadzieja jest matką głupich.

No, tak. Bo na emeryturę i Szuster Edward poszedł, i Fijas Zygmunt nabawił się zapalenia korzonków gdzieś zimą na jakiejś stacji zimnej, pełnej przeciągów, wiatrów, chłodu. Tak to z tymi peregrynacjami autorskimi. Jak Pan Wacuś Mrozowski umierał, to nieśli go na noszach ze szpitala, a po schodach idę ja. Mówię: panie Wacławie, niech pan się trzyma. A on podnosi głowę znad noszy szpitalnych, pielęgniarze dwaj obok niego, i mówi: — Panie Jerzy, trzymać, z kim trzymać, z kim?

Ale to było dawno. Od tego czasu już umarł Henryk Dinter, autor łódzki, znawca łódzkiej specyfiki, przemysłu. Umarł. A o Bernardzie Sztajnercie mówił: przecież pan Sztajnert to się męczy, nie uważa pan, że on się męczy?

Ja mówię: męczy się? To bardzo zdolny człowiek. A staliśmy na Piotrkowskiej, przed domem, gdzie jest mieszkanie Nowickiego, naszego przyjaciela. Chyliński też tu mieszkał. Zbyszek mawiał mi: — No, pojechałbyś gdzieś za granicę. To by ci dobrze zrobiło na dalsze twoje prace literackie.

Pan Bernard Sztajnert też Piotrkowską coraz rzadziej chodzi. Z kawiarń gdzieś zniknął. Do „Romy" na obiad nie przychodzi. Eh, melancholia.

Nie wiem, czy to jest dobrze, czy źle, ale ja lubiłem widzieć, jak pisarz idzie ulicą. A kiedyś to nawet widziałem, jak dorożką jechała Nałkowska Zofia. Ale kiedy to było...

Pewnie, że to nie ma znaczenia. Człowiek przecenia swoje możliwości. A Roman Śliwonik, jak przyjechał do Łodzi, to mówił mi, — Ty, Waleńczyk, nie przeceniaj swoich możliwości.

Tak powiedział.

Poumierało bractwo. Stracone pokolenie. Umarł Falkowski, mówił: — Ty, Waleńczyk, jesteś połączeniem Konopnickiej z Leninem. Dobry, co? Dobry.

A Oni myśleli, że z literaturą to żarty. Nawet dentyści brali się za literaturę, no i co z tego? Nawet nowe estetyki wymyślali. Zawiało nas cokolwiek. Zawiało. Nie będziemy pisać peanów pochwalnych. Przypominam sobie taką noc, a właściwie taki świt, wschód słońca. Piliśmy z Leszkiem Budzeckim. Studenckie czasy. Minęła noc, wróciliśmy do niego, a jego mama mówi: — Leszku, tyle książek nie przeczytanych. A tu jest, proszę Państwa, świt tu dnieje, dzień się rodzi, ostrożnie, uważnie nowe życie, a ona: „Tyle książek nie przeczytanych".

A kto by przeczytał tak wiele książek, co to piszą pisarze łódzcy, niełódzcy, a kto by to miał cierpliwość

JERZY WALEŃCZYK

Kronika kulturalna

800 filmów fabularnych, 16 tysięcy filmów krótkometrażowych i 360 filmów i seriali telewizyjnych wyprodukowała w minionym czterdziestoleciu kinematografia polska. Odniosła też szereg sukcesów międzynarodowych, wpisała się swymi najlepszymi dziełami w historię sztuki filmowej. Twórczość filmowa stała się w nowych warunkach społecznych jednym z najważniejszych zjawisk kulturowych, kształtuje światopogląd społeczny, niesie informację o rzeczywistości. Wszystko to sprawia, że film stał się ważnym elementem socjalistycznej rewolucji kulturalnej. Cele i aspiracje socjalizmu sprawiły, że zmieniły się oczekiwania widza kinowego, że film stał się głównym źródłem doznań estetycznych i intelektualnej refleksji. W czasach Polski Ludowej film awansował do kategorii sztuki, stał się równoprawnym składnikiem kultury narodowej — tak brzmiały główne tezy wystąpienia wiceministra kultury **Jerzego Bajdora** na centralnej uroczystości z okazji czterdziestolecia kinematografii polskiej, jaka odbyła się 2 grudnia w Teatrze Wielkim w Łodzi. W uroczystości udział wzięli: minister kultury i sztuki **Kazimierz Zygulski**, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR **Grzegorz Sokołowski**, sekretarz KŁ PZPR **Andrzej Hampel**, wiceprezydent m. Łodzi **Jan Nosko**. Stowarzyszenie Filmowców Polskich reprezentowali: prezes honorowy **Jerzy Kawalerowicz** i prezes **Janusz Majewski**. Bratnie kinematografie: **W. I. Diesiatiernik** (ZSRR) i **Ferenc Kohelmi** (WRL).

Następnie odbyła się ceremonia dekoracji zasłużonych pracowników kinematografii odznaczeniami państwowymi i odznaczeniami resortowymi. Krzyże Oficerskie OOP otrzymali: **Józef Arkusz, Michał Horowic i Stefan Szulc.**

Wytwórnia Filmów Oświatowych otrzymała z rąk Kazimierza Zygulskiego sztandar, specjalnie dla tej zasłużonej placówki ufundowany.

Po uroczystości odbył się koncert muzyki i piosenek filmowych, który TVP transmitowała w niedzielę w programie drugim.

Tego samego dnia odbyło się w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarcie wystawy „Kinematografia polska w czterdziestoleciu PRL". Wystawę przygotowało, działające w ramach Muzeum HML, Muzeum Kinematografii.

Uroczystości centralne odbyły się nieprzypadkowo w Łodzi — to tu powstawały pierwsze polskie filmy powojenne, tu do dziś powstaje ogromna część naszej produkcji filmowej. W naszym mieście działają trzy wytwórnie filmowe, jedyna w kraju Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna, Wytwórnia Kopii Filmowych. Łódź zajmuje też czołowe miejsce jako ośrodek propagandy kultury filmowej i centrum naukowo-badawcze filmoznawstwa.

CZTERDZIESTOLECIE obchodził też łódzki Teatr Powszechny. Dziesięć tysięcy wieczorów wzruszeń, śmiechu i zadumy zawdzięczają łódzcy widzowie swemu teatrowi. Na jego scenie przez czterdzieści lat podziwiać można było plejadę gwiazd: **Aleksandra Zelwerowicza, Karola Adwentowicza, Józefa Węgrzyna, Marię Malicką i Aleksandra Fogla.** Wystąpił także w Powszechnym „Dodek" — **Adolf Dymsza** w „Klubie Kawalerów" Michała Bałuckiego.

Na jubileuszowej uroczystości, w której udział wzięli przedstawiciele KŁ PZPR i Urzędu M. Łodzi, Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zarządu Głównego ZASP, delegacje młodzieży szkolnej i przyjaciele teatru, zasłużeni aktorzy, pracownicy artystyczni i techniczni teatru udekorowani zostali odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Krzyżami Kawalerskimi OOP udekorowano: **Zdzisława Kierońskiego i Franciszka Cybulskiego.**

Obecni na uroczystości przedstawiciele zaprzyjaźnionego Teatru im. Neumanna z jego dyrektorem **Vaclavem Meresem** przekazali na ręce dyrektora **Mirosława Szonerta** Medal Pamiątkowy Miasta Pragi.

Uroczystość zakończył spektakl „Kramu z piosenkami" Leona Schillera w reżyserii M. Szonerta.

Do końca ubiegłego tygodnia eksponowana była w Muzeum Historii Miasta Łodzi wystawa „Czterdziestolecie Teatru Powszechnego".

KOMISJA Historyczna WK ZSL w Łodzi, Komisja Historyczna ZW ZMW zorganizowała sesję popularno-naukową poświęconą dziewięćdziesięcioleciu ruchu ludowego. Ważniejsze referaty: prof. dr hab. **Helena Brodowska** — Geneza i rozwój ruchu ludowego w regionie łódzkim; dr **Edward Nowak** — Ruch wiciowy w regionie łódzkim 1928—1948; dr **Janusz Gmitruk** — Bataliony Chłopskie na Ziemi Łódzkiej 1940—1945.

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego czynna jest wystawa pn. „Ruch ludowy w sztuce".

W MUZEUM SZTUKI od 5 do 13 grudnia eksponowana jest wystawa mebli pn. „Przestrzeń dla dziecka". Wystawa prezentuje prototypy mebli, zrealizowane na Ogólnopolskich Plenerach Meblarskich w Hajnówce w latach 1978—1985. Autorami wystawianych prac są członkowie grupy twórczej „Hajnówka".

W KALISZU odbył się XII Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych im. Mieczysława Kosza, organizowany pod auspicjami Międzynarodowej Federacji Jazzowej. Na liście uczestników widniało dziewięć nazwisk młodych pianistów polskich, trzech Węgrów i Bułgar. Ponadto w sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej im. Henryka Melcera w Kaliszu wystąpiły takie znakomitości jak Artur Dutkiewicz, Christopher Spendel Sławomir Kulpowicz, Tomasz Stańko oraz zespoły: In Triadition, Bobo Stenson Trio i Michel Petrucciani Trio.

Konkursowi pianistycznemu towarzyszyły m. in. projekcje nagrodzonych filmów o jazzie (Jazz Film Saloon) i wystawa „Jazz Photo" — pokłosie konkursu fotograficznego, zorganizowanego przez Międzynarodową Federację Jazzową i „Jazz Forum" w hallu Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu. W lokalu Kaliskiego Towarzystwa Wioślarskiego odbywały się nocne jam-sessions.

Pianista szwedzki Bobo Stenson i niemiecki Christopher Spendel wystąpili również w Łodzi.

SESJA historyczna „SZP — ZWZ — AK Okręg Łódź 1939—1945" odbyła się w Muzeum Historii M. Łodzi. Organizatorami byli Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, ZW ZBoWiD i Muzeum.

Referaty wygłosili: **Józef Stolarski** — Geneza konspiracji na Ziemi Łódzkiej; **Józef Łubnicki** — Granice Okręgu Łódź SZP — ZWZ — AK; **Stanisław Skowron** — ZWZ — AK w powiecie łęczyckim (Obwód „Ogrody"); **Zygmunt Walter-Janke** — Granice Okręgu Łódź SZP — ZWZ — AK; **Edward Głowacki** — Obwód Brzeziny — Koluszki ZWZ — AK.

ŁÓDZKI oddział Towarzystwa Polsko-Japońskiego i Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Bałuty, przy współudziale ambasady Japonii zorganizowały III Tydzień Kultury Japońskiej.

W ramach dni odbyły się m. in. następujące imprezy: koncert pieśni japońskich (chór „Echo"), prelekcje o shintoizmie, architekturze japońskiej i literaturze tego kraju. Otwarto wystawy: „Z dziejów pieniądza japońskiego" oraz „Papier japoński i origami". Wreszcie kurs origami, pokaz japońskiej sztuki walki i spektakl japońskiego teatru lalkowego. Odbyły się projekcje filmów: „Neomugi Touge", „Matagi", „Wrota piekieł", „Wojownicy karate" i „Wejście ninja".

POSIEDZENIE Plenarne Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Piotrkowie Trybunalskim poświęcono ocenie dotychczasowych działań organizacji partyjnej na rzecz umacniania i rozwoju socjalistycznej kultury.

Przed plenum odbyły się konsultacje i kontrole partyjne. Zwrócono szczególną uwagę na zaniedbania w dziedzinie upowszechniania kultury w dużych zakładach pracy. W plenum uczestniczył członek Biura Politycznego, sekretarz KC **Jan Główczyk.**

ODBYŁA się uroczystość czterdziestolecia Państwowego Teatru Lalek „Pinokio". Teatr wystąpił w czterdziestoleciu ze stu pięćdziesięcioma premierami, dał kilkanaście tysięcy przedstawień. Krzyż Kawalerski OOP otrzymała **Marta Janic**, Krzyż Oficerski — **Józef Wdowiak.** Wręczono także Krzyże Zasługi i Odznaki Zasłużonego Działacza Kultury.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

(1907 = 1985)

27 listopada zmarł nagle w Warszawie, w wieku 79 lat, Stanisław Ryszard Dobrowolski. Tak się złożyło, że jeszcze kilkanaście dni temu, chcąc zweryfikować pewne fakty z historii „Kwadrygi" rozmawiałem z Poetą przez telefon. Żywotność, werwa i pasja, z jaką opowiadał o początkach tego pisma były dla mnie zaskoczeniem: przecież od tamtego czasu minęło więcej niż pół wieku!

Odszedł jeden z ostatnich przedstawicieli pokolenia, które tworzyło historię polskiego międzywojnia. Od początku świadomy swojej roli jako pisarza oraz społecznych i perswazyjnych funkcji sztuki, pozostał wierny tym zasadom do końca. Urodzony w Warszawie stał się Poetą jej robotniczych, postępowych i rewolucyjnych tradycji. Drugą stronę Jego biografii, równie ważną, stanowiła działalność społeczna i polityczna. Był Dobrowolski podczas wojny żołnierzem podziemia, a po wyzwoleniu, po powrocie z obozu jenieckiego, włączył się aktywnie w rytm odbudowy i tworzenia nowej rzeczywistości. Angażował się czynnie w prace Związku Literatów Polskich i ZAIKSu, któremu prezesował przez wiele lat. Wiele mu zawdzięcza organizacja partyjna warszawskich pisarzy.

W ciągu blisko sześćdziesięcioletniej pracy pisarskiej opublikował wiele tomów poezji i prozy. On był jednym z głównych inicjatorów znaczącej w dwudziestoleciu międzywojennym grupy literackiej „Kwadryga" i redaktorem „Nowej Kwadrygi", które to pisma po dziś dzień stanowią ważny dokument polskiej literatury lewicowej.

(GRZEG.)

Czy miał pan zawodowe szczęście?

Na pytanie: — Czy miał (czy nadal ma) pan zawodowe szczęście odpowiadają: LEON NIEMCZYK, MARIAN OPANIA, KRZYSZTOF PIECZYŃSKI, JAROSŁAW KOPACZEWSKI, WŁODZIMIERZ ADAMSKI.

Leon Niemczyk

Marian Opania

Krzysztof Pieczyński

Jarosław Kopaczewski

Włodzimierz Adamski

LEON NIEMCZYK: „NIE WOLNO ŻYĆ PRZESZŁOŚCIĄ..."

— Urodził się pan w Warszawie, ale nigdy nie był aktorem stołecznym.

— Pracę aktorską zaczynałem na Wybrzeżu; skąd przyjechałem do Łodzi, która w tym czasie była mekką aktorów filmowych i marzeniem było dostać się do tego miasta, gdzie skupiło się centrum filmowe. Do dziś centrum filmowe jest w Łodzi, a nie w Warszawie. A poza tym, jaka to różnica? Z Łodzi mam bliżej do Berlina, w którym pracuję od 20 lat i mam stałe kontakty. A poza tym wolę od Warszawy Paryż.

— Czy pierwsza propozycja z filmu to zbieg szczęśliwych okoliczności?

— Po angażu przez Jerzego Kawalerowicza do filmu „Celuloza", zostałem przeniesiony z Bydgoszczy do Łodzi i to miasto przyniosło mi szczęście. Pierwsza rola filmowa była zadaniem charakterystycznym i do dziś gram takie role.

— Każdy aktor ma słabe punkty — czy przyzna się pan do swoich?

— Powiem to panu prywatnie.

— Jak traktuje pan sympatię widzów?

— Należę do dość popularnych aktorów, ale na ogół taki aktor czuje się jak małpa w klatce, wszyscy i wszędzie na niego patrzą. Nie lubię tego, tak jak nie lubię być wciąż na afiszu. Satysfakcjonuje mnie tylko jak ktoś cicho powie: „Nieźle to zrobił".

— A gdyby nie był pan akceptowany?

— Pewnie poszukałbym innego zajęcia. Jest tyle ciekawych zawodów.

KRZYSZTOF PIECZYŃSKI: „CORAZ MNIEJ UNIESIEŃ, CORAZ WIĘKSZY STRACH..."

— Dwie role serialowe, popularność, szczęście zawodowe, kolejne propozycje i...

— Jeśli chodzi o serial „Dom", to dzięki Bogu zagrałem w nim rolę Bronka Talara, który ginie w jednym z odcinków. Moja ówczesna świadomość podszepnęłaby mi, żebym nie przyjął roli Andrzeja i grał ją przez 5 lat, co dla aktora jest mordercze. Bałem się długiej roli serialowej w „Życiu Kamila Kuranta", ale materiał aktorski już w sferze scenariusza był tak interesujący, że postanowiłem się z nim zmierzyć. Po emisji obu seriali, czasami ktoś krzyknął na ulicy: „Bronek-Kamil". Zorientowałem się, że żadna z tych ról nie stała się dla mnie rolą Hansa Klossa.

— Czy były propozycje następnych ról w telewizyjnych serialach?

— Były: trzy-cztery, ale odmówiłem. Nie będę grał w serialach w najbliższym czasie, bo uważam, że wystarczy już gnębienia widza moją osobą co tydzień i o tej samej porze.

— Ale stał się pan aktorem znanym, lubianym, obsadzanym?

— Znajomi mówią, że mam dużo szczęścia. Uważam, że jest różnie. Nie wiem, czy szczęście zawodowe należy upatrywać w popularności, ale mówiąc o nim i o marzeniach zacytuję słowa byłego znajomego Zbigniewa Książka: „Studenckie życie, znów brak zaliczeń, studencki pas i znowu skrycie o Ameryce i znowu w gaz".

— Jakie cechy aktora chciałby pan mieć, a wie, że ich nie posiada?

— Jak najdłużej chciałbym mieć te cechy, których nie posiadam, a powoli zaczynają mną dysponować. Jest to dla mnie niepokojące i chcę się przed tym bronić.

— Czy doświadczył pan na sobie, że płaci pewną cenę za uprawianie zawodu aktora?

— Oczywiście. Coraz mniej uniesień, coraz większy strach i pojawiająca się momentami zazdrość, którą walę w pysk na odlew i która znowu się pojawia.

— Sądzi pan, że jego warunki zewnętrzne pomagają mu czy raczej utrudniają angażowanie do filmu?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, czasami ktoś bąknie o fotogeniczności, ale nie spędza mi to snu z powiek.

— Nie marzy pan o spółce z jakimś reżyserem jak np. tandem Scorsese i de Niro?

— No cóż, marzę o spółce Pieczyński i Coppola, ale nie mogę powiedzieć, żebym nie był zadowolony ze spółki z Grzesiem Warchołem czy innymi reżyserami, z którymi do tej pory współpracowałem. Szczególnie, że przez tę pierwszą rozwiązałbym kilka problemów technicznych mojego życia.

JAROSŁAW KOPACZEWSKI: „STARAM SIĘ NIE MARZYĆ..."

— Młodzi aktorzy, tuż po dyplomie marzą o dużej roli i ogólnopolskim zauważeniu. Pan miał tę możliwość i skorzystał z niej skwapliwie, czy też długo się zastanawiał?

— Aktor przyjmuje to, co mu powierzają do zagrania, nie ma przecież możliwości wyboru. Rolę Bolka Małolepszego w serialu TV „W słońcu i w deszczu" otrzymałem w wyniku konkursowych zdjęć próbnych, do których stawało bardzo wielu aktorów z całego kraju.

— Ale po głównej roli w serialu nie grał pan przez pewien czas w filmie i telewizji?

— Aktor w Polsce dzieli swoją pracę na film i teatr, tzn. praktycznie gra w teatrze, a w filmie sporadycznie. Po roli w serialu nie grałem w filmie przez rok, ale nie uważam tego za przestój, bowiem grałem dużo w teatrze w Katowicach i Kaliszu. Miałem duże i odpowiedzialne zadania, np. Hamleta.

— Kiedy otrzymał pan kolejną rolę w filmie?

— Każdy aktor ma swoją indywidualną drogę, moją był nieustanny sprawdzian na zdjęciach próbnych do różnych filmów. Agnieszka Holland oglądając mnie jako kandydata do głównej roli w filmie „Gorączka" powiedziała: „On by to dobrze zrobił, ale nie pasuje mi do tego". Później miałem grać w filmie „Był jazz" z Feliksa Falka, zaangażowano mnie i później to odwołano. W tym czasie Jerzy Domaradzki robił obsadę do filmu „Wielki bieg", obejrzał zdjęcia próbne robione u Falka i... zaangażował mnie do głównej roli w swoim filmie.

— Czyli szczęście w niepowodzeniu?

— Można by tak to nazwać. „Wielki bieg" od dawna czeka na skierowanie do rozpowszechniania i moim zdaniem byłby cenną pozycją repertuarową naszych kin z uwagi na bardzo żywą, wręcz „amerykańską" akcję, znakomitą grę moich kolegów aktorów i głębokie treści humanistyczne, jak również wartości historiozoficzne, bowiem epoka lat pięćdziesiątych jest już dla nas, młodego pokolenia, legendą. Bardzo liczyłem na ten film i swoją w nim rolę. Pracuję nie tylko w filmie, ale i w teatrze, uważając, że teatr z filmem wpływają na siebie nawzajem, przy czym teatr uczy pewnych rzeczy, które mogą rozwinąć się w filmie i odwrotnie.

— Czuje się pan aktorem spełnionym w zawodzie?

— Tak, bo ten zawód daje mi dużo satysfakcji, ale jako zawód, a nie cel mojego życia. Poza tym chyba jeszcze wszystko przede mną.

— Zawód aktora wyobrażał pan sobie takim jakim go poznał?

— Jestem w tym zawodzie siódmy rok i jedno co dziś wiem, że inaczej wyobrażałem sobie ludzi wykonujących zawód aktora. W tym wypadku praktyka nie sprawdziła się z teorią. Ale w wypadku każdego aktora jest to do odrobienia.

— Na jakim jest pan teraz etapie?

— Za każdym razem życie weryfikuje ocenę. Np. w trakcie grania jakiejś roli przychodzi taki moment, że ma się wewnętrzne poczucie bezsilności i niemożności. Za każdym razem jest to najpiękniejszy moment dla aktora, bo z niego rodzą się nowe wartości w danej roli.

— Podobno miernikiem powodzenia w tym zawodzie jest popularność?

— Im prędzej aktor zrozumie, że nie popularność jest miernikiem jakości jego pracy, lecz pokora poparta możliwościami, tym lepiej dla niego.

WŁODZIMIERZ ADAMSKI: „W ŻYCIU ROBIŁEM WIELE RZECZY..."

— Na odkrycie w filmie czekał pan dosyć długo?

— Można by zapytać — czy to ja czekałem na odkrycie, czy też może reżyserzy filmowi na mnie? Debiutowałem jeszcze na studiach w roli generała, ważąc wtedy 120 kg, obecnie ważę 78 przy wzroście 192 cm. Tak naprawdę odkrył mnie dla filmu Janusz Kidawa. Później powstała już reakcja łańcuchowa.

— W przyszłości będzie pan dbał o jakiś określony wizerunek aktorski, czy też zadba o aktorską wszechstronność?

— Moim marzeniem jest być aktorem wszechstronnym jak np. Piotr Fronczewski lub Wiesław Gołas, sprawdzić się w komedii i dramacie. A przy tym zawsze być sobą. Zazdroszczę też kolegom, którzy oprócz aktorstwa mają jakiś konkretny zawód, co daje im ten cudowny dystans.

— W kształtowaniu osobowości aktora szczególne znaczenie ma jego życiorys, a pan podobno żyje mocno?

— Nawet bardzo, w życiu robiłem wiele rzeczy: byłem salowym na bloku operacyjnym w szpitalu ginekologicznym, przez rok byłem adeptem w teatrze lalkowym „Pinokio", ujeżdżałem konie, pchałem kulą w Klubie Sportowym „Start". Pierwszą osobą, która podsunęła mi myśl o aktorstwie była znakomita aktorka Bohdana Majda, która powiedziała. „Spróbuj iść w aktory, bo ty nikim innym nie będziesz". I to jedno zdanie zadecydowało, że uwierzyłem w siebie, bo w sumie jestem zakompleksiony.

— Przyjmuje pan wszystkie propozycje?

— Na bezmyślne selekcje i wybory mam jeszcze czas. Na razie chcę być zauważony, chcę zrobić jak najwięcej i jak najlepiej. Z każdej, najmniejszej roli można zrobić coś, czego przykładem był choćby Zdzisław Maklakiewicz.

— Jaki wiek najlepszy jest dla aktora?

— Chyba ten, w którym aktualnie jest i wierzy w to, co robi. Uważam, że jeszcze niewiele zrobiłem i wszystko przede mną. Boję się tylko, że jak coś chcę zagrać bardzo dobrze, to wtedy bardzo łatwo przedobrzyć. Chciałbym tego uniknąć, ale kto da receptę na to, żeby chcąc dobrze pracować stwarzać pozory luzu i tego, że mnie to nic nie kosztuje i nic nie obchodzi.

— A może trzeba iść za ciosem?

— Aktorstwo to perski rynek, albo kupują, albo nie, to tylko sprawa ceny i tego, z kim i za ile „robi się" ten handel. A że czasy niewolnictwa mamy już za sobą, dlatego mogę optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

■

Polemiki • Listy • Opinie

„TRADYCJA I WSPÓŁCZESNOŚĆ"

Centralny Związek Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Cepelia", Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie, Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych pod patronatem Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego ogłaszają konkurs, którego celem jest stworzenie twórcom ludowym płaszczyzny wypowiedzi artystycznej w związku z 90-leciem ruchu ludowego.

1. W konkursie mogą brać udział wyłącznie twórcy ludowi.
2. Konkurs obejmuje sztukę ludową w następujących dziedzinach: rzeźba (w drewnie, węglu, ceramiczna), malarstwo, tkactwo (tkaniny dwuosnowowe), wycinanka.
3. Każdy uczestnik może dostarczyć do 5 prac. Prace winny być wykonane specjalnie na konkurs i wcześniej nie prezentowane publicznie.
4. Każda praca musi być oznaczona godłem (pseudonimem wybranym przez autora) oraz zaopatrzona w następujące informacje: tytuł lub nazwa dzieła, rok wykonania, proponowana cena sprzedaży. W oddzielnej kopercie zaklejonej i oznaczonej tym samym godłem co praca, należy umieścić wykaz nadesłanych prac oraz imię, nazwisko i dokładny adres zamieszkania.
5. Prace można dostarczać osobiście lub przesyłać pocztą do 15 kwietnia 1986 roku pod adresem: **Państwowe Muzeum Etnograficzne, ul. Kredytowa 1, Warszawa**, z dopiskiem — konkurs z okazji 90-lecia ruchu ludowego. Za prace uszkodzone podczas przesyłki organizatorzy nie biorą odpowiedzialności.
6. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 maja 1986 roku.
7. Oceny prac, rozdziału nagród dokona powołany przez organizatorów, a zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Sąd Konkursowy. W skład Sądu wejdą przedstawiciele instytucji organizujących konkurs — specjaliści z zakresu sztuki ludowej.
8. Przewiduje się przyznanie następujących nagród i wyróżnień:
— w dziedzinie rzeźby, tkactwa i malarstwa: 3 nagrody pierwsze po 40.000 zł, 6 nagród drugich po 30.000 zł, 9 nagród trzecich po 20.000 zł, 18 wyróżnień po 5.000 zł;
— w innych dziedzinach sztuki ludowej: 1 nagroda pierwsza 20.000 zł, 2 nagrody drugie po 15.000 zł, 3 nagrody trzecie po 10.000 zł, 10 wyróżnień po 3.000 zł.
Łączna suma nagród wynosi: 680.000 zł.
9. Sąd konkursowy może dokonać innego podziału nagród i wyróżnień w zależności od ilości i poziomu artystycznego nadesłanych prac, nie zmieniając jednak ich regulaminowo ustalonej wysokości.
10. Fundatorem nagród jest Centralny Związek Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Cepelia".
11. Nagrodzone i wyróżnione prace będą eksponowane na wystawie pokonkursowej w Państwowym Muzeum Etnograficznym. Wręczenie nagród i wyróżnień nastąpi w dniu otwarcia wystawy.
12. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwokupu dzieł nadesłanych na konkurs.
13. Prace zakwalifikowane na wystawę a nie zakupione, zostaną zwrócone do końca 1986 roku na koszt organizatorów.
14. Dokładnych informacji na temat konkursu udziela Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie.

CO I JAK ZMIENIAĆ?

W uroczym miasteczku Sanoku bodaj po dziś dzień widzimy żelazne kraty z literami KKO w gmachu PKO. Jakże można było oczekiwać, że ludzie po wojnie zaczną składać pieniądze do nieznanej sobie PKO? Co innego KKO czyli Komunalna Kasa Oszczędności — firma przedwojenna, znana z solidności. A jakieśmy ponieśli straty, likwidując KKO? Wartałoby dać to za zadanie domowe urzędnikom, którzy sądzą, że 40 lat powojennych trudów niczego nas nie nauczyły.

Najlepiej wiedzą handlowcy, co znaczy nazwa. Niemiecka firma chemiczna BASF (Badische Anilin und Soda Fabrik) nie zmieniła swojej nazwy od 1861 roku, mimo że od tego czasu produkcja aniliny i sody stanowi znikomy ułamek całej wielosetasortymentowej produkcji tego obecnie międzynarodowego koncernu (fabryki w 16 krajach świata) z przewagą kapitału francusko-amerykańskiego. Do nazwy filii amerykańskiej dodano jedynie przymiotnik „American BASF", jak mężatce, która dumnie dodaje tylko ewentualnie nazwisko męża, nie rezygnując z poprzedniego.

Sąsiadom zza Odry nie przeszkadza nazwa „BUNA Werke", mimo że technologii kauczuku, od której poszła nazwa firmy (BU-tadien plus NA-trium) już się dawno nie stosuje. Bo to jest nazwa jeszcze przedwojenna...

OGAROPUDLICA

„SPOWIEDŹ EKSHIBICJONISTY"

Zbulwersowany moim tekstem, który powstał na kanwie „Ambasady" R. Kubiaka — pisze T.E.L. w numerze 47 „Odgłosów" („Albo oschłość serca"), iż przechwalam się w ekshibicjonistyczny niemal sposób tąże oschłością, wykazuję znieczulicę moralną nie współczując pensjonariuszom więzień. A między wierszami czytam, że jestem ponurym tępakiem, któremu wszelkie pozytywne ludzkie odczucia są obce. No cóż — ostry to atak i personalny. Tuszę przeto, że redakcja nie odmówi mi opublikowania tych kilku zdań wyjaśnień.

Przede wszystkim chcę podkreślić, że „oschłość" dotyczyła sprawców i spraw nagminnie występujących, nie dających się wytłumaczyć wielkimi tragediami i moralnymi załamaniami. Wyraźnie przecież pisałem, że każdy, choć w części jest kowalem własnego losu.

Prewencja i reedukacja! Oczywiście. Szkoda tylko, że T.E.L. ujął problem niejako teoretycznie i ani słowa nie powiedział o skuteczności tych metod (raczej — nieskuteczności) i to nie tylko u nas. A jeszcze inaczej rzecz ujmując (choć pojęć nie mieszam) — odczucie, że w takich sytuacjach dla olbrzymiej większości społeczeństwa najistotniejsza jest i z o l a c j a marginesu. Aby móc spokojnie żyć i pracować.

Jeśli T.E.L. lub jego najbliżsi, przyjaciele i znajomi byli (czego oczywiście nie życzę) obiektem napadu rabunkowego, pobicia, kradzieży itp., a mimo to zdania swego choć trochę nie zmienił — serdecznie podziwiam i zazdroszczę hartu ducha.

A tak w ogóle to zastanawiam się, czy opłaci się reagować (szczególnie na piśmie) na kłopoty i niedostatki życia codziennego, zajmować jakiekolwiek własne stanowisko i prezentować poglądy? Nie lepiej to poświęcić się badaniu np. przeszłości na tyle odległej, aby nie narazić się nikomu lub nie zyskać nalepki „ekshibicjonisty"?

W. AFELT

W „HALCE" JEST PIĘKNIE, ALE...

Artykuł pt. „Zimny befsztyk z pieczarkami" w „Odgłosach" nr 47 z dnia 1985-11-23 sprowokował nas do podzielenia się zgoła odmiennymi uwagami niż zaprezentowane przez p. redaktor Bogdę Madej.

Mieliśmy okazję kilkakrotnie gościć w restauracji „Halka" i nasze wrażenia, tak z powodu wystroju jak i obsługi kelnerskiej były bardzo miłe. Niestety cały urok psuły dwie sprawy.

Po pierwsze, to rozerwana wykładzina na środku sali, która tworzy groźną pułapkę dla konsumentów i obsługi kelnerskiej. Mieliśmy okazję widzieć potykających się o rozerwaną i nie zabezpieczoną wykładzinę konsumentów i kelnerów. Jednego z nas również spotkała ta wątpliwa przyjemność. Zwrócona na powyższy fakt uwaga kierownikowi pani Grzybowej, została przez nią wręcz zignorowana, co nas niezmiernie zdziwiło.

Drugą sprawą, która nas zbulwersowała był fakt kilkakrotnego zakłócenia atmosfery konsumowanych w miłej aurze posiłków przy jeszcze milszej obsłudze kelnerskiej (co rzadko się zdarza). Powody były prozaiczne, tym bardziej forma była dla nas zaskoczeniem. Otóż pani kierownik Grzybowa, w sposób niewybredny, a wręcz wulgarny swoje uwagi i zastrzeżenia do kelnerów i pozostałych pracowników głosem doniosłym i ostentacyjnym kieruje ze środka sali, nie przejmując się w zupełności znajdującymi się w lokalu konsumentami.

Wydaje nam się, że uwagi tego typu powinno się zwracać pracownikom na zapleczu, aby nie przeszkadzać konsumentom, tym bardziej, że jest to lokal kategorii I. Mamy wrażenie, że konsument dla pani kierownik Grzybowej jest złem koniecznym i najlepiej, jeżeli nie byłoby go w ogóle, a skoro już jest, to nie należy nim się przejmować.

Reasumując sądzimy, że powyższy list, o ile redakcja „Odgłosów" zdecyduje się go wydrukować, pozwoli pani kierownik Grzybowej zrewidować dotychczas przyjęte formy postępowania.

Z poważaniem

DARIUSZ KOBYLAŃSKI
KRZYSZTOF G. MARCZAK
(Łódź)

NAUCZYCIEL CZY CWANIAK?

Zgrabnie skrojony na modę minireportaż pt.: „A jak przyjdą wakacje, to się przebieram..." Romana Kubiaka (ODGŁOSY nr 47/85) czyta się łatwo i przyjemnie, ale odnosi się wrażenie, że postać nauczyciela jest wydumana lub zakłamana. Jakiż to nauczyciel, w jakiej szkole „pierwszego staje w kolejce do kasy po dwanaście tysięcy z groszami"? A nadgodziny? Czy po to stan nauczycielski wywalczył sobie 18-godzinny, najmniejszy w całej Europie, obowiązkowy wymiar czasu pracy w tygodniu, aby się tym kontentować? Ani słówka o dodatkowych źródłach zarobku, jak korepetycje. A przecież nawet z „Odgłosów" mogliśmy się dowiedzieć, że w 1984 roku stawka za korepetycje wynosiła do 600 zł za godzinę lekcyjną.

Naszego bohatera „trzymają w tym zawodzie (...) błogosławione dwa miesiące urlopu", które wykorzystuje na dorobienie „czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy z groszami", opróżniając szamba w miejscowościach kurortowych. Czemu nie został nauczycielem akademickim — miałby trzy miesiące urlopu... Czemu w ogóle pracuje w szkole? Nie trzeba być matematykiem, aby obliczyć, że wystarczałoby pracować nie dwa miesiące, ale cztery, czy pięć, by zarobić i dolę wakacyjną i pensję państwową (12x12 tys. = 144 tys. zł) — mając o s i e m błogosławionych miesięcy urlopu, w czasie których mógłby pracować za granicą. Wszak tam, jak się słyszy, najchętniej zatrudnia się obcokrajowców przy szambach, ale są to szamba, jak mniemać można, na wyższym poziomie techniki i BHP. Bo jakże oczy potem wypoczywają, patrząc na zielone banknoty.

Jeśli więc bohater reportażu nie jest matematykiem, to może w takim razie jest etykiem, bo „uczę co dobre, a co złe, co wypada, a czego nie należy robić" — zwierza się. Ale „etyki" jako osobnego przedmiotu nie ma w liceach. Może wykłada „propedeutykę filozofii", bo opowiada: „Stanę przy tablicy i będę mówił o tym, że należy zdobywać wiedzę, uczyć się wytrwale, bo wiedza jest warunkiem życiowego sukcesu, społecznego uznania, dobrobytu". Też nie pasuje, bo filozof, np. Albert Einstein powiedziałby, że zdobywamy wiedzę dla samej wiedzy, ponieważ poznawanie praw Natury jest najpiękniejszym przeżyciem człowieka.

Poważnie mówiąc, trzeba sobie uświadomić, że dopiero w naszych czasach nauczyciele cieszą się autorytetem, jakiego nigdy przedtem nie mieli.

Charakteryzuje to historia Stefci Rudeckiej z powieści „Trędowata", albo losy dwojga absolwentów seminarium nauczycielskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego w powieści Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie" („Tego samego dnia, kiedy Hanka Nagórska po s z e ś c i o m i e s i ę c z n y m (podkreśl. — EK) pukaniu w kuratorium otrzymała posadę kontraktowej siły nauczycielskiej w szkole podstawowej w Naprawie — tego samego dnia otrzymał zawiadomienie podobnej treści magister Andrzej Głaz. Mianowano go kontraktowym nauczycielem polonistyki w nowo otwartym seminarium nauczycielskim w Jordanowie").

Trzeba także stwierdzić, że autorytet nauczyciela jest opłacany stosownie do płac w pozostałych zawodach inteligenckich („średnia płaca inżyniera w przemyśle" — przy warunkach pracy i przywilejach, których ten inżynier nie ma).

Jeśli więc przesłaniem reportażu jest postulat dalszego zwiększenia płacy nauczycieli, to jest to głos chybiony. Jak śmiem wątpić, czy wielki jest pożytek w szkole z nauczyciela odbierającego podczas wakacji miejsce pracy niżej kwalifikowanym siłom, gdy odczuwa się tak dotkliwy brak wychowawców, zwłaszcza mężczyzn, na obozach i koloniach letnich, tak wątpię, czy podniesienie płacy wykładowcom wyższych uczelni w Rzeszowie, Kielcach czy Radomiu (niczego nie ujmując tym uczelniom) spowoduje deszcz nagród Nobla dla nauki polskiej?

Chociaż tak całkowitym szwarc-charakterem nasz bohater nie jest. Myli się bowiem, uważając „Niby dlaczego moi uczniowie mają brać przykład ze mnie, z nas, nauczycieli?". Mogą, a może nawet powinni od czasu do czasu, jeśli tacy nauczyciele istnieją, wziąć przykład jak spędzać wakacje za własne pieniądze. Ale tylko wakacje.

EUGENIUSZ KŁOBUDZKO

„REFLEKSJE OKRADZIONEGO"

A.B. (do tego, jak sam przyznaje, nieco lękliwy) pisze: „nie śmiem sugerować środków stosowanych w Anglii lub Szwecji swego czasu, które to środki, jakkolwiek nazwane „ahumanitarnymi" były na ładne kilkaset lat skuteczne". Dalej jest narzekanie na naszych budowlańców, których stolarkę „fachowcy" już dawno określają napoleońskim słowem »merde«. Mniejsza, że to nie jest określenie Napoleona, ale generała P.J.E. Cambronne'a (tłumaczone inaczej jako „Gwardia ginie, ale nie poddaje się"). Ważny jest wniosek. Jeśli tak słabe są nasze drzwi, na ogół ponieważ jesteśmy skazani na wykonawców uspołecznionych lub upaństwowionych, to może tych włamań jest z a m a ł o, a nie za dużo?! Jeśli tak skuteczne były surowe kary na Zachodzie, to czemu tak się solidnie zamykają, wymyślne blokady stosują? Czemu bez broni nie wyjdziesz na spacer i to nie w okolice Harlemu, ale do Central Parku, pewny, że nie wrócisz „nogami do przodu"? To przecież w chwalonej Anglii miał miejsce „napad stulecia". Perspektywa krzesła elektrycznego w wielu jeszcze stanach nie zmniejsza statystyki, według której co 0,5 minuty ginie człowiek zadźgany lub zastrzelony w USA.

Dlaczego A.B. czeka na wyniki śledztwa „bez nadmiernych nadziei"? Mogę również podzielić się refleksją pozytywną. Skradziony mi sprzed bloku rower został po 3 tygodniach odprowadzony przez funkcjonariusza MO. Wcześniej miałem oferowany do wyboru rower spośród kilkudziesięciu zdeponowanych w Komendzie MO.

A jak działa zbyt surowa kara, opowiem również na własnym przykładzie. Za zapalenie papierosa w hallu dworca kolejowego, ub. tuż przy śmietniczce z licznymi niedopałkami, przy drzwiach wyjściowych, z dala od wszelkich znaków zakazu tej czynności — zostałem ukarany niedawno mandatem w wysokości 500 zł (!) przez młodego, rozkoszującego się snadź dopiero władzą SOK-istę.

Teraz nic mi nie sprawia takiej przyjemności, jak palenie pod tablicami z zakazem palenia (ale czujnie!), tym bardziej, że rozmowa ze starszym funkcjonariuszem SOK uświadomiła mi, że mogłem zostać tylko pouczony, ewentualnie ukarany mandatem w wysokości co najwyżej 300 zł...

E.T.K.

KARA A NIE „ZEMSTA"

Jest taka anegdota sądowa, która mówi, iż pewien osobnik sądzony za zamordowanie ojca i matki, w ostatnim słowie prosił sąd o wyrozumiałość i łagodny wyrok, ponieważ jest... sierotą.

Nauka prawa określa karę jako jedną z form przymusu państwowego, mającego zapewnić respektowanie przez jednostkę ustalonych w społeczeństwie norm i zasad współżycia.

Wymierzając karę, sąd nie dokonuje aktu „zemsty", ale spełnia akt wymiaru s p r a w i e d l i w o ś c i. Jest to bardzo istotna różnica!

Akceptując wymierzoną przestępcy sprawiedliwość znajdującą swój wyraz w postaci kary, możemy nie znajdować miejsca na współczucie względem skazanego. I wcale nie oznacza to, że motywem naszego postępowania jest zemsta, czy choćby tylko „oschłość serca".

Współczucie, to bardzo piękna cecha ludzkiej natury. Prawda. Tyle, że powinno być kierowane pod właściwym adresem. Nie wiem, czy rzeczywiście powinno być kierowane ku przestępcy, a nie jego ofierze? Czy godnym współczucia jest siedzący „pod celą", tęskniący do wolności (w jej różnorakich przejawach), pozbawiony wielu „wolnościowych" przyjemności, morderca, sprawca pobicia, rabuś czy pospolity złodziejaszek — czy może raczej osierocone przez niego dzieci, zgwałcone kobiety, nieodwracalnie okaleczeni ludzie, czy choćby okradzeni, którym zrabowano dorobek nieraz całego życia? Osobiście uważam, że współczucie dla przestępcy ubliża jego ofiarom. Oczywiście, są również przestępcy przypadkowi: ktoś zbytnio zaufał drugiemu, nie dopełnił obowiązku kontroli, w następstwie czego zaistniało przestępstwo, a potem wyrok i kara. Ale odsetek takich jest niewielki, a kary wymierzane w takich wypadkach są zazwyczaj zawieszane.

Celem kary jest prewencja i reedukacja. To prawda. Ale prewencja indywidualna wyraża się właśnie w odizolowaniu od społeczeństwa osobników zdemoralizowanych, uznających jedynie autorytet siły i brutalności, wyznających kult cwaniactwa, postawy szlachetne i prawe traktujących jako wyraz słabości i „frajerstwa". Długotrwała izolacja takich właśnie osobników chroni społeczeństwo przed zagrożeniem z ich strony i usuwa źródło demoralizacji. Nie wiem jak skuteczna jest reedukacja skazanych. Wskaźnik powrotu do przestępstwa, czyli recydywy jest wszakże ciągle bardzo wysoki, niestety. Ale reedukacja realizowana jest — oprócz innych działań prowadzonych przez aparat więziennictwa — także poprzez samą karę. Sam fakt kary i jej wykonywania, także oddziałuje wychowawczo.

Nie wiem ilu posłów głosowało za uchwaleniem ustaw z 10 maja 1985 roku: „o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach" oraz „o szczególnej odpowiedzialności karnej". Nie sądzę wszelako, aby wszystkich ich cechowała „oschłość serca", a tym bardziej, aby w swym postępowaniu motywowali się uczuciem „zemsty". A ustawy te zaostrzają odpowiedzialność karną za niektóre przestępstwa, ograniczają możliwość zawieszania wykonania kary pozbawienia wolności, czy możliwość warunkowych zwolnień z zakładu karnego.

Wiem natomiast, że uchwalając wspomniane ustawy, Sejm był wyrazicielem społecznego żądania wzmożonej, skutecznej walki z zagrożeniami ze strony tych, dla których „rok — nie wyrok, a dwa lata — jak dla brata". Nie w trosce bowiem o przestępcę społeczeństwo ustanawia normy prawa karnego, ale dla własnej ochrony, dla zapewnienia dla siebie prawa do życia spokojnego i bezpiecznego. I doprawdy nie wiem, dlaczego miałoby się współczuć tym, którzy normy te lekceważą, łamią i naruszają.

PIOTR SIKORSKI

KIEROWCA MPK O SOBIE I PASAŻERACH

Pracuję jako kierowca autobusowy już 8 lat w zajezdni przy ulicy Kraszewskiego. Znam ten zawód na tyle, ażeby móc się na ten temat wypowiedzieć obiektywnie bez dymnej zasłony. Do napisania tego listu skłoniły mnie uwagi o MPK ukazujące się na łamach gazet codziennych „Głosu Robotniczego" i „Dziennika Łódzkiego". Są to przeważnie opinie negatywne o pracy kierowców i motorniczych, wyglądzie autobusów i przystanków.

Każdy wybiera sobie taki zawód, ażeby dawał mu on satysfakcję i mógł sprostać jego zadaniom. Lubię moją pracę i daje mi ona pełne zadowolenie. Ale do rzeczy.

Nagminnym grzechem (według pasażerów) kierowców i motorniczych jest:
1 jazda parami,
2 zamykanie drzwi „przed nosem",
3 przycięcia części ciała i garderoby,
4 niebranie pasażerów, gdy się zjeżdża,
5 „awarie specjalne",
6 zjazdy bez przyczyny,
7 brudne autobusy,
8 niepunktualność itp.

Wiele razy możecie się przekonać, że autobusy tej samej linii jadą parami a nawet trójkami. I wtedy „krew was zalewa", dlaczego się tak dzieje i co się stało? Składa się na to kilka czynników.

Pierwszy, to brak wozu (zjazd awaryjny, brak zmiany).

Drugi, to maksymalna frekwencja na linii np. 57, 70b itp.

Trzeci, to natężenie ruchu na danej trasie np. 64, 57, A, 52 itp.

Czwarty, to częstotliwość na danej linii co 5—7 minut np. 57, A.

Każdy kurs np. lini 57 jest punktowany na krańcówkach: Karpacka, Dworzec PKS-Północ. Jeżeli ja tam nie przyjadę, to mam niezaliczony kurs, trzeba pisać raporty wyjaśniające, nie zgadzają się kilometry, a co za tym idzie i paliwo. Nie ma więc możliwości, aby zawrócić w przeciwnym kierunku. Jedziemy parami, trójkami na Dworzec PKS, a stamtąd jak zadecyduje ekspedytor. Ale przeważnie znów się spotykamy na trasie i tak jest na linii 57 w godzinach szczytowych. A trzeba pamiętać, że linia 57 obsługuje: Szpital Kopernika, „Uniwersal", „Juventus", pl. Dąbrowskiego, Dworzec Fabryczny, Doły i Dworzec Północny. Do pracy tłok, po pracy tłok, i tak jest aż do zamknięcia sklepów tzn. 18—20. Składa się także na ten bałagan na linii 57 przepustowość ulic. Na przykład ciągłe korki na ulicy Sienkiewicza.

Jeżeli pracuję 9 godzin i 15 minut i zacząłem pracę o godzinie np. 5.00 (wyjazd), to pracę kończę o godz. 14.15. Ale jest brak zmiany. I teraz zaczyna się: czy poczekać, a może zmiana przyjdzie, czy zjechać do zajezdni, czy jechać jeszcze jedno kółko?

Kierowca też człowiek, może być zmęczony. Ma obowiązki w domu (żona, dzieci, sprawy osobiste, obiad). Jeżeli pojedzie jesz-

ze str. 1

ące jedno kółko, to zajmie mu to ponad godzinę i gdy wróci, to będzie około godziny 15.30. Zjeżdżam wtedy do zajezdni i wychodzę o godzinie 16.00 z pracy, a w domu jestem około 17.00. To już byłaby 11 godzina mojej pracy, nie licząc wstania przed 4 rano. Następnego dnia przyjście do pracy wyznaczone na godzinę 3.10.

Wielkim **mitem są nasze zarobki. Prawda jest taka:** pensję 25—30 tysięcy zł może mieć kierowca z najwyższą stawką tzn. 40 zł/godz., wysługa lat — 20 proc., godzin około 240 (wyjeżdżonych) i mając płacone za przerwę między jedną pracą a drugą. To jest ponad 70 godzin więcej, według przyjętej miesięcznej 168 godzin. To jest obraz pracy kierowcy, który pracuje półtora miesiąca w miesiącu. Praca z „wolnego" daje raptem 1400—1500 złotych. Ale takich samobójców nie ma za dużo ponieważ pamiętają kolegów, którzy się szybko wykończyli. Zarobki średnie zatem wynoszą na ogół 18—21 tysięcy przy ponad 200 godzinach pracy.

Dlaczego autobusy nie przyjeżdżają na czas rano na krańcówki? Kierowcy są o oznaczonych godzinach w zajezdni np. 2.30 czy 4.00, ale nie ma sprawnych wozów. Spóźnialski kierowca „grzeje ławę", albo idzie na warsztat i skrobie kanały.

Nie przeczę, że zdarzy się zawiniony przez kierowcę opóźniony wyjazd. Przed planowanym wyjazdem mamy prawo przyjść 20 minut wcześniej. Sprawdza się olej, dolewa wody, „pompuje" powietrze w zbiorniki ciśnieniowe i okazuje się, że coś nie gra, zanim się dojdzie — co i dlaczego, już jest opóźnienie. Zaopatrzenie w części zamienne jest bardzo mierne, mieszanie płynu borygo pół na pół z wodą, słaba organizacja warsztatu, to wszystko ma wpływ na naszą pracę, którą odczuwa miasto.

Kary sypią się ciągle i obficie: brak numerka służbowego, kilkuminutowy wcześniejszy zjazd, wypadek, nie zdana przepustka, i dzień nieobecny (nagana, premia), nawet za „robienie" zakupów w postaci 26 bułek i rogala na śniadanie.

Rozgoryczony jestem tym (i nie tylko ja), **że nawet najlepszy** kierowca, z długim stażem, czystą kartą, za małą usterkę czy drobne wykroczenie może być ukarany natychmiast. Zapalenie papierosa pomaga nam nieraz: człowiek śpiący, zdenerwowany, spięty w sobie ma prawo chyba zapalić, kiedy chce. Wiem, że jest przepis, który to wyraźnie określa, ale jest to moim zdaniem „suchy przepis — nierealny". Bywa nieraz tak, że nie ma dosłownie czasu **na tego papierosa i kierowca musi sobie zapalić** w czasie jazdy.

Następnym **„grzechem" jest zamykanie drzwi „przed nosem".** Dla mnie pasażer to człowiek, który czeka w promieniu 15—20 metrów od znaku oznaczającego przystanek. Gdy podjeżdżam, to widzę, kto jest na przystanku, otwieram drzwi, czekam, jak wejdzie, przyciskam dzwonek ostrzegawczy i zamykam stopniowo drzwi. No i teraz się zaczyna: zza autobusu, z boku, z przodu pędzą ludzie, żeby wsiąść, a tu nagle drzwi się zamykają. Mają prawo? W lusterkach bocznych pole widzenia (w dzień) jest ograniczone — raptem 1,5 metra na boki, a w nocy lub w deszcz? Nic.

Kilka lat temu kierowca ruszył z przystanku i zatrzymał się przed starszą osobą, która kiwała, aby się zatrzymał. Stanął i potem ciężko żałował. Przy wsiadaniu kobieta przewróciła się i złamała nogę. Oczywiście Pogotowie Ratunkowe, MO. Milicja spytała, gdzie był przystanek, to wystarczyło. Kolegium i na pół roku zatrzymane prawo jazdy. Podobne przykłady można mnożyć.

Niezabieranie pasażerów przy zjazdach. Tak, przyznam się, że nie mam na to żadnej ochoty, z tego powodu, że to są bardzo trudni pasażerowie, przeważnie podpici (no, bo kto jeździ po godzinie 23.00?).

Zjazdy awaryjne bez przyczyny. Chciałbym wyjaśnić, że awaria wozu nie musi być widoczna. Spadek ciśnienia oleju, brak ładowania, brak sygnału dźwiękowego lub ostrzegającego itp. Mogą być także zjazdy do zajezdni na dolewkę oleju. Każdy zjazd jest sprawdzony przez KT.

Brudne autobusy. Prawdę mówiąc szczotki nic nie dają (zimna woda). Trzeba by szorować ręcznie i to się nieraz robi. Wozy mają jednak ciągle jeździć (przerwy około 4—5 godzin). Można by tę sprawę dograć z kierownictwem (były takie propozycje), aby razem ze zmiennikiem przyjść w dzień wolny od pracy i myć wóz z zewnątrz i wewnątrz, ale za godziwą opłatę. Ale czym myć, do szyb powinny być płyny, gąbki, szmaty itp., a tego u nas nie ma. Sprawa się urywała, bo wóz musiał wyjechać na trasę i sprawa wynagrodzenia była nieuregulowana (600—700 złotych na dwóch).

Takie są nasze „grzechy" (chyba nie wszystkie). A „grzechy" pasażerów? Oto one:

— po wyjściu z wozu wychodzą momentalnie przed autobus albo za jego tył;

— pchają się do wnętrza, gdy dzwonimy, by odsunęli się od drzwi;

— palenie papierosów, picie alkoholu (tak, tak);

— zanieczyszczanie wozu czym się da: papiery, bilety, pestki, skorupki od orzechów, chleb, ogryzki, kwiaty;

— przewożenie rzeczy niedozwolonych: butle gazowe (puste i pełne), szkło, meble, taczki, przedmioty ostre nie zakryte, jak akcesoria blaszane samochodowe, piły, duże psy bez kagańców itp.;

— przechodzenie przez siatki druciane oddzielające tory;

— zaśmiecanie przystanków tramwajowych i autobusowych;

— okazywanie braku dobrego wychowania w stosunku do współpasażerów, jak i do obsługi pojazdów MPK;

— udawanie wielkich „dżentelmenów": pani od wozu dość daleko, on kładzie nogę na stopniu i czeka na swoją panią, która nie spiesząc się podchodzi.

Przewożenie pasażerów pod wpływem alkoholu nie jest dla nas przyjemne. Powód? Zarzygany autobus, zmoczenie się, przewrócenie w wozie lub obok wozu, zatrzymanie autobusu z ruchu, awantury itp.

Przewożenie rzeczy niebezpiecznych — chodzi w tym przypadku o butle gazowe i szkło. Zapakujcie te butle w torby, szkło kocami i będzie spokój. A tak to później wynikają z tego niemiłe spięcia między nami. Po co? Na co?

Słowo — przepraszam, proszę, dziękuję, to sprawa chyba XXI wieku. Są pasażerowie uprzejmi, kulturalni, którzy rozumieją naszą pracę i za to im pragnę podziękować. Ale najczęściej używane zwroty to: dziadostwo, łobuz, nygusy, chamy itp. Nasz kochany kierownik każe liczyć do 10 na każdą zniewagę, ale my nie jesteśmy z drewna, i gdy nasza racja, to mamy prawo bronić swojego honoru osobistego.

Na koniec dobre rady dla pasażerów:

— nie siadać (rano) na siedzeniach, gdy ktoś jest bardzo czysto ubrany (można się ubrudzić);

— wózek z dzieckiem wkładać tyłem a nie przodem, ponieważ wózek znajduje się pod dużym kątem i dziecko się zsuwa (regulamin mówi także o zapinaniu dziecka w szelki);

— osoby „trunkowe" powinny mieć przy sobie torebki foliowe (gdy się źle poczują, to się bardzo wtedy przydają);

— osoby pijane niech nigdy nie siadają, grozi to spadnięciem z siedzenia, przejechaniem danego przystanku i w finale znalezieniem się w Izbie Wytrzeźwień;

— jedzenia lodów także nie polecam, bo przy hamowaniu może wypaść i będzie żal do nas.

KIEROWCA MPK

(Imię, nazwisko, adres i numer służbowy tylko do wiadomości redakcji)

Za kręgiem polarnym

— I tak, i tak. Lubią towarzysko, z hałasem i tańcami, z pieśnią na ustach. Jednak nie tak dużo. Ceny są tu skuteczną zaporą, myślę, że piliby chętnie dużo więcej, gdyby alkohol był tańszy. Alkohol zresztą zdobyć bardzo trudno. W całym Tromsoe są tylko trzy sklepy z alkoholem, czynne przez pięć dni w tygodniu przez kilka przedpołudniowych godzin. W żadnym innym sklepie nie kupi się niczego mocniejszego niż piwo. Trzeba przyznać, że piwo mają mocne i bardzo dobre... Tylko kilka restauracji prowadzi wyszynk i bierze za to grube marże. Najskuteczniejsze są jednak ceny — butelka polskiej wódki o pojemności 0,7 litra kosztuje około dwudziestu dolarów, a to jest równowartość **pary dobrych dżinsów** albo dwóch płyt długogrających czy taniego magnetofonu.

— Zajmijmy się jednak czymś poważniejszym. Pracowałeś na uniwersytecie jako wykładowca. Jak wyglądają tam studia medyczne?

— Pracowałem jako „kontraktowy profesor" czy „rezydent" nie ma to właściwie odpowiednika na naszych uczelniach.

Studia medyczne są rzeczywiście dość różne od naszych. Na pierwszych latach studenci uczą się przedmiotów pomocniczych, filozofii na przykład, aby następnie przejść do medycyny właściwej, której uczą się w układzie zupełnie innym niż u nas. Działy stanowią całe układy np. trawienny, oddechowy itp. Kurs dotyczący całego układu zaczyna się od anatomii tego układu aż do patologii i terapii. Po zakończeniu tych kursów „narządowych" odbywa się piekielnie trudny egzamin z całości. Praktycznie z całości medycyny! Następnie student **odbywa kilkumiesięczne praktyki w poradniach** rozsianych po całej Norwegii i wraca do uniwersytetu, żeby odbyć ostatnie dwa lata w klinice. Wówczas studiuje poszczególne działy medycyny — chirurgię, położnictwo itp. Pracuje właściwie na stanowisku lekarza, pod okiem specjalisty oczywiście. Studenci w ogóle dużo pracują. Wakacje trwają dwa miesiące, z czego z reguły miesiąc zajmują bądź to dowolne, bądź obowiązkowe praktyki, zresztą nieźle płatne. Nie jest to bez znaczenia, bo większość studentów musi przejść przez studia na własny koszt. Jest rozległy system pożyczek na studia, które spłaca się po ich ukończeniu...

— A stypendia?

— Ze stypendiami jest gorzej. Niewiele o tym wiem, bo nie rozmawia się przecież ze studentami o pieniądzach. Natomiast banki bardzo szeroko reklamują pożyczki na studia i stąd można wnosić, że ten system jest rozleglejszy od stypendialnego.

— Prowadziłeś wykłady po angielsku. Nie było problemów z tym, że cię studenci nie rozumieli?

— Znajomość angielskiego, to jest sprawa poza dyskusją. Tam nie można studiować, przynajmniej medycyny, bez znajomości angielskiego. Po prostu nie ma norweskich podręczników... Nie miałem kłopotu z porozumiewaniem się po angielsku nawet z laborantkami, z personelem pomocniczym, dosłownie — ze wszystkimi.

— A propos — nauczyłeś się trochę norweskiego? Potrafisz się dogadać po norwesku?

— Wstyd powiedzieć — nie. Nie miałem ani takiej potrzeby, ani możliwości. Potrafię zrozumieć prosty artykuł w gazecie i to wszystko.

Ale chcę jeszcze wrócić do studiowania. To może być pouczające dla polskiego czytelnika. Otóż zetknąłem się tam ze studentami, którzy naprawdę chcą się uczyć, a nie tylko zaliczać. Byli dociekliwi, zasypywali wykładowców pytaniami, byli szczerze zainteresowani przedmiotem wykładu... A na zakończenie kursu odbywało się zebranie, na którym opiniowali wykładowców! Kierownictwo uczelni przywiązuje do tych opinii dużą wagę, wyciąga z nich wnioski. Nie wiem, czy także personalne...

— Norweską służbę zdrowia poznawałeś nie z bliska, pracowałeś w klinice uniwersyteckiej. Ale przecież sporo i tak o niej wiesz...

— Sporo. Przede wszystkim usługi służby zdrowia są płatne. Ubezpieczeni są wszyscy albo prawie wszyscy, ale ubezpieczalnia tylko dopłaca do honorarium lekarza lub do zabiegu. Stawka za wizytę lekarską jest wysoka, a pacjent płaci około trzy czwarte, resztę dopłaca ubezpieczalnia. Za leczenie dzieci proporcje są inne, pacjent płaci mało. Natomiast całkowicie bezpłatne jest leczenie szpitalne. Lekarstwa też są odpłatne i drogie.

— U nas narzeka się, że jest mało lekarzy, pielęgniarek — zdaje się — jeszcze mniej. Jak to wygląda w Norwegii?

— Bardzo różnie, ogólnie rzecz biorąc — nie najlepiej. Podobnie jak u nas jest ciasno w szpitalach: nowy szpital w Tromsoe był planowany piętnaście lat temu, budowa ruszyła niedawno i nie będzie się realizować wstępnego projektu, zupełnie jak pewne centrum kliniczno-dydaktyczne w znanym nam obydwu mieście... Stary szpital jest przepełniony i wcale często zdarza się, że łóżka stoją na korytarzu. A przecież Norwegia to kraj z pierwszej światowej dziesiątki, jeśli idzie o dochód narodowy liczony na głowę mieszkańca, państwo nadopiekuńcze i tak dalej...

— Czy w tej sytuacji egzystują tam szpitale prywatne?

— Nie, choć ostatnio sporo się o tym mówi. Tuż przed moim wyjazdem trwała tam kampania wyborcza, w której koalicja rządząca postulowała prywatne lecznictwo szpitalne, co spotykało się z żywym protestem...

— Koalicja — przypomnijmy — z konserwatystami na czele?

— Tak, kierowana przez premiera Willocha.

— Zadam ci trudne pytanie: czy można porównać poziom zawodowy lekarza polskiego i norweskiego? Czy w ogóle zechciałbyś odpowiedzieć na takie pytanie?

— Myślę, że na skutek takiej organizacji pracy i takich trudnych warunków, w jakich działa lekarz tam, na północy ma on dużo więcej kontaktu z chorym, więcej praktyki po prostu. Więcej czasu lekarze tamtejsi poświęcają pracy zawodowej, leczą, a nie administrują. Lekarz rejonowy leczy sam. Może korzystać z konsultacji, ale to będzie tylko konsultacja. Przy tej gęstości zaludnienia w jakimś ośrodku zdrowia jest z reguły jeden lekarz, który z konieczności zajmuje się wszystkim. Musi to umieć! Musi sobie poradzić w takiej sytuacji, kiedy nasz lekarz wzywa pogotowie albo kieruje do specjalisty.

A poza tym — dotyczy to nie tylko służby zdrowia — tam się więcej pracuje. Gołym okiem widać, że nie marnuje się tam tak wiele czasu pracy, że pracuje się efektywnie. Decydują o tym zarówno dobra organizacja pracy jak i dyscyplina. Taka codzienna rzetelność, uczciwość wobec pracodawcy i wobec siebie. Dyscyplina nieformalna bo na przykład „lista obecności" jest czymś w Norwegii nieznanym. W zakładach przemysłowych są karty zegarowe, ale sądzę, że służą raczej do rozliczenia czasu pracy, a nie do stwierdzenia, czy ktoś się spóźnia. Wielu ludzi pracuje tam na najróżniejszych warunkach, na ryczałtach o zmniejszonym wymiarze czasu pracy, na niepełnych etatach itp. Na przykład w handlu: w sklepie w którym na co dzień jest troje sprzedawców w piątek wieczorem pojawia się dwadzieścia osób, jakby z nieba spadły!

Bezrobocie jest wprawdzie niewielkie, ale pracę się szanuje — zawsze istnieje ryzyko utraty zajęcia. Ale to jeszcze wszystkiego nie tłumaczy. Może to jest jednak kwestia protestanckiej tradycji?

— Nie będziemy mówić o standardzie życiowym, to są sprawy oczywiste, są jednak dwie rzeczy, które Polaków żywo interesują — to są mieszkania i samochody...

— Mieszkania są piękne, w domkach jednorodzinnych. Mieszkania w blokach, to jest coś dla ludzi młodych, którzy się jeszcze nie dorobili, albo dla takich, co dopiero tam się osiedlili. Celem życia Norwega jest dom. Może być tani albo drogi, w zależności od możliwości, ale musi być własny. Buduje się ślicznie. Jak jestem śmiertelnym wrogiem domków jednorodzinnych w naszym wydaniu, to domek norweski może się przyśnić. Buduje się z drewna, szybko, lekko, ale trwale porządnie. Są te domy drogie, ale bardzo łatwo uzyskać kredyt bankowy. Niezamożni kupują małe mieszkanka typu naszych M-4 czy M-5, dostają na nie kredyty spłacane przez sto lat z niewielką stopą procentową. Zamożni budują domy, na które dostają kredyty krótkoterminowe i wyżej oprocentowane.

Norwegowie bardzo dbają o swoje domy, chodzą koło nich w każdy weekend, reperują, remontują, naprawiają.

— No i uprzątają śnieg?

— Śniegu jest tak dużo że nikt się nim specjalnie nie przejmuje. Główne ciągi komunikacyjne uprzątają służby miejskie, wyśmienicie wyposażone w ciężki sprzęt. A przed domami śniegu się nie sprząta, to jest walka z wiatrakami.

Co do samochodów, to mają je wszyscy, komunikacja miejska jest droga i po prostu nie opłaca się nie mieć samochodu. Widywałem w Tromsoe polskie samochody — kilka fiatów i jednego poloneza, który chyba jest własnością stacji z uprawnieniami serwisowymi na polskie samochody. Samochody eksploatuje się długo, dziesięcioczy piętnastoletni wóz nie jest rzadkością. Myślę, że zdziwie polskich czytelników, ale samochody są strasznie drogie np. około 70 proc. droższe niż w RFN. Wynika to z ogromnych ceł — norweskie cła wwozowe sięgają 100 proc. ceny samochodu!

Bardzo drogie są także wszelkie usługi, zwłaszcza serwis autoryzowany. Toteż jest wiele stacji samoobsługowych, gdzie wynajmuje się tylko stanowisko i narzędzia...

Ruch samochodowy jest ogromny — zdarzało mi się jechać do szpitala całą godzinę, choć było to zaledwie kilka kilometrów. A przy tym Norwegia jest krajem, który ma najmniejszy na świecie wskaźnik wypadków drogowych na tysiąc mieszkańców. Osiąga się to głównie dzięki drakońskiemu wręcz przestrzeganiu przepisów. Ale nie tylko — potrącenie pieszego może kosztować kierowcę bajońskie sumy, tam po prostu nikogo nie stać na spowodowanie wypadku. Ale to jeszcze nie wszystko — zauważyłem tam rzecz, która mi się bardzo spodobała, mianowicie w miejscach, gdzie obowiązuje ograniczenie szybkości, na przykład między domami robi się na drodze takie specjalne garby. Kiedy się wjeżdża na nie z szybkością 30 km na godzinę nic się nie czuje, natomiast gdyby spróbować wjechać sześćdziesiątką, to można oddać samochód do kapitalnego remontu. Ozłociłbym kogoś, kto takie garby porobiłby na skrzyżowaniu pod moim blokiem.

— Nie byłeś w Tromsoe jedynym Polakiem?

— Tym razem nie. Poprzednio, w roku 1982 byłem jedynym, choć też nie — odkryłem tam Polkę, szalenie sympatyczną panią Reginę. Ma ona niesłychanie bogatą przeszłość nawet w sensie geograficznym — urodziła się w Polsce, wojna rzuciła ją do radzieckiej Azji, z armią Andersa znalazła się w Iranie a stamtąd, w grupie stu polskich dzieci znalazła się w Nowej Zelandii, później przez Australię trafiła do Londynu, — gdzie już jako dorosła panna — poznała Norwega, za którego wyszła za mąż. No i — mieszka w Tromsoe...

— Jak się teraz nazywa?

— Lepiej to pomińmy, wiesz, znajdą się zaraz tacy, którzy będą do niej pisać, żeby to czy tamto przysłała...

A ona i tak dużo pomagała Polakom, organizowała akcje pomocy dla Polski. Norwegowie mają tę zaletę, że są bardzo skłonni do pomocy ludziom których dotykają nieszczęścia. Pani Regina organizowała wysyłanie paczek do Polski, transporty leków itp.

Podczas mego drugiego pobytu (od listopada 1984 roku) polska kolonia powiększyła się troszkę o tzw. „nową emigrację" — teraz jest w Tromsoe jakieś 5, 6 osób świeżo przybyłych z kraju, w tym rodzina młodych plastyków, którzy zresztą marnie wegetują, bo nie mają pracy, jedna pani, która wyszła za mąż za Norwega. Inni myślą o wyniesieniu się na południe, do Oslo lub do innych krajów. Były także dwie osoby na stypendiach, legalnie z niezachwianym zamiarem powrotu.

Norwegowie są w stosunku do nas życzliwi, lubią nas mimo, iż nasze oficjalne stosunki z Norwegią są raczej chłodne.

— Przywiozłeś stamtąd komputer i coś do szpitala, w którym pracujesz?

— Niewiele, przywiozłem np. kardiotokograf sprawny, w dobrym stanie, fragmenty do endoskopii, które dopiero ewentualnie będą uruchomione, bo nie jest to urządzenie kompletne.

— Ostatnie pytanie. Nie wiem, czy nie będzie kłopotliwe: wróciłeś czwarty raz z „saksów", dlaczego tam jeździsz, co z tego masz, oprócz twardej waluty, rzecz jasna?

— Pierwszy raz wyjechałem trzesąc portkami do Holandii, drugi raz byłem na Malcie skąd zresztą przywiozłem niewiele pieniędzy, ale był to ważny krok poznania systemu pracy na Zachodzie, włączenia się w ten system. Dopiero te dwa ostatnie wyjazdy do Norwegii są znaczące.

To bardzo fajna praca, dużo można się nauczyć. Pracuje się ciężko, dużo więcej niż u nas. Ale robię tam tylko to, do czego jestem przeznaczony z racji zdobytego zawodu i specjalizacji. To jest wielka szansa zawodowa przy naszym niedorozwoju technicznym, braku literatury, informacji itp. Można się tam wiele nauczyć. No i jest to okazja do zobaczenia kawałka świata!

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

BOGDAN LOEBL

(6)

Letni dom wampirów

(fragmenty)

— Czy ty w ten sposób porozumiewasz się z ludźmi? A może zrobiłaś to na znak pogardy dla mnie, dlatego, że pilnuję pana Roberta, żeby znowu gdzieś nie wyruszył?

Biedronka trwała przez chwilę nieruchomo w gorącej strudze powietrza przesyconego drażniącą, a może przyjemną dla niej wonią alkoholu, jakby zastanawiała się, czy wejść do najeżonej włoskami pieczary nosa, po czym rozłożyła skrzydełka i odleciała.

Położyłem się na wznak, jak pan Robert. Błękitnym oceanem nieba sunął tylko jeden żaglowiec.

— Zachował się jak prawdziwy mężczyzna, stanął w obronie swojej kobiety — szepnąłem; już nie żywiłem nienawiści do pana Zygmunta za to, że zajął moją kajutę, chociaż w chwili, gdy wypowiedział tamte słowa, pragnąłem ukryć się, żeby nie widziano mojej gorejącej twarzy.

— Moja kobieta — powiedziałem i zapragnąłem, żeby Małgosia znalazła się obok mnie i żebym mógł dotknąć jej ciepłych, miękkich włosów, a równocześnie miałem ochotę zerwać się i pobiec do rzeki, żeby rodzice i Małgosia przyszli tam po mnie i krzyczeli moje imię, kiedy ukryję się pod wodą.

Ale mijały minuty i nikt się mną nie interesował. Dom wyglądał jak gdyby zapadł w letarg. Nawet wiatr nie poruszał uchylonymi wejściowymi drzwiami. Kiedy przenosiłem wzrok od jednego do drugiego okna w nadziei, że ujrzę w którymś mamusię, przyszło mi na myśl, że na tym całym, otoczonym murem obszarze (którego, jak w filmie tatusia, nie sposób opuścić) zostaliśmy tylko ja i pan Robert, który już nigdy się nie obudzi.

Zakaszlałem tuż nad nim, lecz on tylko odwrócił się do mnie plecami i podkulił nogi. Wówczas krzyknąłem i głos mój nie wzbudził echa. Wessała go ściana domu albo mur ogrodzenia, za którym być może rozciągał się martwy pejzaż strawiony przez atomowe promienie.

Podbiegłem do lipy i wywindowałem się na jej konar. Pan Robert odwrócił się na wznak i zamruczał, jakby mnie przed czymś ostrzegał.

Byłem już dosyć wysoko, kiedy usłyszałem gwizdnięcie.

Zabrzmiało to jak sygnał.

Sygnał dla kogo?

Po tym gwizdnięciu cisza wypełniająca ogród stała się jeszcze wyraźniejsza, gdyż nagle umilkły ukrywające się w koronach drzew ptaki, których śpiew, a raczej jego brak teraz dopiero wyraźnie usłyszałem.

Znów ktoś zagwizdał i ptaki, najpierw pojedynczo i nieśmiało, a po chwili już wszystkie zaczęły głośno i bezczelnie świergotać. Wspiąłem się jeszcze wyżej. Za ogrodzeniem nadal rósł lasek, a traw wcale nie spopieliły śmiercionośne promienie.

Na skraju lasku stali dwaj mężczyźni i niby wygłodniałe wilki wyciągali szyje ku naszemu domowi i łypali oczami na okna i furtkę: wydawało mi się, że słyszę odgłosy kłapania ich zębów i mlaskanie języków oblizujących popękane od gorączki wargi, lecz po chwili zorientowałem się, że to pan Robert porusza ustami opróżniając niewidoczną butelkę; jego twarz, początkowo rozjaśniona zadowoleniem, zasępiła się. Zaczął poruszać nogami, jakby chciał doścignąć kogoś kto oderwał mu od warg śnione naczynie; sądziłem, że zaraz się obudzi i razem przepłoszymy czyhające pod laskiem wilkołaki, lecz on tylko przybrał inną pozę i znieruchomiał porwany znowu przez główny nurt snu.

Z domu wyszedł pan Krzysio. Mężczyźni jeszcze mocniej wyciągnęli szyje: wydawali się węszyć; nie zdziwiłbym się, gdyby rozpalone słońcem powietrze zawibrowało nagle tonami krwiożerczego wycia.

Pan Krzysio rozejrzał się wokoło, obmacał okna i drzwi domu lisim wzrokiem i bezgłośnie otworzył i zamknął za sobą skrzypiącą zazwyczaj zardzewiałymi zawiasami furtkę.

Jeden z mężczyzn zrobił krok ku niemu, lecz drugi capnął go za ramię i osadził w miejscu. Pan Krzysio wyjął spod marynarki flaszkę, wręczył ją temu bardziej opanowanemu i zawrócił.

Znów bezgłośnie odchyliła się i zamknęła furtka. Pan Krzysio wziął łopatę spod domu i skierował się w moją stronę. Stanął nad panem Robertem i lekko kopnął go końcem buta w bok, potem roześmiał się pogardliwie i podszedł do dołu, do którego niedawno usiłował wciągnąć Małgosię; sądziłem, że zamierza zasypać wykop, lecz on zaczął go pogłębiać.

Pracował szybko, jakby chciał zdążyć zanim ktoś jeszcze wyjdzie z domu.

Zdążyć co uczynić?

Spostrzegłem, że jeszcze przed chwilą uchylone drzwi wejściowe domu zostały, nie wiadomo kiedy i przez kogo zamknięte. Siedziałem bez ruchu na gałęzi lipy, tak że nawet niektóre ptaki powróciły na swoje dawne miejsca w jej koronie i podjęły kłótliwy dialog, lecz miałem coraz mniejszą nadzieję, że pan Krzysio nie wie, gdzie jestem. Bliski płaczu układałem w myśli modlitewny tekst przeprosin, ale (mimo że przecież nie ugryzłem go do krwi) właściwie już nie wierzyłem, że mi wybaczy.

Zacząłem rozważać szanse ucieczki. Byłem prawie pewien, że drzwi domu i furtka są zamknięte, a mur ogrodzenia był dla mnie o wiele za wysoki. Tknięty postępującym paraliżem przerażenia patrzyłem na powiększającą się z każdą minutą czeluść, w której jako pierwszy (byłem o tym przekonany) mieliśmy spocząć pospołu, z nie przeczuwającym, co się święci, znów błogo uśmiechniętym panem Robertem.

Doszedłem do wniosku, że pan Krzysio podstępnie obezwładnił i powiązał pozostałych; inaczej nie umiałem sobie wytłumaczyć faktu, że nikt, ze znajdujących się w domu osób, nie dał dotąd znaku życia.

Czy miałem jednak biernie czekać, aż pan Krzysio strząśnie mnie z drzewa niby dojrzały owoc? Kieszeń moją wypychało kilka znalezionych nad rzeką, podobnych do ptasich jajek kamyków, wycelowałem jednym w pana Roberta, lecz pocisk upadł obok jego głowy. Zostały mi jeszcze trzy, rzuciłem wszystkimi naraz. Pan Robert krzyknął, lecz nie obudził się; spłoszone ptaki umilkły i z głośnym furkotem skrzydeł uciekły z drzewa; zaniepokojony tym wszystkim pan Krzysio przerwał pracę i spojrzał w górę. Ujrzałem jego oświetloną promieniami słońca, lśniącą od potu, bezkrwistą twarz, w której czerniały otwarte, podobne do dziupli, usta i uświadomiłem sobie, że jeszcze rankiem wyglądał on zupełnie inaczej. Tak, tam w dole stał i patrzył na mnie zupełnie inny pan Krzysio. Zmieniony, a właściwie nadal bezustannie zmieniający się od chwili, w której tatuś kazał mu się wcielić w wampira. Pojąłem, że wkrótce, może już za sekundę z tego czarnego otworu w jego twarzy wyłonią się dwa długie kły, a z palców szpony, i wówczas pan Krzysio nie spocznie, dopóki do syta nie napije się krwi; oto objawiła się przede mną jeszcze jedna, chyba najważniejsza tajemnica: kamera pana Zygmunta przekształciła scenariuszową fantazję tatusia w rzeczywistość.

Przypomniałem sobie fakt, do którego, niestety, nie przywiązywałem uprzednio większej wagi — furtki, która w scenie filmowej miała uniemożliwić mnie i Małgosi ucieczkę z ogrodu, naprawdę nie mogliśmy otworzyć; chociaż zasuwa była odsunięta, a na klucz zamykano ją wyłącznie na noc; dopiero teraz pojąłem ile spraw przyjęłoby inny obrót, gdybym był wówczas natychmiast poinformował o tym tatusia.

Pan Krzysio opuścił głowę (jak gdyby go znudziło patrzenie na mnie, albo jakby doszedł do wniosku, że jego ziemistoblada twarz i tak nie zmieni karnacji w słońcu, gdyż promienie odbijają się od niej i wracają do swego źródła) i wygramolił się z wykopu. Wytarł dłonie o nogawki spodni, zarzucił sobie łopatę na ramię, jakby to był karabin i ruszył w kierunku pana Roberta, który (dopiero teraz to spostrzegłem) stał w cieniu leszczyny i rozglądał się wokoło, jakby próbował ustalić, w jakim też znalazł się miejscu.

Wiedziałem co za chwilę nastąpi, pan Krzysio nie na próżno trzymał uniesioną w górę łopatę. Wiedziałem jednak również, że dzięki tej sytuacji otwiera się przede mną szansa ucieczki, a ściślej mówiąc, możliwość prolongaty momentu, w którym pan Krzysio dopadnie i mnie w którymś z rogów ogrodzenia, by złożyć na mojej szyi śmiertelny pocałunek.

Usiłowałem pokrzepić się myślą, że na pewno w obejściu jest jakaś drabina, której przedtem nie zauważyłem; z goryczą wspomniałem jak to wczoraj, pod siekierą pana Roberta pękały na drwa do kominka stare ramy okienne; wystarczyłoby teraz jedną z nich przystawić do muru ogrodzenia, by po kilku sekundach znaleźć się po jego drugiej stronie, w lasku jeszcze nie spopielonym przez kamerę pana Zygmunta a następnie na łąkach, za którymi widniały porozrzucane bezładnie klocki domów miasteczka.

Spojrzałem w tamtą stronę, jak zapadający się w grzęzawisku, na jakże bliski, lecz znajdujący się już poza zasięgiem ręki twardy grunt i napotkałem wzrok wygłodniałych oczu trzech wilków w ludzkiej skórze.

Stali i czekali cierpliwie na kogoś, komu uda się ujść przed panem Krzysiem, albo może na jego znak. I naraz olśniło mnie, błysnęło prosto w oczy i oślepiło na moment.

W pierwszej chwili sądziłem, to to leżący pod domem kawałek stłuczonej szyby odbił promienie słońca, lecz było to ostrze siekiery, którą wczoraj pan Robert rąbał okienne ramy.

Zacząłem ostrożnie schodzić z drzewa. Rozespany pan Robert uśmiechał się przyjaźnie do zbliżającego się doń pana Krzysia.

— Niech pan uważa! — krzyknąłem i dopiero potem uświadomiłem sobie, że ostrzegając pana Roberta zniweczyłem szansę mojej ucieczki.

Pan Krzysio znieruchomiał i wypuścił z ręki łopatę. Wiedziałem, że zaraz schyli się po nią, powtarzałem sobie w myśli, że muszę natychmiast uciekać i nie mogłem poruszyć ani lewą, ani prawą nogą.

— Przestraszyłeś mnie, Jasiu — powiedział wolno pan Krzysio. — Skąd się tutaj wziąłeś?

— Ja byłem na drzewie — wyjąkałem.

Pan Krzysio i pan Robert spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Bawiłeś się w Tarzana, Jasiu? — spytał pozornie dobrotliwie pan Krzysio i zrobił krok w moją stronę. — A gdybyś tak spadł z drzewa i złamał sobie nóżkę albo skręcił karczek?

— No właśnie — powiedział pan Robert. — Mógłbyś się nawet na śmierć zabić spadając z takiego wysokiego drzewa i co wówczas?

Mówiąc to przemieszczali się nieznacznie, oskrzydlali mnie z dwu stron; jak ja mogłem zapomnieć o tym, że pan Zygmunt nakręcił pana Roberta, kiedy ten, jako filmowy wampir biegł przez ogród?

Cofnąłem się o krok na zdrętwiałych nogach, potknąłem się o wystający z ziemi korzeń drzewa i usiadłem.

— Nie! — krzyknąłem. Moja ręka szukała gorączkowo jakiejś gałęzi albo kamienia, którym mógłbym ich powstrzymać zanim się nie podźwignę z upadku, lecz znalazłem tylko goździk... biały.

Pan Krzysio i pan Robert zatrzymali się, jak na komendę „stój". Na twarzach ich odmalował się przestrach.

— Uspokój się Jasiu, nie wygłupiaj się — powiedział siląc się na uśmiech pan Krzysio.

— Jeszcze ktoś usłyszy twoje krzyki i pomyśli, że robimy ci jakąś krzywdę — dodał pan Robert.

— I odłóż tego kwiatka... Nie niszcz go. On jeszcze będzie potrzebny do następnej sceny filmu...

— Najlepiej będzie, jak położysz go na ziemi... w cieniu drzewa...

— Takie kwiaty bardzo drogo kosztują... Tatuś bardzo by się gniewał, gdyby się dowiedział, że go zmarnowałeś.

— No połóż go pod drzewem, słyszysz!?

— Nie — powiedziałem i wyciągnąłem przed siebie biały goździk, jakby to była szpada. — Nie położę go.

— A ja przez cały czas myślałem, że jesteś grzecznym i posłusznym chłopcem — powiedział pan Krzysio, ale ja już nie dbałem o to, co mówią i co robią on i pan Robert. Zrozumiałem, że wampiry, a może również i wilkołaki nie przystąpią do mnie, dopóki będę miał przy sobie biały goździk.

KONIEC

Rys. Zenona Pionk

1 Lewym okiem

Caveat emptor!

Jest taka cecha naszego handlu, której nie poświęcono dostatecznie dużo uwagi: to jego bliskie pokrewieństwo do handlu w starożytnym Rzymie.

Rzymianie głosili mianowicie obowiązującą wówczas zasadę: caveat emptor. Niech się strzeże kupujący! Rzeczą sprzedawcy było oszwabić kupującego, gdzie się tylko da, nabywca sam powinien czujnie pilnować swoich interesów, sprawdzać liczbę, wagę, cenę i jakość nabywanego towaru. Akt kupna — sprzedaży był pojedynkiem, który musiał być przez jedną ze stron wygrany.

My także musimy się strzec jak Rzymianie, chociaż dziś nie kupiec oferujący towar, czyli przeważnie państwo lub spółdzielnia, lecz najemny pracownik tego kupca — ekspedient pani za ladą — staje z nabywcą na udeptaną ziemię. Ten najemny pracownik walczy zresztą na dwa fronty: przeciw nabywcy i przeciw własnemu pracodawcy. Obydwu pragnie skubnąć, na ile się da i zasilić dyskretnie własną kieszeń.

Nie obrażam tu chyba całej rzeszy pracowników handlu, mówię o ich znacznej — niestety — części, nie o wszystkich. To zaklęcie jest potrzebne, żaden krytyczny felieton nie *mógłby* się bez niego ukazać. No więc już zaklałem. Wracajmy do handlu.

O tym, jak bardzo trzeba się strzec przed notorycznymi machlojkami i „pomyłkami" sprzedawców na naszym rynku można by mówić nieskończenie. Zamiast tego pomówmy raz o handlu amerykańskim, o tamtejszym biznesie. W roku 1925 powołano w Stanach Zjednoczonych Komitet Etyki Biznesowej przy Izbie Handlowej, który — pod przewodnictwem Edwina Parkera — opracował i ogłosił „Piętnaścioro przykazań biznesu amerykańskiego". Przykazania te przedrukował w Polsce organ Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, miesięcznik „Ameryka-Polska", pokazując czytelnikom w naszym kraju kryształowe zasady moralne kupców za morzem. Tam biznes był i jest traktowany nieomal jak najbardziej zaszczytna misja społeczna, jak najgłębsze powołanie człowieka. W preambule do „przykazań" czytamy: „Celem biznesu jest zaspokojenie materialnych potrzeb ludzkości. Jeżeli zyski jednostki są współmierne z wielkością oddanej przez nią usługi, to im większy będzie jej zysk, tym większa będzie wartość tej jednostki dla świata. Wielka fortuna stanie się raczej zaszczytnym godłem, niż zarzutem."

Ot i macie podstawową ideę kapitalizmu: fortuna jest zaszczytem, człowiek biedny jest sam sobie winien. To robotnik, pracujący za marną dniówkę, jest winien, że nie jest właścicielem fabryki. I druga zasada, sformułowana w ostatnim, piętnastym przykazaniu pana Parkera: „Biznes powinien się sam tak prowadzić, aby zasłużyć sobie na zaufanie ogółu, czyniąc przez to zbędnym organizujące go ustawodawstwo". Żadnych ograniczeń! Żadnych ustaw, praw, regulaminów! Caveat emptor!

„Powinien się prowadzić" — a jeśli nie czyni wszystkiego tak, jak powinien?

Oto parę punktów, wybranych przykładowo z „wyznania wiary amerykańskiego biznesu":

1. „Fundamentem biznesu jest zaufanie, wypływające z rzetelności i uczciwości w stosunkach, ze skuteczności usług oraz obopólnej korzyści".

3. „W biznesie należy mieć odpowiednie zrozumienie dla kapitału, kierownictwa, pracowników i publiczności".

8. „Towary winny być przedstawione takimi, jakimi są w rzeczywistości, a usługi należy wykonywać skrupulatnie".

9. „Niedopuszczalnym jest marnotrawstwo w jakiejkolwiek postaci — kapitału, pracy, usług, materiałów lub sił naturalnych i należy stale dążyć do unikania go".

11. „Biznes ugruntowuje swe powodzenie na doskonałości swych własnych usług".

Jak widzimy, zasady te można by żywcem odnieść do działania także handlu uspołecznionego. Są po prostu ogólnikowo sformułowanymi pobożnymi życzeniami, godnymi akceptacji społecznej w każdych warunkach. Jeśli u nas ktoś pokusiłby się o zwięzłe ujęcie etycznych zasad działalności handlowej i w ogóle gospodarczej, to powyższe punkty mogłyby znaleźć się bez zmian w takim „kodeksie". Tylko, że nic by się od tego nie zmieniło. Homo economicus — człowiek działający — kieruje się innymi motywami niż pobożne życzenia. Trzeba mu patrzeć na ręce, w Ameryce tak samo jak w kraju nad Wisłą.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Nagłe zastępstwo

Pan Darski jest inny...

Dyskusja nad filmem „Shoah" Claude Lanzmanna wywołała u nas burzę większą niż film jest wart. Gdzieś na marginesie tej dyskusji pojawiły się zarzuty wobec Krzysztofa Lisa, autora „Reportażu za 50 dolarów". Antysemityzm jest przejawem ideologii drobnomieszczańskiej, jestem za zwalczaniem drobnomieszczaństwa także a może nawet — przede wszystkim — na tej płaszczyźnie. Protesty przeciw reportażowi Lisa obnażyły drugie, niejako ukryte skrzydło naszego drobnomieszczaństwa. Otóż dla nosicieli i głosicieli tej ideologii antysemityzm jest na tyle obrzydliwy, że nie wystarcza, jeśli ktoś nie jest antysemitą. Nie, człowiek prawdziwie światły i postępowy musi być tak uczulony na antysemityzm, że nie może śmiać się z żydowskich kawałów nie może go śmieszyć ani chałat, ani jarmułka ani pejsy!

Nieładnie ideologiczne wywody popierać własnym przykładem, ale nie chcąc drażnić niczyich uczuć zmuszony jestem pisać o sobie: otóż kocham karpia po żydowsku, jestem przysięgłym miłośnikiem Izaaka Babla, Szolema Alejchema, Issaca Bashevisa Singera i wspominam z rozrzewnieniem koszerną restaurację „Amica". Uwielbiam szmoncesy i żydowskie kawały, wstyd powiedzieć — także antyżydowskie. Jak, nie przymierzając, Julian Tuwim i Antoni Słonimski. A jednocześnie nie rozróżniam wśród swych znajomych Żydów od nie-Żydów. Otóż, proszę panów ultra — anty — antysemitów nie dam się zwariować i wmówić sobie, że jestem antysemitą! Jestem racjonalistą i to jest chyba dostateczna rekomendacja, że nie mogę wpaść w mistyczno-magiczne myślenie o „żydowskiej mafii" czy innych tam głupawych kawałkach o macy z krwi chrześcijańskich dzieci.

Równie racjonalistyczny stosunek mam do różnych wyznań religijnych, ugrupowań w rodzaju zwolenników bioenergetyki, naturystów czy skautów, albo uprawiaczy yogi i diety bezmięsnej. A niech sobie będą, świat jest — również dzięki nim — mniej szary. Byle nikomu swoją działalnością nie przeszkadzali.

To samo odnosi się do różnych mniejszości seksualnych, choćby do homoseksualistów. Znam kilku i dotąd byłem o nich dobrego zdania — są to ludzie na ogół delikatni, dobrze wychowani, wrażliwi. A kto z kim śpi — jego prywatna sprawa. Myślę, że podobny stosunek ma do homoseksualistów ogromna większość zdrowo myślących ludzi. I bardzo dobrze, zwłaszcza, że żyjemy w kraju, w którym od dziesięcioleci obowiązuje — i jest przestrzegane! — prawo, które homoseksualistów nie represjonuje ani nie upośledza w jakikolwiek sposób.

Myślałem tak do niedawna, bo artykuł pana Krzysztofa T. Darskiego (Polityka nr 47) każe mi zastanowić się nad rewizją moich poglądów. Otóż pan Darski straszy nas chorobą AIDS (nazywaną już u nas pieszczotliwie „adidaskiem"). Mianowicie — uważa pan Darski — można by liczyć na ograniczenie przewidywanego zasięgu tej choroby, gdyby homoseksualiści, najbardziej na nią narażeni, zechcieli się powstrzymać od krwiodawstwa. Ale nie zechcą! Mają oni bowiem do społeczeństwa mnóstwo pretensji i wykorzystają okazję, żeby się na podłych heteroseksualistach odegrać. Z artykułu pana Darskiego dowiadujemy się, ni mniej ni więcej, że młodzież męska jest w swej większości niejako naturalnie(?) zainteresowana homoseksualizmem, tylko wstrętne, heteroseksualne społeczeństwo temu brutalnie przeciwdziała! Według pana Darskiego młodzi chłopcy wcale nie bywają uwodzeni przez starszych panów, przeciwnie, oni „... nie mogą już wytrzymać i idą do łóżka z pierwszym lepszym", to im się, w oficjalnym systemie wychowawczym, nakazuje „... bić się po mordach" i „zaliczać młode siksy!"

Tymczasem biedni, uciśnieni homoseksualiści mają ogromne problemy (jakie?), których nikt nie chce dostrzec, nie ma instytucji (jakiej?), która zechciałaby im pomóc. Ba, wstrętne społeczeństwo heteroseksualistów zmusza (jak?) homoseksualistów do zawierania związków małżeńskich z (a fe!) kobietami...

Pan Krzysztof T. Darski przypomina mi wspomnianych na początku super — anty — antysemitów. Nie wystarczy być tolerancyjnym, trzeba jeszcze homoseksualistów kochać i szanować szczególnie, opiekować się nimi i rozwiązywać ich problemy.

Pan Darski nie ukrywa swego poczucia wyższości nad heteroseksualistami, którzy „sami nie osiągnąwszy satysfakcji w życiu erotycznym z lubością zabraniają jej wszystkim słabszym od siebie." I za to właśnie poczucie wyższości, za pogardę dla „zbieraniny zakłamanych kołtunów" życzy sobie pan Darski specjalnej opieki i różnych względów, bo jak nie, to oni nas załatwią adidaskiem!

Nie jestem przekonany, czy pan Darski rzeczywiście wyraża poglądy większości polskich homoseksualistów. Wiem natomiast, że nie przysłużył się im. Nadal będę znajomych homoseksualistów traktował zwyczajnie, bez ksenofobii. Z wyjątkiem pana Krzysztofa T. Darskiego, który jest wstrętny pedryl...

„Jesteśmy inni" — zatytułował pan Darski swój artykuł. Rzeczywiście...

ANDRZEJ KAROL

3

Zawiść i inteligencja

Mój dobry znajomy, docent Krzysztof P. jest człowiekiem wielce uczonym i nie mniej roztargnionym. Ponoć uczoność idzie w parze w roztargnieniem. Jeden z moich przyjaciół, człowiek również wielce uczony, Edmund K. kupił sobie nowe buty. Stare uwierały go w lewą nogę, włożył nowe, uwiera but z prawej nogi. Przechodził cały dzień w nowych butach i dopiero wieczorem okazało się, że z prawego buta nie wyjął tekturowej wkładki. A iluż to uczonych profesorów wybierało się z domu w bamboszach lub w spodniach od piżamy. Jeden z moich znajomych malarzy przez kilka dni chodził w dwu różnych skarpetkach, a na dodatek nie z artystycznej fantazji, ale z roztargnienia ciągle gubił czapkę, choć na dworze był ziąb okrutny. Wróćmy jednak do Krzysztofa P.

Z racji swojej uczoności Krzysztof P. otrzymał spora wypłatę za uczone dzieło, które przygotował do druku, a wydawnictwo przyjęło i wydrukować obiecało. Krzysztof P. zwitek banknotów wsunął do kieszeni bluzy, aby mu jakiś przemyślny złodziejaszek nie wyciągnął razem z portfelem i... zapomniał. Wieczorem postanowił uprać bluzę, bo jej się już to należało. Gdy uprał, okazało się, że razem z pieniędzmi. Wyjął więc uprane pieniądze i porozwieszał na sznurku w łazience, przypinając każdy banknot drewnianymi zapinkami do bielizny.

Krzysztof P. mieszkał na pierwszym piętrze w bloku, co jest szczegółem ważnym dla dalszej opowieści. Ludzi w takim bloku mieszka wiele, ale nie wszyscy się przecież znają i nie wszyscy mają ochotę się znać. Zresztą dzięki nowoczesnej metodzie stawiania bloków z wielkiej płyty doskonale wiem, co mój sąsiad myśli o swojej żonie oraz kiedy wraca do domu „pod mucha", a telewizor często włączam słysząc śmiech mojej drugiej sąsiadki, bo to nieomylny znak, że w telewizji dają coś śmiesznego. Znając więc dokładnie życie moich sąsiadów wcale nie mam ochoty na bliższe z nimi stosunki, gdyż o wiele ciekawsze jest to, co płynie do mnie od nich przez betonową ścianę, niż to, co oni chcieliby mi ewentualnie powiedzieć. Oni zresztą wiedzą o mnie tyleż samo i też mają na mój temat swoje zdanie. Ale wróćmy do Krzysztofa P.

Na trzecim piętrze tego samego bloku mieszkała Ludmiła N., koleżanka z pracy, zamężna, bezdzietna. Mąż był ponurym drabem, dość zamkniętym w sobie, a z milczkami nigdy nic nie wiadomo. Ponoć w tajemnicy przed wszystkimi pisywał wiersze, ale to nic pewnego, bo nigdy nikt ich nie widział, ani nigdzie ich nie drukował, chyba że pod jakimś bardzo zakonspirowanym pseudonimem. Otóż krytycznego dnia Ludmiła N. miała drobną sprawę do Krzysztofa P. Prosiła, aby pożyczył jej bardzo specjalistyczne dzieło, bo akurat wolna sobota i może sobie popracować. Drzwi do łazienki Krzysztof P. zostawił otwarte. Ciekawa baba oczywiście zajrzała i oniemiała.

— Co pan tu ma? — wykrztusiła pytanie.

— Gdzie? — zapytał z drugiego pokoju, gdzie szukał książki.

— No, w łazience!

— Ano nic. Pieniądze suszę. Właśnie zrobiłem sobie nową partię. Wie pani, jak to jest. Każdy sobie dorabia jak może i umie. Ja robię sobie pieniądze. To nawet nic trudnego. Trzeba tylko mieć matrycę i farby.

Ludmiła N. trzymała pod pachą potrzebne jej dzieło naukowe, ale w głowie huczały jej wcale nie naukowe myśli. Co ma zrobić? Przecież to przestępstwo. Ale nie o przestępstwo tylko chodzi. Ten niedorajda, wypędek, gnojek ciućmok, chociaż chłop przystojny, ale żeby się za jaką przyzwoitą kobietą obejrzał a on tylko za studentkami lata i w dodatku jeszcze książki pisze. A niedoczekanie jego. Świętoszka udaje. Na zebraniach ładnie mówi o moralności i porządku, a sam... Ja mu już pokażę...

W półtorej godziny później do drzwi docenta Krzysztofa P. ktoś energicznie zadzwonił. Gdy otworzył, dwaj panowie w cywilu energicznie go odsunęli i poszli prosto do łazienki. Trzeci w mundurze stał spokojnie na schodach i patrzył z niejakim zaciekawieniem na docenta Krzysztofa P. A ten — jako człowiek inteligentny — skojarzył sobie wizytę Ludmiły N i bezbłędny kierunek marszu dwóch panów w cywilu.. Toteż, gdy padło pytanie:

— Gdzie urządzenia?

— Na trzecim piętrze, na prawo — odpowiedział nie namyślając się długo.

Cywilni panowie pobiegli na górę, a mężczyzna w niebieskim mundurze na wszelki wypadek pozostał na dole. I niepotrzebnie.

Panowie cywilni nawet długo nie szukali. Znaleźli piękną aparaturę do... pędzenia bimbru.

Sądzę, że nie ma potrzeby dopisywania do tej historyjki — która zdarzyła się naprawdę, ale nie powiem gdzie — jakiegokolwiek morału. Morał bowiem leży jak na dłoni. Nawet długo myśleć nie trzeba.

WITOLD BOROWY

4 Spojrzenie znad szachownicy

Felieton głęboko nielegalny

1.

Muszę zmartwić tych — mam nadzieję, że niezbyt licznych — czytelników, którzy spodziewają się po mnie politycznej sensacji. W tekście tym nie ma nic, ale to nic antypaństwowego, nie namawiam nawet do zwykłego strajku, powiedziałbym raczej, że wręcz przeciwnie: próbuję dać odpór ludziom tworzącym przepisy, które zmuszają mnie iżbym się obcymbalał, gdy ja życzę sobie troszeczkę popracować.

Głęboka nielegalność tego tekstu nie zasadza się na tym — i tu dopiero macie prawo wytrzeszczać oczy ze zdumienia — CO w nim zostało napisane, lecz KIEDY zostanie wydrukowany. Jeżeli termin będzie słuszny — w porządku, jeżeli termin nie będzie słuszny — nie w porządku. Być może jest wprawdzie jakaś boczna furtka przez którą można się przemknąć, ale nim ją wskażę, chciałbym serdecznie doradzić Obywatelce Koleżance Sekretarzowi Redakcji: niechaj komisyjnie (a jeszcze lepiej notarialnie) opatrzy te parę kartek maszynopisu adnotacją, iż Jerzy P. złożył je w redakcji w dniu takim a takim, poczem nic nie mówiąc poszedł sobie...

2.

Jak czytelnicy wiedzą, a może nie wiedzą (z kolei ja nie wiem bowiem w jakiej kolejności „Odgłosy" zamierzają drukować te moje kawałki) poczułem się zmuszony udać do szpitala. Szczerze mówiąc na oddział dermatologiczny, acz nie z bardzo piękną chorobą „W", lecz ze znacznie mniej piękną chorobą „A" czyli alergią. Gotów jestem nawet przepisać rozpoznanie: egzema endogenes axacerbata) może coś przekręcam, ale kiepsko czytam pisane, a to było pisane ręcznie, w dodatku przez medykal).

„Endogenes" to „endogenes", z tego się w zasadzie nie umiera, ale jest to mało śmieszne. Człowiekowi wyskakują różne, za przeproszeniem, pryszczyki, w różnych, za przeproszeniem, miejscach, no i — także za przeproszeniem — swędzą jak cholera. Do tego oczy mi podpuchły wyglądam (ściślej: wyglądałem, teraz prawdopodobnie sprawy mają się inaczej) niby po upojno-bachicznej nocy z jakąś Messaliną, niestety tylko wyglądam, bo zołza Messalina wciąż zapomina przysłać do mnie umyślnego z zaproszeniem na prywatkę. Z nudów, wieczorami i po nocach — czekając na umyślnego, miejsce w szpitalu, a także drapiąc się — spróbowałem tędy to i owo napisać: Na przykład ten felietonik, choć nie tylko.

3.

Tu jednak otwiera się straszliwa pułapka, albowiem człowiek będący „na chrobowym" nie powinien niecnie dorabiać sobie na boku, a co dopiero brać jakieś dodatkowe pieniądze od właściwego chlebodawcy. Na przykład nie powinno się jednocześnie leżeć w łóżku z grypą i szklić okien na prywatnej budowie, albo też leczyć ciężkiej astmy pomagając odpłatnie przy żniwowaniu.

Innymi słowy, gdy choruję nie powinienem pisać. Zgoda, choć też tylko warunkowo, bo jeżeli złamię nogę, to czy ręką nie mogę napisać recenzji z przeczytanej książki?! Napisać niby mogę, ale czy redakcji wolno to wydrukować? I kiedy?

Weźmy ten tekst. Napisałem go będąc — przynajmniej formalnie — zdrowy, ale gdy ukaże się w druku, będę już w szpitalu, czyli chory jak się patrzy. Potem przyjdzie tak zwana „kontrol" i sprawdzi daty: tego i tego dnia, rzeknie, Jerzy P. leżał w szpitalu, jakim tedy prawem tegoż samego dnia ukazał się jego, wstyd powiedzieć, artykuł?

Dlatego właśnie doradzałem komisyjno-notarialne sporządzenie notatki z terminem doręczenia tekstu, bo może to ocalić kierownictwo „Odgłosów" przed najsurowszymi konsekwencjami. Ale może i nie ocalić, więc pewniej wstrzymać się do właściwego czasu. Już widzę oczyma duszy metrampaża stojącego nad tak zwaną szufloramą i redaktora technicznego, który cały w nerwach dzwoni do szpitala.

— No jak? — pyta — Jerzy P. wyszedł już był sobie?

— Właśnie wychodzi — mówią.

— Hura, możemy drukować — drze się redaktor techniczny — i każe wstawiać odlany w metalu tekst do tej całej szufloformy.

Za chwilę jednak ja dzwonię. — Buty mi się gdzieś zapodziały — mówię — nie chcecie chyba, żebym po mrozie ganiał na bosaka. Albo buty się znajdą, albo zostaję tu do jutra.

— O słodki Jezu — mamroce techniczny i każe wyjmować tekst z kolumny. Buty się znajdują, więc każe wstawiać. Niestety do butów dokładają mi dalsze trzy dni zwolnienia więc on każe wyjmować. Wyrzucam to zwolnienie do kosza, on każe wstawiać. Wyjmuję zwolnienie z kosza — on wyjmuje artykuł i tak w kółko aż do ostatecznej wariacji.

4.

Trudno, moi kochani, o jaśniejszy klinicznie przykład atrofii mózgu w wyniku totalnej niechęci do używania szarych komórek. Każdy najrozsądniejszy nawet przepis, może podlegać tak zwanej interpretacji rozszerzającej bądź zawężającej, słowem z każdej słusznej zasady można — uparłszy się zrobić smutny idiotyzm.

Jeżeli zaś chodzi po prostu o to, iżbym chorując nie zarobił przypadkiem zbyt wiele, proszę uprzejmie: uroczyście deklaruję przekazanie honorariów za wszystkie teksty, jakie ukażą się gdziekolwiek podczas mojego pobytu w szpitalu na FUNDUSZ WYPLENIANIA NONSENSÓW bądź FUNDUSZ STAWIANIA NA NOGACH SPRAW POSTAWIONYCH NA GŁOWIE.

I z tej niezwykłej okazji podpisuję się pełnym imieniem i nazwiskiem.

JERZY P(ANASEWICZ)

Wielki las

(24)

ZBIGNIEW NIENACKI

Położyła się na łóżku i oddychała głęboko. Uczucie mdłości na chwilę ustąpiło, lecz potem znowu powróciło. Jak gdyby leżało jej coś na żołądku i podchodziło do gardła. Chciała krzyczeć: „Nie, nie, to niemożliwe" — nie mogła jednak uciec przed prawdą, którą sobie uświadomiła i czuła całym ciałem. Zaczęła płakać najpierw cicho, niemal bezgłośnie, a potem zwinęła się na łóżku i płacz jej przeszedł w żałosny jęk. Gdy wreszcie ucichła, stwierdziła, że zapadł zmrok, w całym domu panuje niezwykła cisza, szumi tylko wiatr za oknem. Leżała walcząc z mdłościami, i ów szum lasu wydał jej się złowrogi jak nigdy dotąd. Tak samo słuchała leśnych drzew, gdy przez długie godziny poruszał się w niej Kulesza, nawet wówczas jednak nie mogła wzbudzić w sobie wrogości do lasu. Podobnie jak nie zrodziły w niej wrogości opowiadania Horsta o krzywdach, jakie robił ludziom las. To przecież nie las był winien, że zgwałcono ją w młodniku, ale wódka i gromada robotników. Lecz czy nie było to tak, że jeśli nawet coś złego czynili ludzie, to las ich tego nauczył? Jak mówił Horst — „odebrał im dusze". Z nią, Weroniką, stało się to samo. Zbyt długo mieszkała u Horsta, a potem wyszła za mąż za leśnika. Dlatego zamiast radości, którą powinna odczuwać prawdziwa kobieta (bo tak pisano w książkach i pokazywano na filmach), czuła gniew wobec swego ciała i nienawiść do tego, co się w niej zrodziło. I tak wielką wydawała się jej własna wrogość do siebie, do swej kobiecości, że gotowa była kąsać z wściekłością własne ręce. „Zabiję, zabiję, zabiję" — powtarzała cichó i ta myśl przyniosła jej ulgę.

Uciekając nocą z leśniczówki Kuleszy, przysięgła sobie, że jej ciało będzie należeć już tylko do niej. A teraz okazało się, że wciąż należy do tego znienawidzonego człowieka, ponieważ zasiał w niej swoje życie. Na próżno usiłowała ujrzeć w wyobraźni bezradne niemowlę, a potem małego chłopca lub dziewczynkę. To coś, co w niej zaczęło żyć, przybierało w wyobraźni kształt potwora leśnego, straszliwą maszkarę z pyskiem jaszczurki. Odtąd będzie skazana, aby hodować owego potwora i otaczać go opieką. Jej ciało przestanie być jej własnością, ale będzie się nią żywił ów potwór leśny, zrodzony z nienawiści i złości. „Zabiję go, zabiję" — pomrukiwała. A potem zbiegła do łazienki, uklękła koło sedesu i zaczęła wymiotować.

Nie usłyszała parskania klaczy na podwórku. Nie usłyszała, że Maryn wszedł do kuchni, a później do swego pokoju. Gdy wyszła z łazienki osłabiona torsjami i chyba bardzo blada, Maryn siedział przy stole kuchennym i nad popielniczką palił list od swojej żony. Chciała go ominąć w milczeniu, ale on zatrzymał ją gestem podniesionej do góry dłoni.

— Pani jest chyba w ciąży, Weroniko. Słyszałem jak pani wymiotowała w łazience.

Osłabła jeszcze bardziej. Usiadła na krześle po drugiej stronie stołu, choć jej kobieca duma kazała odejść do siebie, aby jej nie widział — bladej, z żałośnie wykrzywionymi ustami, wymęczonej godzinami płaczu. To, co się z nią stało, było wyłącznie jej sprawą i ten obcy człowiek nie powinien się wtrącać. A jednak powiedziała:

— Wyjadę stąd. Dokądkolwiek. Usunę ciążę i wtedy wrócę. Nie chcę tego dziecka. Przez całe swoje życie będę go nienawidzić.

Maryn nic się nie odezwał. Omijał wzrokiem twarz Weroniki, domyślając się, że w tej chwili ona nie pragnie, aby na nią ktokolwiek patrzył. Zajął się rozgniataniem w popielniczce popiołu ze spalonego listu.

— Proszę nie mówić o tym Horstowi — rzekła. — On nie pozwoliłby mi usunąć ciąży, bo to człowiek starych zasad. Ale ja wiem, że nie może żyć istota zrodzona z nienawiści.

— Który to miesiąc? — zapytał obojętnie.

— Trzeci. Początek trzeciego, tak myślę. Wiem, gdzie Horst trzyma pieniądze, wezmę ich trochę i pojadę gdziekolwiek. Horstowi powiem, że postanowiłam odwiedzić rodziców, a przy okazji wnieść do sądu sprawę o rozwód. Pan mnie nie zdradzi przed nim, prawda?

— To oczywiste.

Wyjął papierosa, zapalił go i odsunął od stołu krzesło, aby rozsiąść się wygodniej. Weronika wstała i chciała odejść do siebie, lecz on znowu zatrzymał ją gestem podniesionej dłoni.

— Nie podałaś mi kolacji, Weroniko — powiedział cicho.

— Sam może pan sobie zrobić — fuknęła gniewnie.

Przecząco pokręcił głową.

— Możesz mi mówić „Józwa", Weroniko, ponieważ połączy nas wspólna zbrodnia. Od dziś będziesz mi też podawała śniadania i czekała na mnie z kolacją. Zaczniesz ścielić moje łóżko i sprzątać w moim pokoju. Nie musisz mnie lubić, ale będziesz to robić.

— Jest pan łotrem — podniosła głos, on jednak uczynił gest dłonią ku dołowi, co znaczyło, aby zachowywała się ciszej.

— Mylisz się, Weroniko. Nie jestem łotrem. Pojutrze a najdalej za kilka dni zabiorę cię do najlepszego lekarza w tej okolicy. On ci zrobi zabieg bezboleśnie i bezpiecznie.

Odpiął guzik u lewej górnej części swej kurtki mundurowej i wyjął z niej mały kartonik.

— Nie tak dawno, Weroniko, pewien ginekolog zabił w lesie lochę z warchlakami. Należy do koła myśliwskiego i jest selekcjonerem z prawem posiadania sztucera. Zdarzyło mu się nieszczęście. Za szybko wystrzelił. Myślał, że zza krzaków wychodzi odyniec. Niestety, to była locha i prowadziła cztery warchlaki. Nadjechałem usłyszawszy strzał. Próbował mnie przekupić dużą sumą pieniędzy, lecz ja nie potrzebuję pieniędzy. Kiedy robiłem zdjęcia zabitej lochy, płakał jak małe dziecko, bo wiedział, że mu za to odbiorą sztucer. Ale to był naprawdę nieszczęśliwy przypadek. Żal mi się zrobiło tego człowieka. Przyjąłem od niego tylko bilet wizytowy. Uczyniłem to przez grzeczność, nawet mi przez myśl nie przeszło, że może się kiedyś okazać potrzebny. Jutro zatelefonuję do niego i przyjmie cię w swoim prywatnym gabinecie. Odwiozę cię do niego. A teraz podaj mi kolację.

Mówił to spokojnie, wolno, jak gdyby od niechcenia, myślami chyba był gdzieś bardzo daleko. Horst Sobota miał rację widząc w nim Szatana. Te fotografie w jego pokoju, ta wizytówka w kieszeni, świadczyły, że wykrywał zło nie po to, aby z nim walczyć, ale aby nad nim panować.

Posłusznie pokrajała chleb i zrobiła kanapki z żółtym serem. Potem zaparzyła herbatę na elektrycznej kuchence. Dopiero kiedy zaczął jeść, wciąż jak gdyby nieobecny, po cichu opuściła kuchnię i wolno wspięła się na górę, do swego pokoju. Kładąc się do łóżka, pomyślała, że jeszcze przed godziną nienawidziła siebie i całego świata, chciała krzyczeć z rozpaczy i kąsać własne ręce. Teraz wszystko oddaliło się od niej. Pojedzie z Marynem na zabieg i jej ciało znowu stanie się jej wyłączną własnością. Tylko że od tej pory zacznie podawać Marynowi śniadania i będzie musiała czekać na niego z kolacją. Jak służąca na swego pana. Jak ten pies za siatką na jedzenie z rąk Maryna.

„Nienawidzę go. Nienawidzę bardziej niż kogokolwiek na świecie" — powtarzała leżąc w pościeli i walcząc z nową falą mdłości. — „Kulesza mnie upokorzył, ponieważ obnażył mnie przy ludziach i wziął mnie na oczach obcych ludzi. Zrobił to kierowany pożądaniem. Ten zaś zdeptał mnie jak robaka, nawet nie zauważając, że coś depcze. I choć tamten uczynił źle, a ten chce uczynić dobrze, to ten wydaje się wstrętniejszy i obrzydliwszy od tamtego".

A jednak następnego dnia podała Marynowi śniadanie, a kiedy zaraz po nakarmieniu psa, pojechał na pocztę, aby zatelefonować do owego lekarza, weszła do jego pokoju i starannie zasłała mu łóżko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wszystkie hotele w mieście zajęte były przez sportowców, którzy w tym czasie rozgrywali między sobą jakąś spartakiadę. Koło recepcji i po korytarzach snuli się młodzi ludzie w kolorowych dresach, przeważnie podpici i hałaśliwi. Józef Maryn z trudem załatwił dwuosobowy pokój — pomógł mu w tym banknot z trzema zerami, jaki wręczył dyskretnie panience dysponującej miejscami. Otrzymał za to bardzo nędznie wyposażony pokój z dwoma wąskimi tapczanami rozdzielonymi nocną szafką, ale z umywalką (łazienka i ubikacja znajdowały się w pomieszczeniu na końcu korytarza). Weronika nie zaprotestowała, że będą musieli mieszkać razem, ponieważ towarzyszyła Marynowi, gdy chodził od hotelu do hotelu i wreszcie z trudem załatwił ten pokój. Była zbyt zaabsorbowana tym, co ją czekało — po prostu bała się zabiegu. Kiedy weszli do pokoju i postawiła w kącie torbę ze swoimi rzeczami, Maryn zaś zapytał ją, który tapczan wybiera, wzruszyła ramionami i usiadła na tym, który był bliżej. Prawie całą godzinę tkwiła tak, z rękami na kolanach, nieruchomo zapatrzona w okno.

— Może jednak rozmyśliłaś się? — zapytał ją w końcu Maryn. — Powiedz mi szczerze, a zaraz odwołam całą sprawę.

Usłyszał od niej krótkie „nie", wypowiedziane zdecydowanie i ostro. „Ona naprawdę nienawidzi tego, co się w niej zrodziło" — pomyślał Maryn. Pierwszy raz w swoim dorosłym życiu zetknął się z młodą kobietą wychowaną na wsi. Nie wiedział, że jeśli taka zdecydowała się już na coś, to nic ją z tej drogi nie mogło sprowadzić. Domyślał się tylko, że w Weronice — może pod wpływem Horsta Soboty — powstały złoża jakiejś wielkiej dumy, a taka osobowość, jeśli zaczęła nienawidzić, nie potrafi zdobyć się na przebaczenie. Nie będzie ona przed Marynem, którym również gardziła, okazywać choćby cienia wahania czy słabości, odgrywać histeryczne scenki. W jej twardym uporze i niechęci do uzewnętrzniania swych uczuć, a także chyba czarnej sukience ze stójką, przypominała mu oglądane na Sycylii tamtejsze kobiety wiejskie, siedzące na progach domów i zapatrzone w siebie, w swoją rozpacz po zabitych mężczyznach, żyjące chęcią odwetu za swoją krzywdę. Być może i dla Weroniki to, co zamierzała uczynić, stało się także swoistym odwetem, który chciała wziąć na Kuleszy, choć chyba nie tylko na nim.

Maryn poszedł do szpitala, gdzie ordynatorem był ów niefortunny myśliwy. Już wcześniej telefonicznie umówił się z nim na określony dzień i godzinę, teraz chciał sprawę potwierdzić. Po powrocie do hotelu znowu zastał Weronikę siedzącą nieruchomo na tapczanie. W godzinę później (a była już szesnasta) — przyjechał lekarz swoim wozem i zabrał dziewczynę do swojego gabinetu. „Ja ją także z powrotem dostarczę" — obiecał, dając do zrozumienia Marynowi, aby pozostał w hotelu. Nie przyjął banknotu, który Maryn wyjął ze swego paska i chciał mu go wsunąć do kieszeni.

Przywiózł Weronikę po trzech godzinach, pomógł rozebrać się i położyć na tapczanie. Dał jej chyba jakiś narkotyk, bo dziewczyna natychmiast zasnęła. „Myślę, że wszystko poszło dobrze" — zapewnił Maryna. — „Jutro możecie wracać do domu. Ale niech pan przez całą noc przy niej czuwa. Gdyby nastąpił krwotok czy bóle, proszę do mnie zadzwonić".

Maryn zjadł w międzyczasie obiad w hotelowej restauracji i w pobliskim sklepie kupił bułki i ser na wypadek, gdyby Weronika chciała zjeść kolację. Ale ponieważ zasnęła, wyciągnął się wygodnie na swoim tapczanie i do późnej nocy czytał kupione w mieście gazety. Do lektury gazet po prostu zmuszał się, polityka nigdy go nie interesowała, a przeróżne sensacyjne informacje i reportaże, którymi redakcje walczyły o czytelników, wydawały mu się nudne. Nawet własne życie uważał za zwyczajne i nieciekawe, choć gdyby ktoś chciał opisać choćby tydzień pracy Kristophera Bullowa, być może byłaby to dla czytelników najbardziej fascynująca historia. Ale on sam nie pragnął wspominać Bullowa i jego spraw. Tkwił w nim nawyk wyrobiony przez jego zawód, a może zakodowany w genach, że być sobą, znaczyło stać się tym, kim cię w danej chwili stworzono. Kiedyś był Bullowem i żył jak Bullow. Obecnie stał się strażnikiem łowieckim i zachowuje się jak strażnik łowiecki. Takiemu człowiekowi jak on w każdej skórze musi być dobrze jak aktorowi w coraz innej roli i w coraz innym kostiumie. Cała sztuka polegała właśnie na tym, aby być w pełni tym, kim się w danej chwili zostało. Nie pojmowała tego Eryka, skoro przyjechała do niego, aby mu dać nowego opla, gdyż Kristopher Bullow lubił kiedyś ten typ samochodu. Po co taki samochód strażnikowi łowieckiemu?

Zasnął w ubraniu, przy zapalonej lampce nocnej. Zbudził go głos Weroniki. Natychmiast był przytomny, bo to także należało do jego zawodu. Urodził się chyba z taką umiejętnością snu, który nigdy nie był prawdziwym snem, lecz tylko jakąś formą czuwania. Gdyby wiedział o tym Horst Sobota, powiedziałby, że Józwa śpi jak wielki las.

— Dlaczego pan się nie rozebrał? Czuję się dobrze. — odezwała się.

— Prosiłem cię, żebyś do mnie mówiła „Józwa" — odparł.

Zgasił światło, rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Ale jej nie chciało się już spać. Czuła się wypoczęta. Zapytała:

— Czy twoja była żona, Eryka, była kiedyś w ciąży?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie czuliśmy potrzeby posiadania dziecka. To się zdarza w niektórych małżeństwach.

— Nie masz dziecka z żadną kobietą?

— Nie. A zresztą, co cię to obchodzi? Domyślam się, że rozmawiałaś z Eryką, gdy przyjechała do Mordegów. Ale ja nie chcę mówić ani o niej, ani o sobie.

Przekręcił się na bok i dał jej do zrozumienia, że ma ochotę spać. Ona jednak zapaliła lampkę i chciała wstać, aby się napić wody z kranu. Zerwał się więc i przyniósł jej wody w kubku do mycia zębów.

— Nazwała cię wilkołakiem...

Roześmiał się.

— Naprawdę tak mnie nazwała? To dziwne — zastanowił się. — Zobaczyła las dookoła i dowiedziała się, że jestem strażnikiem łowieckim, który chwyta kłusowników.

— Ona miała co innego na myśli. Powiem ci szczerze, Józwa: nie podobała mi się. Jest piękna, ale zimna.

— Mylisz się. To kobieta z dużym temperamentem. Natomiast ty jesteś zimna.

— Skąd wiesz?

— To jasne. Kulesza chciał cię rżnąć, a ty tego nie lubiłaś. I o tę sprawę rozbiło się twoje małżeństwo.

— Twoja żona mówiła, że miałeś dużo kobiet. Poznałeś więc chyba wiele takich jak ja. Na pewno słyszałeś również, co ze mną kiedyś zrobiono w lesie. Zanim wyszłam za mąż, nie miałam pojęcia, że zbliżenie z mężczyzną będzie we mnie budzić ból. Po prostu zamykam się przed mężczyzną. A kto chce mnie otworzyć, wywołuje ból.

— Po co mi to mówisz?

— Tak sobie. Bo nie chce mi się spać. Pytałam o to doktora, czy z tego można się wyleczyć. Powiedział, że to trudna sprawa. Trzeba najpierw usunąć strach i wstręt, który tkwi w kobiecie, a to jest prawie niemożliwe.

— Nie znam się na tym — ziewnął Maryn odstawiając kubek na umywalkę.

— A gdybym tak naprawdę pragnęła jakiegoś mężczyzny, czy też bym się bała?

— Pragnęłaś kogoś bardzo mocno?

— Nie.

— Prawdopodobnie nigdy nikogo nie zapragniesz. To taka sprzeczność. Nie zapragniesz, bo się będziesz bała. A będziesz się bała, ponieważ nie zapragniesz.

Wsunął się pod kołdrę i chciał zgasić światło, ale poprosiła, żeby z nią jeszcze trochę porozmawiał. Odniósł wrażenie że po zabiegu czują się wyzwolona, wróciła jej pewność siebie i zadowolenie. Może jeszcze trochę działał narkotyk i rozwiązał jej język?

— Mówiłeś Kuleszy o miłości wielkiej i prawdziwej. O kobietach, które szły za mężczyznami, bo ich kochały. A potem żyły obok nich, a nie z nimi. Czy nie można mieć mężczyzny tak jak ja mam teraz ciebie? Obok.

— Nie wiem. Ale wtedy u was, na podwórku, nie wyjaśniłem, że w tamtych czasach panowała taka moda. Kobiecie wypadało iść za mężczyzną na wygnanie i żyć obok niego. Zresztą, ci ludzie przecież z początku żyli ze sobą, a dopiero później wyrzekli się tego, aby żyć obok siebie. Zrobili to w imię jakichś ideałów. Myślę, że cierpieli z tego powodu, więc to jednak nie jest normalne jeśli kobieta i mężczyzna żyją wyłącznie obok siebie.

— Eryka mówiła, że miałeś bardzo wiele kobiet. A jednak żadna nie poszła za tobą do lasu. Ona również.

— Właśnie tego nie rozumiem i staram się to sobie wyjaśnić. Zresztą, może zmieniła się moda, obyczaje? Teraz jeśli kobieta i mężczyzna nie chcą żyć ze sobą, po prostu rozchodzą się i znajdują innych partnerów.

— A jednak któraś mogła pójść za tobą do lasu. Dlatego myślę, że chyba żadna naprawdę cię nie kochała.

— Co to znaczy „kochać naprawdę"?

— Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa...

— W wielu książkach można przeczytać o miłości czystej i prawdziwej. Ale w wielu również przedstawia się wielkie pożądanie, ogromną namiętność.

— W żadnej nie znalazłam, co czuje dziewczyna zgwałcona przez wielu w lesie, a potem przez własnego męża.

— To zbyt wyjątkowa historia.

— Mimo przykrego doświadczenia nie chcesz uwierzyć, że może istnieć miłość prawdziwa i czysta. Że można żyć obok siebie i się kochać. Przecież z Kuleszą czułam się dobrze. Kochałam go, dopóki we mnie nie wszedł. Gdyby tego nie chciał robić, żylibyśmy obok siebie bardzo szczęśliwi.

— Pożądał cię przecież. Zostałaś okaleczona, dlatego nie powinnaś miarą własnego odczuwania oceniać innych albo żądać od nich tego samego. Trochę podobnie jest ze mną. Mam wrażenie, że w życiu zostałem oszukany, nie danym mi było przeżyć wielkiej miłości, a zarazem pragnę zbliżenia z kobietą, choćby bez miłości. Prędzej czy później pojadę, na przykład, po tę młodą kelnerkę z Gaud, zaspokoję pożądanie i znowu zacznę tęsknić za miłością wielką i prawdziwą.

CDN

Rys. Janusz Szymański-Glanc